

# Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

## W SAMĄ PÓŁNOC



**Przypadek**  
chodzi  
po ludziach...

Jacek  
Getner

W SAMĄ  
PÓŁNOC

L i R A  
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2022

Niniejsza powieść jest zmienioną i uzupełnioną wersją książki  
Jacka Getnera „Pan Przypadek i mediatorzy” (Warszawa, 2016)  
© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022  
© Copyright by Jacek Getner, 2022

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora  
Redakcja: Iwona Huchla  
Korekta: Agnieszka Mańko, Magdalena Białek  
Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik  
Zdjęcia na okładce: © abrakadabra, © yupiramos, © dashadima/123rf  
Zdjęcie Jacka Getnera: © Maciej Zienkiewicz Photography  
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:  
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.  
Wydanie pierwsze  
Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67388-00-9 (EPUB); 978-83-67388-01-6 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.  
tel:691962519  
al. J.Ch. Szucho 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

L i R A  
WYDAWNICTWO

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

# SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Rozdział I. Wodągate

Rozdział II. Kosiarz traw

Rozdział III. W samą północ

# ROZDZIAŁ I

## *Wodagate*

Gdy jest się Władcą Całego Świata, naprawdę trudno zrozumieć, że ktoś nie odbiera od ciebie telefonu. I nie jest ważne, że dzwoniisz o trzeciej w nocy. Skoro jesteś Władcą Całego Świata, masz prawo telefonować o dowolnej porze. Szczególnie jeśli nie robisz tego po raz pierwszy i twój dostawca powinien być przyzwyczajony do zaspokajania zachcianek swojego klienta bez względu na porę dnia i nocy.

– Co ten alfons sobie myśli?! – zirytował się słynny redaktor Zbyszek Broda. – Chce, żebym mu się do dupy dobrał? Jak mu udowodnię, że ściąga te ruskie laski, zaraz będzie musiał zamknąć cały ten swój burdel! A jeśli nawet nie, to i tak nikt mu nie uwierzy, że to jest zwykła agencja modelek.

Redaktor Broda w tej chwili najchętniej cisnąłby swój telefon o podłogę i wykonał na nim taniec zemsty i fakt, że nie mógł tego zrobić, potęgował jego złość. Nie powstrzymywało go przed tym to, że to absolutnie najnowszy model z absolutnie największą ilością możliwych gadżetów, absolutnie najbardziej płaskim i największym ekranem przy absolutnie najmniejszym z możliwych ciężarów. Nie takie cacka niszczył w przypiływie złości. Ale akurat to było własnością redakcji, a szef TV Ekstra, w której pracował, pan Gerhard Sowa, bardzo nie lubił braku szacunku do firmowego sprzętu. Do tego był obdarzony jakimś szóstym zmysłem, dzięki któremu zawsze wiedział, czy dana rzecz uległa dezintegracji w sposób naturalny i niezawiniony przez użytkownika, czy też padła ofiarą jego złości bądź niefrasobliwości.

Dlatego redaktor Broda mógł sobie jedynie pozwolić na ciśnięcie aparatem o mięciutkie łóżko, naokoło którego leżał puszysty dywan, więc nie istniała żadna możliwość, aby telefon spotkała jakakolwiek krzywda.

– Przestań się zajmować duperelami. Musimy dokończyć sprawę tej afery. – Usłyszał nagle zza pleców. Odwrócił się. Przed nim stał mężczyzna, któremu sięgał ledwie do ramion.

– Kostrzewa? Co ty tutaj robisz?! Miałeś się tu nie pokazywać!

– Jak to? Miałem ci przynieść resztę materiałów o tej aferze z prywatyzacją rzek.

– Oszalałeś?! Nie jestem samobójcą! Nie puszczę tego, nie ma mowy. Daj sobie spokój. – Broda chciał się odwrócić, ale potężna ręka Kostrzewy przytrzymała go za ramię.

– Sprzedałeś im się!

– Spadaj, oszołomie! Puszczaj mnie! I nie pokazuj mi się tu więcej. Co robisz?!

Broda poczuł, jak na jego szyi zaciskają się tłuste palce Kostrzewy. Przed oczami zobaczył nieogoloną twarz swojego nieproszonego gościa. Stracił już niemal oddech, ale wtedy, bardziej odruchowo niż specjalnie, kopnął Kostrzewę w krocze. Tamten uprawdzie nie

zwinął się z bólu, ale rozluźnił uścisk. Broda to wykorzystał i zaatakował z byka. Nieproszony gość poleciał do tyłu, w stronę otwartych drzwi balkonu. Chciał jeszcze chwycić za ich framugę, ale jego ręce nie udało się zacisnąć na tej desce ratunku. Wypadł na zewnątrz, pośliznął się na terakocie. Być może, gdyby nie był zamroczony uderzeniem, nic by się nie stało. Ale półprzytomny przechylił się przez balustradę i spadł, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Prerażony Broda podbiegł do barierki balkonu i spojrzął w dół. Nic nie zobaczył. Z nieba lały się strugi deszczu, przesłaniając cały świat.

– Pofrunął prosto do nieba. – Usłyszał za plecami spokojny głos.

Przeszedł go dreszcz, bo dobrze wiedział, do kogo ten głos należy. Na jego dźwięk drżeli wszyscy pracownicy TV Ekstra.

– Pan Sowa? Po co pan przyszedł?

– Przyszedłem, żeby przemówić ci do rozsądku.

– Ale to był wypadek! Naprawdę nie chciałem go... Jeszcze mi za to zapłacą!

– Zapomnij o nim. To śmieć, niewart uwagi. Widziałeś, jaki był nieogolony? I znów miał przynajmniej dziesięć kilo nadwagi.

– Ale to był mój przyjaciel.

– To był balast. I dobrze, że go wyrzuciłeś. Ja też go wyrzuciłem, nie pasował do wizerunku naszej fajnej stacji. Nie rozumiał, że pewnych tematów się nie rusza. Dlatego musiał tak skończyć.

– Nie wolno panu tak mówić!

Broda po zabiciu Kostrzewy najwyraźniej nie panował już nad sobą. Wprawdzie jeszcze parę minut wcześniej bał się nawet popsuć telefon należący do TV Ekstra, jednak teraz chwycił jej właściciela za kołnierz. I może dlatego, że Gerhard Sowa był szczupły, ponieważ przestrzegał wszelkich możliwych diet i prowadził zdrowy tryb życia, bez problemu uniósł go do góry, a następnie cisnął nim poza balkon. Właściciel TV Ekstra przefrunął nad barierką i zniknął w czeluściach nocy, nie wydawszy żadnego dźwięku.

– Wprawia się pan. Kto następny? – Usłyszał tuż nad swoim uchem.

Broda odwrócił się i ujrzał Wiktora Klempucha. Jeden z najbogatszych ludzi w Polsce przyglądał mu się z cynicznym uśmiechem, a nawet wyrazem pewnego zadowolenia na twarzy.

– Pofatygował się pan osobiście? Cóż za zaszczyt – zauważył ironicznie redaktor.

– Doniósł mi pan Kujawski o pańskich niedorzecznych żądaniach. Nie mam zamiaru płacić ani grosza i byłoby dobrze, gdyby pan to sobie wbił do głowy. Do mnie się pan nie dobierze.

– Tak? – Broda chwycił Klempucha i uniósł go ponad swoją głowę. – A teraz?

– Bardzo lubię fruwać – odpowiedział lichwiarz.

Po sekundzie szybował już na dół, a do świadomości redaktora Brody powoli zaczęło docierać, że z jego zmysłami musi być coś nie w porządku. Dlatego gdy poczuł, iż sam się unosi do góry i wystaje za barierkę, rozłożył skrzydła i z zadowoleniem stwierdził, że leci. Nie bał się niczego, bo przecież zdarzało mu się latać we śnie. A to musi być sen, który skończy się w ułamku sekundy, zderzony z betonem na parkingu.

Kostrzewa uważnie zlustrował ulicę przed sobą. Wyglądała zwyczajnie, normalnie, by nie rzec – banalnie. Samochody stały zaparkowane na poboczu lub na chodnikach, blokując przejście pieszym. Piesi z kolei przechodzili przez ulicę prawie w każdym miejscu, choć

najbardziej po pasach, dając tym samym wyraz odwiecznej niechęci swojej nacji do przestrzegania przepisów. Wydawać by się mogło, że nic nie powinno wzbudzać podejrzeń, wszystko jest jak co dzień w porządku.

Ale nie dla redaktora Kostrzewy. Zbyt długo wymykał się śmierci, żeby dać się nabrać na taki sielski obrazek. Gdzieś tu na pewno czaiło się niebezpieczeństwo, które za wszelką cenę chciało nie pozwolić mu dotrzeć do detektywa Przypadka, jego ostatniej nadziei. Dlatego Kostrzewa musiał natężyć wszystkie swoje umiejętności wykute w trakcie długoletniej walki z wrogiem, żeby nic nie mogło go zaskoczyć. Na przykład ta starsza siwa pani, która teraz dreptała powoli chodnikiem od strony ścian budynku. Jej ruchy wydają się zbyt powolne jak na jej wewnętrzne możliwości. Pewnie chce uśpić czujność redaktora i gdy ten będzie ją mijał, podstępnie zepchnie go pod nadjeżdżający samochód.

Tak, najlepiej przejść na drugą stronę ulicy. Kostrzewa pewnie by to zrobił, ale tymczasem jego podejrzenie wzbudził niebieski samochód zaparkowany przy krawężniku. Miał wrażenie, że jeździ za nim od dawna. Teraz kierowca włączył silnik, lecz wciąż nie odjeżdżał. Redaktor byłby nawet gotów przysiąc, że pod szybą ozdobioną reflekssem słonecznym skrywają się ciemne okulary. Tak, kierowca ma ciemne okulary. A do tego brode, która nie pozwala rozpoznać jego twarzy. A pod tymi ciemnymi okularami czyjeś oczka bacznie obserwują, co robi Kostrzewa. I gdy tylko redaktor zdecyduje się przejść na drugą stronę ulicy, auto ruszy z piskiem opon, a Kostrzewę czeka niechybna śmierć pod jego kołami.

Dlatego jednak uznał, że podstępna staruszka stanowi dla niego mniejsze zagrożenie. Szedł dzielnie w jej stronę, a gdy niemal już się z nią zrównał, przykleił się do ściany budynku, żeby nie dać jej szans na zepchnięcie go pod koła obserwowanego chwilę wcześniej samochodu. Ten wprawdzie jeszcze nie ruszył, ale redaktor Kostrzewa wiedział, że to zrywna maszyna. Dlatego nie odrywał się od ściany, tylko wciąż do niej przyspany przesuwiał się w stronę kamienicy przy ulicy Koneckiej 40. To zdziwiło kobietę, która obejrzała się za nim. Kostrzewa, pozbawiony już złudzeń co do prawdziwych intencji staruszki, spojrzał na nią pogardliwie, a jego mina zdawała się mówić: „Nie ze mną te numery”.

Chwilę potem redaktor znalazł się już pod drzwiami kamienicy Przypadka. Wiedział, że słynny detektyw mieszka pod numerem dwunastym, co udało mu się ustalić w wyniku długotrwałego śledztwa. Ale do tej pory nie przemyślał, jaki numer na domofonie powinien nacisnąć. Na pewno nie mogła to być dwunastka, gdyż z pewnością była podsłuchiwana. Numery obok niej zapewne też. Może zatem spróbować jakąś trójkę albo czwórkę? Powie najwyżej, że nie może się połączyć ze słynnym detektywem, i poprosi o wypuszczenie do środka.

Zanim jednak Kostrzewa zdążył nacisnąć jakikolwiek guziczek domofonu, poczuł na swoich plecach czyjś wzrok. Tak, nie miał wątpliwości: ktoś na pewno za nim stał. Co jak co, ale szósty zmysł wyczuwający czyjeś zbyt ciekawskie oczy nie zawodził go nigdy. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał starszą kobietę, która kilka chwil wcześniej przygotowywała się do zepchnięcia go pod samochód.

– Pan zapewne do detektywa Przypadka? – zapytała z upiornym uśmiechem zawodowej zabójczynie. – Nie ma go teraz. Wraca z wakacji dopiero za kilka dni. Ale jeśli pan chce, mogę mu przekazać, z czym pan przyszedł. Jestem jego sąsiadką, nazywam się Irmina Bamber.

– O nie, nie dam się nabrać!

– Co proszę?



– Dobrze wiem, o co wam chodzi. Pewnie jest pani w zмовie z tym brodatym, co za mną jeździ! – Wskazał na niebieski samochód z kierowcą w ciemnych okularach, który tymczasem ruszył i odjechał. – Ale rozgryzłem was! Proszę powiedzieć temu swojemu Sowie, że nie zamknie mi ust, bo ja i tak wyjaśnię zagadkę śmierci Zbyszka Brody...

– Tego, co wypadł z szóstego piętra?

– A którego?! Oczywiście, że jego. A wie pani dlaczego?! Bo to mnie powinni byli zrzucić z tego balkonu!

– Przecież on podobno sam wypadł... – powiedziała zdezorientowana pani Irmina, ale Kostrzewa już nie słuchał, lawirując w pośpiechu między zagrożeniami czyhającymi na niego na chodniku i na jezdni.

Na pięknym nagrobku z białego marmuru zdjęcie ciemnowłosej, elegancko ubranej kobiety wyglądało na pierwszy rzut oka jak kropka brudu. Ale już po chwili wprawne oko konesera sztuki zauważało, jak perfekcyjnie fotografia została wkomponowana w tło, jak delikatne czarne nitki przecinające marmur odchodzą promieniście we wszystkie strony. I jak ten surowy minimalizm znakomicie oddaje hołd zmarłej.

Wszystko to doskonale widział Wiktor Klempuch, który siedział teraz przed grobem i ze smutkiem wpatrywał się w zdjęcie nieżyjącej już kobiety. Jeszcze nie tak dawno była jedną z jego najlepszych pracownic. Absolutnie perfekcyjna w wykonywaniu zleconych jej misji. Nie chciał jej wysyłać na tę ostatnią. Ale właściwie sama się zgłosiła, zapewniając go, że bez trudu uwiedzie Przypadka i będzie go kontrolować. Dlatego się zgodził. Wiedział, że bardziej intryguje ją sam detektyw niż zadanie, ale był pewien, że wykona je idealnie i nawet przez chwilę się nie zawaha, gdy Klempuch każe jej zrobić cokolwiek Jackowi. W jej wypadku żadne drgnienie serca nie wchodziło bowiem w grę. Była na to dożywotnio uodporniona.

A jednak przegrała. Gdyby jeszcze przy tym nie popełniła tak prostego błędu. Wtedy lichwiarz mógłby jej wybaczyć... To znaczy: być może mógłby jej wybaczyć. Ale tej idiotycznej pomyłki z obrączką pożyczoną od grubej znajomej, w wyniku czego Przypadek ją rozgryzł, Klempuch nie mógł przeboleć za nic w świecie. Płacił jej wystarczająco dużo, żeby poszła do najlepszego jubilera w mieście i zamówiła najelegantszą obrączkę najbardziej pasującą na jej palec. Tak, on też nie lubił tego symbolu zniewolenia jednostki ludzkiej i rozumiał jej przesadną niechęć do posiadania własnej obrączki. Lecz to przecież było tylko zadanie, które miała perfekcyjnie wykonać.

Oczywiście, nawet najlepiej dopasowana obrączka mogła nic nie dać, gdyż Przypadek i tak mógłby się w końcu zorientować, że kobieta jest nasłana. Ale wtedy Klempuch mógłby nie mieć do niej pretensji... To znaczy: być może mógłby nie mieć do niej pretensji.

„Tylko po co kłamała? – zastanawiał się lichwiarz. – Porażkę być może mógłbym jeszcze wybaczyć. To znaczy: mógłbym próbować wybaczyć. Ale próby okłamania mnie nigdy. Wiem, to nie jej wina. To wszystko znów ten cholerny Jacuś! Gdyby nie on...”

– Dzień dobry, panie Wiktorze. – Fifka, kłaniając się Klempuchowi, nie potrafił nie zerknąć na grób, przed którym ten siedział.

– A, dzień dobry, panie Bartoszu. Dziękuję, że był pan tak uprzejmy i zgodził się spotkać ze mną w tak nietypowym miejscu. – Klempuch uchwycił spojrzenie Fifki i uśmiechnął się ze złością na minę. – To była najwspanialsza przyjaciółka. Zginęła równo dwa miesiące temu. Staram się odwiedzać ją jak najczęściej.

– Przykro mi. – Fifka złożył kurtuazyjne kondolencje. – Jakiś nagły wypadek? Choroba? Taka młoda, czterdzieści jeden lat...

– Zabił ją Przypadek.

– W sensie... Jacek Przypadek? – Dziennikarz popatrzył z niedowierzaniem na bogacza.

– Właśnie tak.

– A jak dokładnie zginęła? – dopytywał się Fifka, nie tyle z dziennikarskiej docieklivości, ile ze zdziwienia, że słynny detektyw mógł kogoś zabić.

– Lepiej, żeby pan nie wiedział. To była bardzo ciężka śmierć. Taka, jaką potrafi zadać tylko Jacuś. Rozumiem, że patrzy pan na mnie z pewnym niedowierzaniem, zastanawiając się, jak ten niby sympatyczny gość mógł kogoś zabić. Ale zapewniam pana, że mógł. Aaa psik! – Klempuch kichnął i się rozejrzał. – No tak, nie przycięli tu trawy. Pewnie ludziom przeszkadza kosiarka na cmentarzu – burknął niezadowolony.

– A ja jestem niestety uczulony... O czym to ja mówiłem?

– Że Przypadek mógł zabić pańską przyjaciółkę.

– A tak. – Klempuch wydmuchał nos. – A mógł, dlatego że wiele osób mimo wszystko go lekceważy. Ja jeden nie, bo poznałem jego mordercze skłonności ujawniania prawdy już dawno temu. I pragnę jedynie otworzyć świata na nie oczy. Lepiej by było, żeby pan go nie lekceważył, bo może to pana drogo kosztować.

– Ależ skąd, nie lekceważę go – zapewnił Fifka.

– Lekceważy pan, bo myśli pan co najwyżej o niebezpieczeństwie dotyczącym pańskiej kariery. A nie bierze pan pod uwagę zagrożenia dla własnego życia. A zapewniam, że takie też istnieje. I również dlatego umówiłem się z panem w tym miejscu. Bo musi pan mieć świadomość, jak bardzo nienawidzi pana ten Przypadek. Swoim wspaniałym programem o niepotrzebnej prawdzie psuje mu pan szyki. I on to widzi. Nie tylko on. Jego fani również. Słyszał pan o szefie jego fan klubu?

– To on ma fan klub?

– Niestety. Są ludzie, którzy cenią prawdę. Niektórzy są bardzo fanatyczni. Tak jak ten pan Krzys, który zarządza taką stroną w Internecie. Jakiż ona ma tytuł... A wiem: „Przypadek Rycerz Prawdy” I ta strona ma już parę tysięcy polubień, a codziennie przybywają nowe. I tam są różne opisy tego, jak zginiecie pan i pan Szoftysik, jeśli nie przestaniecie szkalować „wielkiego detektywa, rycerza prawdy”. Wie pan, jaki rodzaj śmierci najczęściej dla was przewidują?

– Nnnnie.

– Poderżnięcie gardeł w ciemnym lochu w mdłej poświacie księżycy.

– Aż tak? – Bładość twarzy Fiki ładnie się skomponowała z bielą marmuru.

– Tak, tak. Jak mówią, w samą północ. Sam pan widzi, to prości ludzie są. Lubią westerny, wymierzanie sprawiedliwości i tym podobne bzdury. – Klempuch wziął dziennikarza pod rękę i zaczęli iść w kierunku cmentarnej bramy. – Podejrzewam zresztą, że i on miał swój udział w śmierci mojej przyjaciółki. Bo oczywiście Przypadek, jeśli nie musi, sam nie pociąga za spust, ma od tego swoich cyngli. Takich jak pan Krzysio.

– To może trzeba by do prokuratury go, tego Krzysia?

– To prawda, można by to zrobić. Ale lepiej mieć wrogów na oku. Jeśli zamkną tę stronę, powstanie kilka nowych, których trzeba będzie szukać. A tak, mamy tych świrów w jednym miejscu. I proszę się uspokoić, dopóki pan jest pod moją opieką, nic panu nie grozi. Moi ludzie wciąż pana chronią. Naturalnie dyskretnie, dlatego pan ich nie zauważa. Nie mogą sobie pozwolić na stratę kolejnej ważnej dla mnie osoby. – Klempuch poklepał Fikę

po ramieniu. – Lepiej proszę powiedzieć, co będzie nowego w kolejnym sezonie *Niepotrzebnej prawdy*.

– Mam bardzo dużo materiałów – zapewnił energicznie Fifka. Zaraz jednak posmutniał.  
– Ale niewiele na Przypadka.

– To bardzo niedobrze. Powinniście się nauczyć znajdować odpowiednie materiały.

Dziennikarz zastanawiał się przez chwilę, czy Klempuch ma na myśli jego i Szołtysika, czy też, z powodu jakiejś starej manieri, mówi do niego w liczbie mnogiej. Od dawna bowiem nie opuszczało go wrażenie, że bogacz jest podobny do jego własnego ojca i ma w sobie coś ze starego sekretarza partyjnego.

– Mam coś na horyzoncie – przyznał Fifka. – Małgosia Urbanek. Ta była modelka i żona wiceministra Urbanka. Urodziła niedawno. Wiele osób przypuszcza, że to bachor Przypadka, bo akurat zaszła w ciążę, gdy z nim mieszkała. Ona tego wprost nie przyznaje, ale podobno prywatnie czasem na niego psioczy i gdzieś po pijaku rzuciła, że nie okazał się prawdziwym mężczyzną.

– No tak, ta historia ma potencjał. – Klempuch pokiwiał głową z zadowoleniem. – Tylko jej nie spartolcie.

– Spokojnie, wycisnę z niej, co trzeba – oświadczył Fifka, z niejaką ulgą opuszczając teren komentarza. – Ale to może nie w pierwszym programie.

– Jasne, trzeba dopracować pewne rzeczy. Tylko proszę pamiętać, że jeśli ma być trzeci sezon *Niepotrzebnej prawdy*, to do końca tego potrzebny jest jakiś spektakularny sukces.

– Naturalnie. – Fifka ochotczo uścił podaną mu przez Klempucha dłoń.

– I jeszcze jedno, redaktorze. Potrzebowałbym jakiejś pary gejów. Żyjących naturalnie w szczęśliwym związku, ale ta kich, wie pan, jak to w starym, dobrym małżeństwie, niemogących się ze sobą dogadać.

– Jak często niemogących? – chciał uściłić Fifka.

– Im częściej, tym lepiej. Mam dla nich mieszkanie. Zupełnie za darmo, w dobrym punkcie Warszawy.

I choć redaktor Fifka był wielkim amatorem wszystkiego, co darmowe, a na każdym evencie zawsze sprawnie przepychał się do bufetu, w którym podawano gratisowe napoje i przekąski, to pomyślał, że z tego bezpłatnego mieszkania nie miałby najmniejszej ochoty skorzystać. Szczególnie gdyby żył w szczęśliwym związku...

Najlepsze kulinarne przepisy to te, które potrafią zaskoczyć nas swoją banalną prostotą. Tak jak pączki serowe pani Irminy Bamber. Błyskawiczne w przygotowaniu i niepowtarzalne w smaku. Puszyste, bez grama drożdży, najsmaczniejsze po delikatnym posypaniu cukrem pudrem. Ale nawet bez tego Jacek najchętniej pochłaniałby je, jak teraz, w ilościach absolutnie hurtowych. I to dla nich zgodził się zajrzeć do pani Irminy po powrocie z wakacji, nie zachodząc nawet do własnego mieszkania.

– A potem, wyobraź sobie, po prostu się odwrócił i zaczął uciekać, jakbym miała wyciągnąć pistolet z tłumikiem i go za bić, bezwarunkowo. – Pani Irmina wciąż nie bardzo wiedziała, czy ma się śmiać, czy raczej być przerażona przygodą, która ją spotkała.

– Całkiem możliwe, że tak właśnie myślał. – Głos Jacka był niewyraźny, bo usta wypełniał mu wciąż pączek serowy numer sześć.

– Czyli wyglądam na płatnego zabójcę? W dodatku biorącego udział w spisku?

– W spisku?

- Tak. Twierdził, że czyham na jego życie razem z jakimś brodaczem, który siedzi w niebieskim aucie po drugiej stronie.

- Być może dla niego każdy wygląda na płatnego zabójcę.

- Nie mówmy już o nim, bezwarunkowo. - Pani Irmina wciąż nie mogła wyjść z szoku po spotkaniu z nieznanym. Powiedz lepiej, jak ci minęły wakacje.

- Przede wszystkim brakowało mi pani pysznych słodkości. - Jacek podniósł się i z szacunkiem ucałował dłoń pani Irminy. - A ponadto musiałem cały czas utrzymywać mamę w przeświadczeniu, że nie powinna się wycofywać z decyzji o rozwodzie.

- Miała jednak wątpliwości?

- Sama pani rozumie, tyle lat życia.

- Twój ojciec walczy?

- Podobno na początku próbował. Ale potem odpuścił. Jakby było mu już wszystko jedno.

- To chyba musiało zboleć twoją mamę. Myślisz, że to jakaś sztuczka twojego taty?

- Na razie jeszcze nie wiem. Muszę pogadać o tym z Marzeną. A wracając do tego dziwnego faceta. Nie przedstawił się w żaden sposób?

- Zainteresował cię? Przecież to wariat.

- Być może. Ale problem z wariatami jest taki, że zadziwiająco często mają oni rację. A śmierć redaktora Brody to była głośna rzecz. I od początku wydało mi się dziwne, że pośliznął się i wypadł przez balkon.

- Dlaczego? Pamiętam, jak mówili, że padał wtedy deszcz. A skoro miał balkon wyłożony terakotą, to miał prawo się pośliznąć.

- Miał. Ale ja znam ten budynek, bo tam mieszkają Bolko Szołtysik i Bartosz Fifka. Tam są wysokie barierki na balkonach, na oko metr dwadzieścia. A kilka razy spotkałem redaktora Brodę i z pewnością nie był wyższy od Błażeja.

- No tak, to rzeczywiście dziwne. - Pani Irmina pokiwała głową. - Ale z drugiej strony ten facet, który chciał wyjaśnić tę sprawę, wyglądał na kompletnego świra. Gdy tylko go zobaczyłam na ulicy, pomyślałam, że czegoś się boi i pewnie przyszedł do ciebie po pomoc.

- I być może powinienem mu tej pomocy udzielić.

- Naprawdę chcesz się tym zająć? - zdziwiła się pani Irmina, a Jacek tylko pokiwał twierdząco głową. - Ale jak? Przecież nie masz nawet pojęcia, kto to jest?!

- Ale myślę, że da się go odnaleźć. Zapewne to jakiś dobry znajomy Brody, bo mówił o nim „Zbyszek”. Można przypuszczać, że to dziennikarz, który trafił na trop jakiejś afery i wierzy, że Broda zginął zamiast niego. Uważa, że sprawa została zatuszowana i że maczał w tym palce sam Gerhard Sowa. Na dodatek tak bardzo wierzy we własną winę, że ma wyrzuty sumienia...

- I chyba mocno posuniętą manię prześladowczą.

- Być może tak. Ale proszę pamiętać, że jeśli wierzy w to, iż od paru miesięcy ktoś chce go zabić, to całkiem zrozumiałe, że zupełnie normalny nie może być. Żyjąc w ciągłym strachu, łatwo można zwariować.

- To prawda. Jak zatem chcesz go odnaleźć?

- Liczę na pani pomoc w spotkaniu z panem Gerhardem Sową.

- Hm, to może nie być łatwe. I trochę potrwać. Bez gwarancji sukcesu. Z nim się chcą spotkać wszyscy, a bardzo niewielu to się udaje.

- Wiem. Ale wystarczyłby mi dokładny rozkład dnia pana prezesa. A na początek proszę wśród znajomych rozpuścić wiadomość, że chcę wyjaśnić sprawę śmierci redaktora Brody.

– Myślisz, że ta wiadomość dotrze do twojego niedosłłego klienta i sam zgłosi się do ciebie?

– Może tak. Chociaż jego poszukam też trochę inaczej. Ale tymczasem chciałbym się dowiedzieć, kto zastąpił dzielnego podkomisarza Łosia w zbożnym dziele śledzenia mnie.

– A ktoś zastąpił? Skąd wiesz? Może po prostu policja przestała się tobą interesować?

– Bardzo bym chciał. Ale obawiam się, że w najbliższym czasie nie mogę na to liczyć. Lecz od czasu zniknięcia podkomisarza nie zauważyłem obok siebie nikogo nowego. Czyli że następcą jest dużo sprytniejszy. Łatwiej będzie mi go odkryć, gdy będę prowadził jakies śledztwo. I chciałbym go poznać jak najszybciej, żeby wiedzieć, czego się mogę po nim spodziewać. Gdyby pani mogła też dowiedzieć się swoimi kanałami, kto to taki, będę wdzięczny.

– Spróbuję. To aż tak ważne?

– Chciałbym wiedzieć, czy mogę liczyć na ochronę z jego strony. – Głos Jacka brzmiał tak serio, że pani Irmina spojrzała na niego zdziwiona.

– Ochronę? O czym ty mówisz?

– Jeśli redaktor Broda nie padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku, to ochrona może mi się bardzo przydać.

– Mówisz poważnie? – Pani Irmina spojrzała przerażona na Jacka.

– Będę już leciał. – Przypadek chwycił z talerza ostatniego pączka, a następnie podniósł swój ogromny plecak na stelażu.

– Muszę wziąć prysznic po podróży.

Mieszkanie Jacka było w idealnym stanie, bo w trakcie jego nieobecności zajmowała się nim pani Bamber. Kwiatki zostały napojone, kurze wytarte, a w pokoju, który służył mu za gabinet detektywa jasnowidza, stało biurko posprzątane nawet lepiej niż wtedy, gdy wyjeżdżał na wakacje. Na specjalnej podstawie leżała na nim wielka, starannie wytarta szklana kula, należąca podobno do słynnego jasnowidza i telepaty Stefana Ossowieckiego, z naciśniętym na czubek melonikiem w stylu Herculesa Poirota. To była pamiątka po prapradziadku Jacka, po którym odziedziczył też imię. Za to elegancka muszka nałożona na szklaną kulę była pamiątką po Małgosi Urbanek, a laska ze srebrną główką oparta o biurko – prezentem od Marzeny Kolskiej.

Przypadek nie musiał nawet otwierać okien, żeby przewietrzyć mieszkanie. Wiedział też, że w łodówce czeka jedzenie pozostawione przez panią Irminę. Nie miał na razie zamiaru tam zaglądać, gdyż po posiłku podanym przez sąsiadkę był absolutnie syty. Dlatego, zgodnie z zapowiedzią, pierwsze, co zrobił, to wszedł pod prysznic, potem wrzucił wszystkie brudne rzeczy do pralki i od razu ją włączył.

Na koniec usiadł przed laptopem i sprawdził wiadomości od znajomych. Nie było tego wiele, dlatego niemal od razu wszedł w wyszukiwarkę i wystukał w niej „Małgosia Urbanek”. Wskoczyło mu dużo wyników, ale jego interesowały tylko te z ostatniego miesiąca. Ich również było sporo. Informowały one o tym, że była modelka i była żona byłego wiceministra Urbanka urodziła niedawno dziecko. Nie zamieszczono, niestety, żadnych zdjęć, bo jak informowały plotkarskie portale, matka chroniła prywatność swoją i dziecka. Ale jak zapewniali anonimowi znajomi, miało być ono zdrowe, piękne i nie wiadomo tylko, kto jest jego ojcem. Chociaż niektóre osoby twierdzą, że to ktoś bardzo znany.

Kiedy Przypadek przeczytał już prawie wszystkie wiadomości czy raczej plotki o Małgosi, wszedł na blog Malwiny Żarskiej opisującej swoją podróż po Azji. Dziennikarka wyraźnie podążała tropem ostatniej górskiej wyprawy Basi, na której były wspólnie, nawet się z tym nie kryjąc. Jacek odnosił wrażenie, że Malwina pisze specjalnie dla niego, bo tylko on potrafił zrozumieć różne konteksty jej opowieści. A gdy czytał te słowa, nagle uświadomił sobie, że zapomniał o czymś ważnym.

– Rany boskie, nie gadałem jeszcze z Baśką! – Klepnął się w czoło i pobiegł do kuchni.

Robił to zawsze po powrocie z każdej podróży. Opowiadał jej, co się wydarzyło, kogo poznał, co zobaczył. Rozmawiał z nią zresztą często, zwierając się z problemów i rozterek. A ona, patrząca na niego z fotografii, na której była uśmiechniętą dwudziestokilkulatką, ubraną w ciepłą puchową kurtkę, stojącą na tle wielkich gór, wysłuchiwała go zazwyczaj ze spokojem.

– Sorry, Baśka, tak mnie pani Irmina zakręciła tą nową sprawą – próbował się tłumaczyć, patrząc na zdjęcie. – Ciekawa rzecz, opowiem ci. – Zaczął streszczać przebieg swojej rozmowy z panią Bamber, ale miał wrażenie, że jego dawnej dziewczyny to nie interesuje, więc przerwał. – No tak, pewnie ciekawa jesteś, co tam u mnie w ogóle. Tata z mamą na dniach dostaną orzeczenie rozwodu. Tak, też żałuję. Ale ojciec jest niereformowalny. Uważasz, że mógłby się zmienić? Wątpię. Chociaż możesz mieć rację, ty go zawsze lepiej rozumiałaś. Ale chyba będę musiał trochę pomieszkać u mamy. Jeśli chcesz, mogę cię ze sobą zabrać. Jasne, wolisz zostać tutaj. Będę wpadał. A co poza tym? Pamiętasz Małgosię Urbanek? Mieszkała z nami pod koniec ubiegłego roku. Na pewno pamiętasz. No i wiesz, ostatnio podobno urodziła dziecko... Ale chyba nie jesteś zazdrosna? – Wyraz twarzy Basi stał się dziwnie zacięty i nieprzenikniony. Nie, Jackowi się nie wydawało. To niezwykle zdjęcie miało w sobie coś z Mony Lizy. – Daj spokój, Baśka. Sorry, chyba się pranie skończyło. Muszę je rozwiesić.

„Jerzy M., lat 47, lekarz ze świetną reputacją i dobrą praktyką, posiadacz niedużej willi na przedmieściu, siedział właśnie w swoim gabinecie, odpoczywając po godzinach przyjęć, gdy nagle zobaczył przez okno, że furtkę w siatkowym płocie otwiera jakiś nieznajomy, wysoki mężczyzna. Doktora M. uderzyło to, iż mimo chłodu (był koniec października) i silnego wiatru nieznajomy ubrany był tylko w garnitur i kulił się z zimna...”

Książka została brutalnie wyrwana z rąk podkomisarza Łosia i trafiła wprost przed oblicze jego małżonki.

– *Umarli jeżdżą bez biletu* – przeczytała pani Łos, a kryminal powrócił w ręce policjanta. – Co ty kombinujesz, Łos? – zapytała żona dzielnego podkomisarza, patrząc na tytuł.

– O co ci chodzi?

– Zawsze gdy czytasz te swoje stare milicyjne kryminałki, to coś kombinujesz...

– Bo to jest bardzo pouczająca lektura sprzyjająca myśleniu i kształtowaniu odpowiednich postaw wśród funkcjonariuszy.

– No, to teraz już wiem na pewno, że ci jakieś głupoty chodzą po głowie! – Łosiowa ponownie wyrwała mężowi lekturę z dłoni i odłożyła ją z hukiem na stół. – I nawet „przypadkiem” wiem, co to za głupoty.

– Co ty z tym Przypadkiem? Już dawno o nim zapomniałem!

– Akurat. Uderz w stół, a nożyce się odezwą! Gadaj, co ci chodzi po głowie?!

– Naprawdę nie rozumiem, o co się czepiasz... – Podkomisarz podjął rozpaczliwą próbę uniknięcia nieprzyjemnej rozmowy, choć aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę

z beznadziejności teŝe próby.

Analityczny umysł żony nieraz przyprawiał go o ból głowy, a jej nieustępliwość – prywatnie i wyłącznie na użytek własny określana przez policjanta „permanentną upierdliwością” – nie pozwalała temu bólowi zniknąć. Ani teŝ przed nim uciec.

– Łosiu, nie wkurzaj mnie! – Małŝonka zastąpiła podkomisarzowi drogę, gdy ten chciał czmychnąć z pokoju. – Przecież widzę, jak nerwowo przerzucasz co rano strony gazet, szukając informacji o nim. Nawet nauczyłeś się korzystać z Internetu, ŝeby niczego nie przegapić. Zamiast cieszyć się, ŝe nie musisz się nim juŝ zajmować, ty kaŝdego dnia wyczekujesz jakiegokolwiek wzmianki o nim. Po co?

– Bo czuję, ŝe on coś knuje! – wypalił Łoś.

– I niech sobie knuje, teraz to juŝ zupełnie nie twoja sprawa! Zastąpiła cię przecieŝ jakaś dziewczyna.

– I w pierwszej chwili się ucieszyłem. Ale im częściej ją widywałem na korytarzu komendy, tym częściej miałem wrażenie, ŝe coś jest nie tak.

– Co?

– Ty wiesz, ŝe ona sama się zgłosiła do jego obserwacji? Chociaŝ od dawna kaŝdy policjant na sam dźwięk nazwiska tego detektywa wiał gdzie pieprze rośnie. A ona jak gdyby nigdy nic poszła na ochotnika. Normalnie samobójczyni.

– Samobójczyni? Moŝe się po prostu zakochała?

– Tobie to tylko jakieś romantyczne głupoty w głowie! Zasada mówił zresztą, ŝe ona jest podobno genetycznie uodporniona na jego wdzięki. Znaczy się wiesz, musi sama kobiety lubić.

– Jej sprawa. Takŝe to, ŝe się zgłosiła na ochotnika. A ty się zajmuj innymi sprawami i nie usadzaj nosa, gdzie nie potrzeba. Co cię to obchodzi?

– Jako funkcjonariusz państwowy czuję się odpowiedzialny za całe państwo.

– Łoś, czy ty nie masz gorączki? O czym ty bredzisz? Lepiej byś kupił baterie do pilota, bo się skończył zapas.

– Mam jeszcze dwie w kuchni, zaraz wymienię. – Podkomisarz chciał wykorzystać okazję do zmiany tematu, ale małŝonka nie dała mu tej szansy.

– Łoś, nie wykręcaj się! Gadaj wreszcie, o co ci chodzi.

– Myślę, ŝe ona jest z nim w zмовie.

– Jakim cudem? Przecieŝ dopiero się nim zaczęła zajmować. A on ostatnio przycichł...

– No właśnie, to pewnie jakaś część piętrowego spisku. On przycichł, aby ona się mogła uwiarygodnić, ŝe jest skuteczna w neutralizowaniu jego wyskoków. A tymczasem oboje knują coś takiego, co moŝe doprowadzić do obalenia rządu. Jakaś megasprawa! Wiesz, ŝe ona spędza na strzelnicy dziesięć godzin w tygodniu?! No co się tak na mnie patrzysz?

– Za duŝo czytasz, Łosiu, tych tandetnych kryminałków. – Ogrom pogardy malującej się na twarzy małŝonki spowodował, ŝe podkomisarz bał się nawet zaprotestować przeciwko wysoce niesprawiedliwej ocenie literatury, którą ubóstwiał od dzieciństwa. – Teraz juŝ nikt nie marzy o obaleniu jedynie słusznego ustroju. Zajmij się lepiej czymś pożytecznym. Jakiegoś złodzieja złap albo coś.

– Skoro mi nie wierzysz, to twoja sprawa – obruszył się podkomisarz.

– Wierzę ci. To znaczy, wierzę, ŝe ty w to wierzysz, bo juŝ masz na punkcie tego Przypadka kompletnego hopla. I juŝ się boję, jak to się skończy. Chyba ci będę musiała ograniczyć telewizję.

– Cooo?!

– Spokojnie, nie całkiem. Zrezygnujemy z kanałów informacyjnych. Stały się zbyt podobne do tych twoich kryminałków. Jak ich człowiek posłucha, to może wpaść w niezłą paranoję i rzeczywiście pomyśleć, że ktoś nam szykuje jakiś straszny spisek.

Od kilku miesięcy redaktor Anna Sobania wzbudzała w swoich podwładnych więcej niż mieszane uczucia. Były dni, że uważali ją za najuspanialszą szefową świata i odważnie przychodzili prosić o podwyżki, chociaż dobrze wiedzieli, że w ich coraz mocniej redukującej się branży nie jest to krok rozsądny. Wprawdzie rzadko komu się udawało wywalczyć choć kilka groszy, ale nikt nie wychodził z jej gabinetu z pustymi rękoma. Zawsze można było liczyć na jakiś bonus, jakieś zaproszenie na darmową wyżerkę, przydział do fajnego tematu albo wydłużenie terminu napisania jakiegoś artykułu.

Lecz bywały też dni, kiedy każdy z dziennikarzy działu Kraj „Nowego Życia” wiedział doskonale, że albo znajdzie jakiś świetny powód, by wyjść z redakcji, albo już powinien zastanawiać się, jakich argumentów użyć, by uniknąć natychmiastowego dyscyplinarnego zwolnienia. W takich dniach podwładni Sobani zawsze ciężko wzdychali i mrugając do siebie porozumiewawczo, mówili: „Sakowicz znów dał plamę”. Nie rozumieli przy tym skomplikowanej relacji łączącej ich szefową z młodym adwokatem. I do głowy by im nie przyszło, że akurat w tych dniach Błażej osiągał podwójne szczyty swojej jakże zasłużonej sławy Młodego Boga Seksu.

Właśnie w taki dzień, gdy Ania Sobania wpadła do redakcji, warcząc na każdego po drodze i wydając głośno komendę: „Gównu mnie obchodzi kto, za pięć minut mam mieć kawę na biurku”, w „Nowym Życiu” pojawił się niespodziewany gość. Zobaczył, że właściwie wszyscy pracownicy są zgromadzeni pod jednym gabinetem i na siłę wypychają sobie filiżankę z kawą, jakby była gorącym kartoflem. A gdy podszedł do nich i zaproponował, że on chętnie poda redaktor Sobani kawę, popatrzyli na niego jak na zbawcę skrzyżowanego z wariatem.

– No, kto się wreszcie odważył?! – wycedziła Ania, siedząc w wielkim fotelu tyłem do drzwi. – Niech zgodną, filiżankę trzyma Dana, a spodeczek Blana.

– Proszę zgadywać dalej. – Usłyszała i od razu wiedziała, kto wszedł do jej gabinetu. Tego ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwego tonu nie dało się pomylić z żadnym innym.

– Jacek?! Jak śmiesz tu do mnie przychodzić?!

– Ależ Aniu, chyba jeszcze twój naczelny nie ogłosił oficjalnego zakazu przyjmowania mnie w redakcji? – Przypadek uśmiechnął się przyjacielsko.

– Tylko bez głupich żartów. To, że jesteś najlepszym przyjacielem Błażeja, nie upoważnia cię do wchodzenia tu bez umówienia.

– Daj spokój, Aniu. Jesteś znowu z Błażem już prawie trzy miesiące i wciąż mnie unikasz.

– Nie unikam. Po prostu nie mam najmniejszej ochoty na spotkania z tobą. I będę ich zawsze unikać, mimo tego, że jestem z Błażem.

– Do końca życia?

– Nie mam zamiaru być z nim do końca życia – oświadczyła i doprecyzowała: – Z nikim nie mam zamiaru być do końca życia. To nie w moim stylu. Jasne, panie detektywie?

– Jasne, jasne – przytaknęła z nutką lekceważenia Jacek. – Ale nie o Błażeju przyszedłem rozmawiać.

– A o kim?



- O redaktorze Zbigniewie Brodzie - rzucił od niechcenia Przypadek i z pewnym rozbawieniem zaobserwował, jak Sobania cała sztywnieje. Tak jak każdy inny dziennikarz, gdy słyszy o temacie, którego nie można wymawiać na głos.

- To chyba dość nieaktualna sprawa - stwierdziła ostrożnie Ania.

- Zależy dla kogo. Są tacy, którzy chcą rozwiązać zagadkę jego śmierci.

- Myślisz o Kostrzewie? - prychnęła pogardliwie pani redaktor. - Przecież to kompletny wariat z manią prześladowczą. Wiesz, co on sobie wymyślił? Że ktoś chciał sprywatyzować polskie rzeki. I chociaż nikt nie widział nawet śladu projektu ustawy, to on go tropił i się odgrażał, że dopadnie.

- Aha. - Jacek pokiwał głową. - A co go tak naprawdę łączyło z Brodą?

- Zaczynali kiedyś razem w jakimś prowincjonalnym radiu. Tyle że Zbyszek to był facet z talentem i wyczuciem tematów. Dlatego został naczelnym redakcji informacyjnej TV Ekstra. A Kostrzewa miał tylko manię prześladowczą. Zbyszek go lubił, bo kiedyś w swojej audycji razem dobrali się paru gościom do dupy. Dlatego starał się Kostrzewie pomóc.

- Jak?

- Różnie. Na chwilę go ściągnął do TV Ekstra, ale Sowa się go szybko pozbył, bo od razu zaczęli do niego dzwonić ważni ludzie, że jak jego dziennikarze nie przestaną łązić za nieswoimi sprawami, to straci sporo reklam. A parę lat temu Kostrzewa na coś wpadł na tej swojej prowincji. Nic wielkiego, ale dostał za to bęcki od jakichś dziwnych gości w ciemnej uliczce. A na koniec zapowiedź, że jak będzie podskakiwał, to go uciszą na dobre. Zbyszek od razu puścił reporterów, żeby śledzili sprawę. Kostrzewa myślał, że mu kumpel pomoże rozgryźć drani. Ale Zbyszkowi chodziło tylko o to, żeby Kostrzewy nie zabili, więc gdy się zorientował, że mu nic nie grozi, odpuścił sprawę. Czyli rozsądny gość. Kostrzewę to strasznie wkurzyło. Wpadł na bal dziennikarzy i po paru kieliszkach mało się z Brodą nie pobił. Krzyczał, że Zbyszek się sprządał. Wariat po prostu.

- Dobrze znałaś tego Zbyszka?

- Fajny był koleś. I wódki z nim można się było napić, i kreskę czasem wciągnąć. Normalny facet. Ale więcej to by ci o nim mogła powiedzieć Malwina. Oni chyba ze sobą kiedyś kręcili. Pewna nie jestem, bo wiesz, Malwina to raczej skryta była w tych sprawach...

- To bez znaczenia, bo ona cały czas jest bardzo daleko - uciął Przypadek. - A powiedz, ale tak szczerze, w środowisku się nie mówiło, że ta jego śmierć jest podejrzana?

- Ale jakby co, to nie wiesz tego ode mnie - zastrzegła od razu redaktor Sobania. - Zbyszek ostatnio jakby za dużo kresek wciągał. Rozumiesz, stres, praca na wizji najczęściej oglądanego programu informacyjnego. W firmie trzymał fason, ale gdy miał kilka dni wolnego, to sąsiedzi czasem słyszeli, jak się kłóci sam ze sobą. No i większość ludzi myśli, że trochę mu odbiło. I albo wyskoczył przez ten balkon sam, bo za dużo wciągnął, albo wypadł niechcący, bo za dużo wciągnął.

- Czyli nikt w branży, poza tym Kostrzewą, nie wierzy, że ktoś panu Zbyszkowi pomógł?

- Było trochę plotek - przyznała niechętnie Sobania. - Ludzie to świnię, a Zbyszek rzeczywiście miał węża w kieszeni. Jedni twierdzą, że wisiał dostawcy za towar. A inni, że nie zapłacił za panienki. Albo że w ogóle był winien sporo kasy, bo Zbyszek lubił wpaść na ruletkę i zagrać w pokierka w kasynie. Ale nikt nie chce drażnić sprawy bez potrzeby. Po co to komu, że się z kolegi robi ćpuna, dziwkarza i hazardzistę? Nikomu to niepotrzebne.

- Czyli nikt nie wierzył, że Broda mógł chcieć pomóc Kostrzewie w rozgryzieniu tej afery z prywatyzacją polskich rzek?

- Rzekomej afery - podkreśliła Ania. - A nawet jeśli coś było, to przecież nic się na razie nie stało. A Zbyszek to był rozsądny dziennikarz, który wiedział, że pewnych tematów lepiej

nie ruszać.

– Za to ten Kostrzewa był z tych mniej rozsądnych. – Jacek pokiwał głową. – Wiesz może, gdzie go znaję?

– W szpitalu. Ale od wypadku nie odzyskał przytomności.

Gerhard Sowa dokładnie wytarł całe ciało ręcznikiem i sięgnął po ulubiony antyperspirant stojący na szklanej półeczce pod lustrem. Potem jeszcze z przyjemnością sprawdził swoją sylwetkę w lustrze. Trzeba uczciwie przyznać, że gdyby nawet był trzydziestolatkiem, trudno byłoby jej coś zarzucić, bo krzywizna brzuszka w niej nie istniała. A biorąc pod uwagę, że właściciel TV Ekstra przekroczył już lat sześćdziesiąt, można ją było uznać za idealną. Za taką zresztą uznawał ją sam Gerhard Sowa.

Myliliby się jednak ten, kto sądziłby, że z tego właśnie powodu bywał złośliwie nazywany Pan Idealny. Wprawdzie troskę o kondycję uważał za bardzo ważną, ale nie wyróżniał jej w sposób szczególny. Gerhard Sowa bowiem dbał perfekcyjnie o każdy element swojego życia i każdy z nich był zaplanowany precyzyjnie aż do bólu. To doprowadzało czasem do rozpacz i depresji jego współpracowników, którzy półgębkiem mówili o nim właśnie Pan Idealny. Nikt jednak nie odważył się wyrazić tego głośno, bo któż by śmiał wypowiadać się złośliwie o szefie najbardziej wpływowej stacji telewizyjnej w kraju.

Do oczekującego go w gabinecie gościa wyszedł już ubrany w nienaganny garnitur zapięty na ostatni guzik, bo nigdy nie pozwoliłby sobie na to, żeby ktoś, poza jego żoną, mógł widzieć, jak dopina spinki od mankietów. I choć Artur Kujawski, znany lobbysta, który zerwał się z fotela na widok gospodarza, również miał wizerunek dopracowany w najmniejszym detalu, to właściciel TV Ekstra nie mógł się powstrzymać od ironicznego uśmiechu na jego widok. Autor pozostawi jednak opis lobbysty na bardziej stosowną chwilę, bo wymaga on osobnego fragmentu, a nie tylko wtrącenia.

– Co nowego, panie Kujawski? – zapytał Sowa po wymianie uścisku dłoni z gościem.

– Jak zwykle sprowadzają mnie sprawy istotne dla naszego kraju.

– A konkretnie?

– W Sejmie trwają właśnie prace nad ustawą dostosowującą nasze prawo do wymogów Unii Europejskiej. Chodzi o odległość źródeł promieniowania elektromagnetycznego od skupisk ludzkich.

– Rozumiem zatem, że wynajęli pana producenci owych źródeł promieniowania. A co na tej ustawie mogliby zyskać zwykli obywatele, tacy jak ja?

– Mogłoby to im na przykład bardzo ułatwić stawianie masztów przekaźnikowych...

– No tak, to bardzo ważna sprawa dla obywateli. Postaramy się pozytywnie do niej podejść i pokazać jej dobrodziejstwa. Umówię pana z szefem naszych... – Drzwi się uchyliły i ukazał się w nich sekretarz prezesa Sowy. – Szczepanie, proszę...

– Oczywiście, panie prezesie. Ale przyszedł redaktor Skrupski. I mówi, że to bardzo pilne.

Gerhard Sowa bardzo nie lubił, gdy ktoś psuł jego idealnie zaplanowany dzień. W zasadzie nikomu na to nie pozwalał i nawet Wiktor Klempuch najpierw do niego dzwonił i się umawiał. Choć akurat lichwiarz traktował to jako wyraz swej przesadnej grzeczności, z której słynął. Mówiło się, że nawet przystawiając komuś pistolet do skroni, zapytałby: „Przepraszam, czy nie ma pan nic przeciwko temu, abym pociągnął za spust?”

Niestety, redaktor Skrupski nie miał zwyczaju wcześniejszego umawiania się, o czym Gerhard Sowa wiedział aż nadto dobrze. A on, mimo wszystko, nie mógł odmówić spotkania

z nim. Mógł za to zrobić coś, co z pewnością nie spodoba się redaktorowi. I ta myśl bardzo go ucieszyła.

– Proś go, Szczepanie. – Sowa kiwnął dłońią, a Kujawski od razu zapytał:

– Mam wyjść?

– Nie ma takiej potrzeby. Przecież zna pan się dobrze z panem redaktorem, nieraz lobbował pan u niego w sprawach ważnych dla kraju. – Pan Gerhard uśmiechnął się z zadowoleniem. Wiedział doskonale, że Skrupski miał hopla na punkcie dyskrecji rozmów. Sam redaktor twierdził, że to nawyk z czasów konspiracji. Właściciel stacji uważał, że to wyraz jego megalomanii i niechęci do dopuszczania kogokolwiek do komitywy, poza ludźmi wielkimi i niezbędnymi do realizacji dalekosiężnych planów słynnego dziennikarza. I dlatego nie odmówił sobie tej złośliwości wobec niespodziewanego gościa.

Po chwili do gabinetu prezesa telewizji wszedł Skrupski, który wyglądał jak antyteza gospodarza. I w gruncie rzeczy trudno było o większe przeciwieństwo Gerharda Sowy niż redaktor, który zdawał sobie sprawę z tego, że jego nieco abnegacki styl prowadzenia mocno irytuje właściciela telewizji. Dlatego prawdopodobnie specjalnie wyciągał z jednej strony koszulę, żeby wystawała, a wysoki stopień pomięcia spodni i marynarki był zapewne nieprzypadkowy.

– Dzień dobry, panie redaktorze.

– Witam prezesa. Widzę, że jak zwykle w dobrej formie.

– Idealnej. Po dziesięciu kilometrach zawsze tak mam. Polecam szczerze.

– To już nie dla mnie. Gimnastykę uprawiam tylko w mojej sypialni. – Skrupski roześmiał się gardłowo i poklepał prezesa Sowę po plecach, co tamten tylko skwitował grymasem mającym przypominać coś na kształt uśmiechu. Wszelkie spoufalanie się i próby fraternizacji tępił w załączku. I gdyby to nie był słynny redaktor, usłyszałby stosowną reprimendę.

– A tak, obito mi się o uszy, że pańska nowa przyjaciółka rzadko wypuszcza pana gdzieś wieczorem – wycedził dość chłodno.

– To prawda, Karolina nie przepada za życiem towarzyskim. Woli długie, intelektualne rozmowy – uśmiechnął się redaktor Skrupski. – Nigdy bym nie pomyślał, że dwudziestopięciolatka może się tak fascynować współczesną percepcją komunizmu. – Poglądził się po brodzie, zapuszczonej ostatnio na prośbę partnerki, która powiedziała, że ma profil wodza rewolucji bolszewickiej. A jeśli jeszcze na jego twarzy pojawi się zarost, to będzie wprost idealnie przypominał Lenina.

– Rzeczywiście, to zadziwiające. Zakładam jednak, że nie o tym chciał pan ze mną porozmawiać.

– To prawda. Zdaje się, że pan Przypadek może nam sprawić sporo kłopotów.

– Ma pan na myśli to, że zainteresował się sprawą wypadku Zbyszka Brody?

– Widzę, że pan prezes jest dobrze poinformowany. Tak, wiem, ma pan świetnych dziennikarzy...

– Mam żonę, która ma wspólnych znajomych z panią Irminą Bamber. Zresztą, kto nie ma z nią wspólnych znajomych? W każdym razie dotarła do mnie informacja, że ktoś go wynajął w tej sprawie. Nie wiem tylko jeszcze kto.

– Mógł to zrobić wyłącznie Kostrzewa. Tylko jemu mogło zależeć na rozgrzebaniu tej sprawy.

– No to nie mamy się czego obawiać. Pan Kostrzewa na szczęście nie może mu już zapłacić za jego usługi. A za darmo to pan detektyw raczej nie kiwnie palcem.

– Proszę mi wybaczyć, panie prezesie, ale trochę za bardzo ufa pan w to, co mówią w pańskich programach informacyjnych. Jemu w gruncie rzeczy nie zależy przesadnie

na pieniądzach.

– Uważa pan, że jest idealistą? – Sowa popatrzył zdumiony na redaktora Skrupskiego, bo ten był ostatnią osobą, którą by podejrzewał o dobre zdanie o Przypadku. – A słyszał pan, jak wyłudził ostatnie dwieście tysięcy od Bolka Szołtysika?

– Oczywiście, że słyszałem. I nie uważam go za idealistę. To po prostu mała, wredna, złośliwa małpa, która dla czystej przyjemności zniszczy wszystko. Nawet jak nie zarobi za to złamanego grosza.

– No, widzę, że naprawdę musiał kiedyś panu dopiec – uśmiechnął się Sowa. – I nie chodzi mi o mieszkanie, które stracił pan przez niego.

– Straciłem przez niego syna. – Skrupski powiedział to tak serio i z tak grobową miną, że chociaż Sowa wiedział, iż w utracie syna bardziej pomógł słynny, niepokonany apetyt seksualny redaktora, to nie miał ochoty wbijać mu kolejnej szpilki. Uśmiechnął się tylko i powiedział:

– Nie ma co rozdrapywać starych ran. Sam pan tak przecież nieraz pisał. Uważam, że niepotrzebnie poświęcamy mu tyle uwagi. Idealnie byłoby przemilczeć poczynania tego człowieka, wtedy z pewnością nie sprawiałby nam tyle kłopotu.

– Parę lat temu byłoby to banalnie proste. Ale teraz jest Internet, a on ma tam coraz więcej fanów. Nie możemy przemilczeć jego istnienia. Musimy go zniszczyć.

– Tylko mu niepotrzebnie robimy reklamę. A w sprawie Zbyszka Brody nic nie znajdzie. Nikt z tych, którzy znali go dobrze, nie powie mu o nim ani słowa.

– No, chyba że wyciągnie to z Kostrzewy. – Głos Kujawskiego uderzył się tak niespodziewanie w rozmowę Skrupskiego i Sowy, którzy tak bardzo przestali dostrzegać ten dziwny element tła w postaci lobbyisty, że złał się on dla nich niemal ze ścianą.

– Kostrzewa na razie nic nikomu nie powie – wycedził powoli dziennikarz. – To nie wiedzą panowie, że on jest jasnowidzem? Może się wedrzeć w umysł nieprzytomnego Kostrzewy i wyciągnąć z niego różne informacje – stwierdził z powagą Kujawski.

I choć lobbyista był brunetem, a na dodatek mężczyzną, to obaj panowie spojrzeli na niego tak, jakby mieli do czynienia z osławioną blondynką.

Błazej nie pamiętał, kiedy ostatnio tak bardzo się bał. Chyba w podstawówce, gdy dostał z matematyki pierwszą i ostatnią najniższą z możliwych ocen. Wiedział wprawdzie, że jego ojciec, pan Jędrzej, jako humanista, nie darzy zbyt dużą estymą nauk ścisłych, ale tak niska nota z jakiegokolwiek przedmiotu nie mieściła się w jego światopoglądzie. Dlatego kiedy szedł mu o tym powiedzieć, bał się bardziej niż wtedy, gdy oznajmił mu, że w wieku trzydziestu lat wyprowadza się z domu.

Zresztą rozmowa o wyprowadzce to było małe piwo w porównaniu z tym, co miał ojcu oświadczyć teraz. Opuszczenie domowych pieleszy było bowiem niczym wobec chęci opuszczenia rodzinnej kancelarii prowadzonej już przez sześć, licząc z Błazejem, pokoleń Sakowiczów. Dlatego też najmłodszy z rodu opóźniał, jak mógł najdłużej, tę straszliwą chwilę. Bo choć już właściwie wynajęli z Marzeną biuro, to i tak zwlekali z oficjalnym ogłoszeniem tej decyzji. Mieli o to nawet do siebie trochę pretensji, oskarżając się o tchórzostwo. Wreszcie postanowili, że zrobią to razem, jednego dnia, o dziesiątej. Gdyby nie to, Sakowicz nie postanowiłby pójść do gabinetu ojca.

Ale nie miał wyjścia. Inaczej i tak za chwilę pan Jędrzej dowiedziałby się wszystkiego, gdyby pan Fryderyk Przypadek zadzwonił do niego z pretensjami, że źle wychował syna, który odebrał mu najlepszą aplikantkę, teraz już pełnoprawną panią mecenas, co do której

ojciec Jacka miał wiele planów. Wolał zdecydowanie, żeby papa dowiedział się o tym od niego.

– Tato, musimy porozmawiać – oświadczył z determinacją, gdy tylko znalazł się w gabinecie ojca. Zaczął przy tym niezwykle nerwowo nabijać swoją fajkę, rozsypując naokoło tytoń.

– Jak zwykle jesteś nieznośnym bałaganiarzem. Gdybyś choć trochę postarał się być podobny do mnie i jakoś uporządkować swoje życie – skwitował jego zachowanie ojciec, demonstracyjnie starannie nabijając swoją fajkę. – I czy koniecznie teraz musimy rozmawiać, mój drogi? Dostałem bardzo interesującą propozycję i muszę przejrzeć papiery. Chce nas wynająć właściciel kamienicy przy Olbrachta sto dwa, który może stracić swój budynek na rzecz jakiegoś bezdomnego. Wyobraź sobie...

– Znam tę sprawę, tato.

– Znasz? A skąd?

– Ja reprezentuję tego bezdomnego.

– Chyba my reprezentujemy – poprawił pan Jędrzej syna, przyzwyczajony do tego, że samodzielnie Błażej może co najwyżej zawiązać sznurowadła. I to raczej pod nadzorem ojca udzielającego mu fachowych rad. – Ale moment, nie możemy go reprezentować, bo coś bym o tym wiedział.

– Tato, to pierwsza sprawa, którą prowadzę w mojej nowej kancelarii.

Pan Jędrzej Sakowicz uważnie spojrział na syna, upewniając się, czy wszystko dobrze usłyszał. Ale tak, nie ulegało wątpliwości, że Błażej powiedział to, co powiedział. Młody mecenas minę miał niezwykle poważną. Z tego powodu panu Jędrzejowi nie pozostawało nic innego, jak wybuchnąć serdecznym śmiechem.

– Pyszne! Paradne, mój drogi! Ha, ha, ha. Widzę, że odziedzyczyłeś po mnie chociaż angielskie poczucie humoru. Reprezentujesz bezdomnego w swojej nowej kancelarii. Ha, ha, ha!

– To nie żart, tato.

– Błażejku, daj spokój, ty nie byłbyś w stanie prowadzić samodzielnie żadnej sprawy bez mojej pomocy.

– Tato!

– No tak, ubawiłem się setnie, ale pamiętaj na przyszłość, że takie żarty muszą mieć w sobie większą dozę prawdopodobieństwa, bo wtedy są bardziej zabawne. Mój syn odchodzi do innej kancelarii?! Nikt w to nigdy nie uwierzy, Błażejku.

– Odchodzę, bo zakładam kancelarię wspólnie z Marzeną Kolską.

Śmiech pana Jędrzeja gasł powoli, bo śmiertelnie poważna mina syna kojarzyła mu się nieodmiennie z brytyjskimi żartami i był pewien, że Błażej kontynuuje jednak krotoczwilę w angielskim stylu. Nawet wtedy, gdy dotarło do niego, że syn mówi prawdę, usta z trudem z podkówki zwróconej ku górze zmieniały się w cienką kreskę. Gdy to już nastąpiło, pan Jędrzej zacisnął je tak mocno, że w pierwszej chwili nic nie mogło się przez nie wydostać. Dlatego, nim cokolwiek dał radę powiedzieć, powoli podniósł prawicę. Później wyciągnął palec wskazujący i skierował go jakby w zwolnionym tempie w stronę drzwi. Potem jego ręka wyprostowała się do granic możliwości. Dopiero na koniec, gdy Błażej już i tak podnosił się z krzesłka, wyszeptał:

– Wynoś się i więcej nie pokazuj mi się na oczy!

Bolko Szołtysik uwielbiał się odprężyć. Zwłaszcza gdy nie śledziły go zbyt ciekawskie oczy współpracowników i wielbicieli jego niezwyklej osobowości i poczucia humoru. A ponieważ nie miał na to szans w studiu, gdzie nagrywano program *Niepotrzebna prawda*, w każdej wolnej chwili wymykał się do tej kępy krzaków, chroniącej go przed wścibskimi spojrzzeniami. Wyciągał wtedy zakupiony ostatnio towar, zapalał, zaciągał się, przymykał z rozkoszy powieki i oddawał się rozmyślaniom o tym, jak świetlana przyszłość rysuje się przed tak młodym człowiekiem jak on, mającym zaledwie dwadzieścia lat i szesnaście tysięcy sześćset trzydzieści cztery dni. Oczywiście wyobraźni widział coraz to nowe tabuny kobiet przewijających się przez jego sypialnię w tempie słynnego pociągu pendolino. W tej chwili nawet miał wrażenie, że podchodzi do niego jedna z nich, wyglądająca nad wyraz ponętnie. Wyciągnął już dłonie w jej kierunku, żeby sprawdzić, czy jej piersi są darem natury, czy chirurgii plastycznej, gdy nagle usłyszał:

– Cześć, Boleczku.

Szołtysik otworzył oczy i niestety nie zobaczył przed sobą nadobnej niewiasty w zwiewnych szatach, lecz tylko faceta w sportowym stroju z bezczelną miną. Dlatego zamiast przytulić go do siebie, zakrzuszył się dymem z jointa i długo nie mógł złapać oddechu.

– Khm... khm. Ychu... Cooo ty tuuu robisz?

– To co zwykle, trenuję do maratonu. Nie pamiętasz?

– Pamiętam. Już chyba pięć lat tak trenujesz.

– Dokładnie siedem.

– Aha. A nie mógłbyś trenować gdzie indziej?

– Zrobiłem sobie krótką przerwę i postanowiłem zapytać, jak wyglądają prace nad programem o mnie? – Jacek uśmiechnął się serdecznie.

– To nie jest program o tobie, tylko o niepotrzebnej prawdzie.

– Wiesz również dobrze jak ja, że gdyby nie moja skromna osoba, Klempuch nie wyciągnąłby cię z pudła i z otchłani niebytu i nie załatwiłby ci tego programu.

Bolko uwprawdzie doskonale to wiedział, lecz nie miał pojęcia, skąd wie o tym Przypadek. No, chyba że rzeczywiście ma paranormalne zdolności, które pomogły mu się dowiedzieć, kto stoi za produkcją programu Szołtysika i Fifki. Lecz choć Bolko uważał się za znawcę świata duchowego i pozazmysłowego, to jednak do jasnowidzów podchodził nieco sceptycznie.

– Program ma wielu sponsorów, ponieważ poruszamy ważne dla ludzi tematy. – Szołtysik wykręcił się oficjalną formułką. – A idzie nam coraz lepiej.

– Chyba nie do końca, skoro musisz regularnie tu wychodzić i się odprężyć.

– To nieprawda! Już od dawna nie kupuję żadnego towaru. Tego jointa znalazłem, widać ktoś go niechcący tu zostawił. W nic mnie nie zrobisz! A w ogóle, jakim prawem mnie śledzisz?!

– Szkoda mi czasu na śledzenie cię.

– Tak? To skąd wiesz, że ja tu regularnie...

– Elementarne, Boleczku. Przebiegłem naokoło studia i to jedyne zarośla, jakie tu zostały. Dalej są już tylko pola i podmokła łączka wzdłuż rzeczki. Wejście do tej norki nie jest zbyt wielkie, ale ścieżeczka od chodnika wyraźnie wydeptana. A ponieważ bywasz tu sam, musisz robić to często, skoro zostawiłeś tak wyraźne ślady swoich wędrówek.

– A może wcale nie bywam sam? W naszej branży wielu ludzi lubi się odprężyć jointem.

– To prawda, ale tu bywasz sam. Jak znam życie, to wprawdzie stacja broniła mężnie twojego prawa do posiadania pół kilo marychy na cele lecznicze, ale wpisała ci

do kontrakciku jakiś sprytny zakaz palenia zioła, żebyś nie odleciał w trakcie nagrania, jak kiedyś przy spotkaniu z premierem. Dlatego tu się musisz przed wszystkimi ukrywać, bo nawet Fifka by na ciebie chętnie doniósł. A o innych nie wspomnę. Taka branża. Solidarna, postępową, nowoczesną i nieskalaną tradycyjną moralnością.

– Czego chcesz? – zapytał ponuro Szołtysik, który zrozumiał, że został nakryty nie dla pustej satysfakcji.

– Kilku informacji o twoim sąsiedzie, Zbyszku Brodzie.

– Nic ci o nim nie powiem! To był porządny gość. Wprawdzie jak byłem na aucie, to mi przestał mówić dzień dobry, ale wtedy słabo kontaktowałem i miałem to w dupie. A gdy wróciłem do gry, to od razu przyszedł z wódką i towarem – wyznał z uśmiechem Szołtysik, lecz zaraz się zastrzegł: – Ale za mocnym jak dla mnie, ja tylko trawę... żeby nie stracić formy. Miałem nawet potem do niego wpaść z rewanżem, ale on wcześniej wyfrunął przez balkon – zasmucił się Bolko. – Szkoda, że nie zdążyłem, bo był w dołku i mówił, że chętnie by odszedł z zawodu, bo całe to gówno go mierzi. Gadał nawet, że ma jakiś pomysł, co robić potem, a nawet widoki, jak zdobyć kasę. Moim zdaniem to on chyba sam postanowił polatać, bo miał wszystko dość. To wszystko, nic więcej nie wiem.

– A powiedz, ktoś u niego bywał przed jego ostatnim lotem? Poza panienkami do towarzystwa i dilerem.

– No, widzę, że sporo wiesz. – W głosie Bolka nie było słyhać uznania, lecz raczej głęboką irytację. – Ale ja nie podglądam sąsiadów.

– To skąd wiesz, że bywały panienki i diler? Jak tak będziesz dalej czarowała, to ja zaraz krzyknę coś do tych kamerzystów, którzy wyszli przed studio na papierosa. Pewnie już któremuś zalazła za skórę i chętnie doniesie, gdzie trzeba...

– Ty gnido – burknął Szołtysik, intensywnie zaciągając się trawką. – No dobra, rzeczywiście, dwa, trzy tygodnie przed tym wypadkiem często wpadał do niego jakiś kurduplowaty brunet wyglądający jak skrzat. Ale nie znam gościa. Słowo.

– Uwierzę w twoje słowo, jak powiesz, kogo znasz z tych, co odwiedzali Brodę przed śmiercią.

– Był u niego kilka razy taki jego stary kumpel, Kostrzewa. Taki duży misiek. Znaczący bysior. No i Sowa kiedyś wpadł w środku nocy. I to bez ochroniarzy, chociaż się podobno bez nich nie rusza. – Ten fakt pewnie już wcześniej zastanowił Bolka Szołtysika, ale teraz, gdy poświęcił w głębi swojego umysłu ulubionym rozjaśnierzom, zadziwił go na nowo. Podobnie jak Jacka.

– Sam właściciel telewizji? No to musiał mieć do niego bardzo ważną sprawę.

– Nie mam pojęcia. Przecież nie mam jak go podsłuchać, a on... – Szołtysik urwał, ponieważ nagle stwierdził, że jest zupełnie sam. – Jacek? – zapytał nie wiadomo kogo. Wychylił się przez gałęzie i rozejrzał. W zasięgu wzroku nie było nikogo, zniknęli nawet kamerzyści spod studia.

„Przecież nie mógł tak szybko pobiec za studio – zastanawiał się. – Cholera, czy ja znów mam jakieś zwidy? Niedobrze. To znacząco tragicznie. Przedtem mi się ta laska Karolina pokazywała, a teraz? To pewnie przez to, co mi powiedział Fifka: że się Przypadek zainteresował sprawą Zbyszka. Ale jak mnie tak będzie dalej nachodził przy odlotach, to chyba rzeczywiście będę musiał przestać jarać”

Marzena zapewne jeszcze dłużej niż Błażej odkładałaby chwilę oznajmienia swojemu pryncypałowi, że odchodzi, ale właśnie dostała esemesa od swojego współnika, iż u niego

„już po wszystkim?” Wiedziała zatem, że nie może zwlekać ani sekundy. Dlatego po prostu weszła do gabinetu pana Fryderyka i nie cofnęła się nawet, widząc, że rozmawia on przez telefon.

– Ależ uspokój się, Jędrzeju. – Słyszac imię Sakowicza seniora, Marzena zesztymniała ze strachu. – To nie jest koniec świata. Jakoś dasz sobie radę. Nie, nie wiedziałem o tym, ale właśnie weszła do mojego gabinetu, żeby mi to zapewne oznajmić. – W tym momencie Marzena najchętniej odwróciłaby się na pięcie i uciekała gdzie pieprz rośnie. – Sam rozumiesz, muszę kończyć, żeby z nią porozmawiać. Żegnam cię. – Pan Fryderyk odłożył słuchawkę i przyjrzał się uważnie swojej do niedawna aplikantce.

– Ja... Ja chciałam...

– Przecież już wiem. Niczego nie musisz mi tłumaczyć. – Łagodny ton głosu pana Fryderyka ją zaskoczył i poczuła się jeszcze bardziej głupio. – Szkoda tylko, że nie powiedziałaś mi tego trochę wcześniej.

– Bałam się – wyznała szczerze świeżo upieczona pani mecenas.

– Mnie? – zdziwił się pan Fryderyk. – Przecież wiesz, że cię bardzo lubię i cenię. Kiedy byłaś narzeczoną mojego syna... A właśnie, wy pewnie w ogóle udawaliście ten związek od początku?

– Skąd pan wie? – spytała zaskoczona Marzena, choć zdawała sobie sprawę, że powinna raczej zaprzeczyć.

– Powiedzmy, że domyślałem się tego przez większość czasu. Nie, nie uważam, jak mój syn, że ludzie są banalnie przewidywalni, ale też nie jestem ślepcem. W pierwszej chwili uwierzyłem, choć czułem, że cię nie kocha, bo myśli cały czas o Basi. Ale myślałem, że jesteś pewnym lekiem na zapomnienie. A kiedy zrozumiałem, że to całe udawanie narzeczeństwa było po to, żebyś dostała się na aplikację adwokacką, byłem pewien, że zaraz po staniu się pełnoprawnym mecenasem będziesz chciała odejść. Jesteś ambitną, inteligentną kobietą i już pewnie sam fakt korzystania z takiej pomocy w karierze był dla ciebie upokarzający. Prawda?

– Tak – przyznała szczerze mecenas Kolska. Nie było chyba bowiem dnia, w którym by nie żałowała tej decyzji. I dlatego, że ją podjęła, i dlatego, że musiała w niej konsekwentnie wytrwać. – Nie gniewa się pan?

– Za to, że odchodzisz?

– Za wszystko. – Pani mecenas spuściła wzrok, żeby Fryderyk Przypadek nie zorientował się nieopatrnie, za co powinien być najbardziej na nią zły.

– Ależ Marzenko, miałem fantastyczną pracownicę, dzięki której zarobiłem mnóstwo pieniędzy i świętego spokoju. Tak, przez moment łudziłem się trochę, że może zastąpiś mojego syna i zostaniesz współniczką w mojej kancelarii, ale wiem, że to było głupie. Zanim jednak odejdiesz, mam dla ciebie zadanie na najbliższe tygodnie.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że może wykorzystam zaległy urlop.

– Zapłacę ci za niego. Podwójną stawkę. – Marzena otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, choć raczej powinna baczniej nadstawić uszu, by upewnić się, czy się nie przesłyszała. – Mam do ciebie pełne zaufanie, dlatego musisz mi zrekrutować pracowników do kancelarii.

– To znaczy... pracownika na moje miejsce?

– Nie. Twoje miejsce przestanie istnieć. Potrzebuję zwyczajnej sekretarki. Tylko prosba, niech będzie sympatyczna, ale niezbyt ładna, żeby mnie nie kusiło. – Pan Fryderyk puścił oko do Marzeny, a ta coraz bardziej nabierała przekonania, że przybity ostatnimi wydarzeniami mecenas Przypadek musiał sięgnąć po jakieś chemiczne środki na depresję. Mogła mieć tylko nadzieję, że to kolorowe pigułki, które przepisał mu jakiś lekarz, a nie podejrzane specyfiki zdobyte na własną rękę od handlarza spod ciemnej gwiazdy. Pan Fryderyk nie pozwolił jej



jednak się nad tym zbyt długo zastanawiać. – Do tego wezmę ze dwóch aplikantów, najlepiej mężczyzn. I może współnika, muszę pomyśleć... Ale tego wybiorę sam, chociaż gdybyś słyszała o jakimś dobrym młodym prawniku, może być radca, może być adwokat, to daj mi znać. Tylko, broń Boże, nie ten, który mnie rozwiódł z żoną. Wiem, jest dobry, ale mimo wszystko bym nie chciała.

– Chce pan rozwinąć kancelarię?

– Póki jeszcze mam trochę siły.

– Ale... dlaczego?

– To ostatnia chwila, żeby coś zmienić w swoim życiu – oświadczył z werwą mecenas i dokończył już znacznie smutniej: – Wczoraj sąd orzekł mój rozwód.

Gerhard Sowa lubił biegać blisko siedziby swojej stacji, po parkowych alejkach i drózkach przylegającego do niej lasu. Tak, aby prosto z trasy móc wbiec na schody w stronę swojego gabinetu, wziąć prysznic, przebrać się i ruszyć do zajęć zawodowych. Od wielu lat w tych przebieżkach towarzyszyli mu jego ochroniarze, ludzie z doświadczeniem w oddziałach specjalnych, którzy bez mrugnienia okiem byliby w stanie zneutralizować jakiegokolwiek niebezpieczeństwo w każdy dozwolony lub niedozwolony sposób. Kiedy zaczynali swoją pracę, właściciel TV Ekstra był z nich dumny i uważał ich za niezbędny element swojego statusu. Potem, kiedy już nikt nie miał prawa wątpić, że pan Gerhard jest zamożnym człowiekiem, zaczęli mu trochę ciążyć. W końcu jednak musiał się pogodzić z ich obecnością, żeby nie być narażonym na zaczepki natrętów.

A takich było sporo: od polityków nierozumiejących, dlaczego nagle stacja prezesa Sowy przestała ich kochać i popierać, przez scenarzystów chcących osobiście opowiedzieć mu swój absolutnie genialny pomysł na serial, idealny dla TV Ekstra, po wariatów wierzących, że pan Gerhard ma jakieś osobiste połączenie z genialnymi kosmitami. Ot, przeciętna grupka natrętów, z którą musi zmagać się niejeden właściciel ponadprzeciętnej fortuny. Wszyscy oni czatowali na niego jednak raczej przy wejściu do stacji, ubrani w zwykłe stroje, gdyż żaden z nich w biegu nie byłby w stanie dotrzymać mu kroku, więc nawet nie próbował tego robić. Dlatego ochroniarze w parku i lesie trzymali się raczej w dyskretnej odległości za swoim szefem.

Teraz jednak musieli przyspieszyć kroku, bo na drodze właściciela TV Ekstra znalazł się jakiś mężczyzna robiący rozgrzewkę, jakby szykował się do biegu. Niby nic niezwykłego, park ani las nie były terenem prywatnym, choć w godzinach, w których biegał Sowa, nie było tu dużo ludzi. Lecz ich ochroniarzki nos mówił im, że ten facet nie znalazł się tu bez powodu. Również Sowa z wolnii, ponieważ miał przeczuć, że ten ktoś czeka właśnie na niego. Gdy był już obok rozgrzewającego się mężczyzny, ochrona zrównała się z nim.

– Dzień dobry, panie prezesie – uśmiechnął się Jacek. – Pobiegamy?

– Wprawdzie widzę pana pierwszy raz na oczy, ale po pana bezczelności domyślam się, że jest pan owym detektywem czy też jasnowidzem.

– A ja słyszę po pańskim wątpięcym tonie, że nie wierzy pan w moje nadprzyrodzone moce.

– Gdyby pan je rzeczywiście posiadał, nie byłoby pana tutaj, bo wiedziałby pan, że z panem nie pobiegam i nie porozmawiam. – Sowa skinął głową na swoich ochroniarzy, którzy zrobili ruch w stronę Jacka, chcąc go przestawić na bok ścieżki.

– Jakże mógłbym przypuszczać, że nie będzie pan chciał porozmawiać o morderstwie jednej z gwiazd pańskiej stacji...

Jeden z ochroniarzy uniósł Jacka do góry i widać było, że najchętniej cisnąłby nim w krzaki.

– Nic nie wiem o żadnym morderstwie – zaprzeczył Sowa, ale dał delikatny znak ochroniarzowi, by jednak postawił detektywa na ziemi.

– I dlatego chciałem z panem pobiegać. Bo inaczej trudno się umówić z panem na rozmowę.

– Zbyt wielu ma na to ochotę.

– Nie wątpię. Ale czasem to pan sam przychodzi osobiście do kogoś pogadać.

– Doprawdy? Nie przypominam sobie.

– Wizyty u swojej gwiazdy w domu też pan nie pamięta? I to bez tych dwóch przyjemniaczków?

Ochroniarz, który przed chwilą odstawił Jacka na ziemię, miał ochotę, jak również niekłamaną nadzieję, na to, że zaraz dostanie zlecenie na prawego prostego i detektywa wyląduje w krzakach. Zamiast tego usłyszał ze zdziwieniem:

– Pobiegajmy. – Sowa ruszył truchtem. Jacek dołączył do niego, zostawiając w tyle nieco zdezorientowanych ochroniarzy, którzy dopiero po chwili pobiegli za nimi. – Zbyszek Broda to był wyjątkowy facet.

– Aż tak bardzo, że pojawił się pan u niego w domu?

– A co w tym złego?

– Nic. Ale człowiek, który tak ceni zdrowy styl życia, nie miałby co robić wieczorem u redaktora Brody, który lubił raczej niezdrowe rozrywki.

– Jeśli to przesłuchanie, to przykro mi, ale nic pan ode mnie nie wydostanie. Na szczęście nie muszę odpowiadać na pańskie pytania.

– Na moje nie. Ale gdy z tymi pytaniami przyjdzie do pana jedna z najlepszych dziennikarek śledczych w Polsce, która jest moją dobrą znajomą, to już może panu nie pójść tak łatwo.

Właściciel TV Ekstra zatrzymał się i dał ręką znać swoim ochroniarzom, żeby stanęli w odpowiedniej odległości.

– Pan żartuje? – Sowa wydawał się mocno rozbawiony. Tak, ten Przypadek jest jednak zdecydowanie przeceniany. Żeby grozić szefowi najbardziej wpływowej telewizji w kraju jakimś dziennikarskim śledztwem? Przecież trudno byłoby nawet znaleźć prokuratora, który by się poważił na przesłuchanie pana Gerharda. – Niezależnie od tego, o kim pan mówi, ja się na pewno znam z jej szefem, który nie pozwoli mi zadać żadnego pytania. Ale przyznaję, dawno nikt mnie tak nie rozśmieszył. Dlatego rozwieję pańskie wątpliwości, żeby zaoszczędzić kłopotu i wizyty u tej jednej z najlepszych dziennikarek śledczych w Polsce – wybił ironicznie ostatnie słowa. – Proszę pytać.

– Dziękuję. Po co zatem odwiedzał pan wieczorami redaktora Brodę?

– Próbowiałem go ratować. Nie da się ukryć, że ostatnio popłynął. Trochę za dużo wódki, hazardu... no i prochów. Dzwoniła do mnie jego była żona, szef anteny też ze mną rozmawiał. Bali się o niego. A ja podobno byłem jednym z niewielu ludzi, których on z kolei się bał i których słuchał. Obiecywał mi, że się poprawi. Ale było, jak było. Zresztą pewnie sam pan słyszał plotki, że wypadł, bo przedawkował.

– A może pan go ratował nie przed prochami, ale przed zajęciem się jakimś tematem? Na przykład aferą z prywatyzacją polskich rzek.

– Po to mogłem go wezwać do siebie. Poza tym nie było żadnej afery. – Gerhard Sowa nie był już tak rozbawiony jak przed chwilą.

– Być może to zasługa pańskiej wizyty. No, chyba że pan twierdzi, iż nic pan nie wiedział o tym temacie?

– Pewnie pana zdziwię, ale owszem, wiedziałem. I wiedziałem, że redaktor Broda ma ochotę się tym zająć, ponieważ chce go w to zrobić stary kumpel z prowincji. Chociaż moim zdaniem, jak mówiłem, nie było żadnej afery. Po prostu ten kumpel, nazywał się chyba Kostrzewa... czy Kostrzewski? Nieważne. Ten kumpel postanowił zrobić z igły widły. Rzeczywiście, paru facetów chciało urządzić na statkach na Wiśle pływające kasyna i potrzebna im była zmiana przepisów dotyczących prawa własności do rzek. Ale to nie miało nic wspólnego z ich prywatyzacją. Nikt by nic nie stracił, jedynie obywatele zyskaliby pływające kasyna, jak w Stanach, a państwo dostałoby pieniądze do budżetu.

– Dlatego zabronił pan Brodzie zajmować się tą sprawą?

– Niczego mu nie zabraniałem. Dziennikarzom mojej stacji pozostawiam pełną swobodę w doborze tematów. Wystarczy, że zdobędą solidne dowody na potwierdzenie tego, co mówią.

– Czyli redaktorowi Brodzie nie udało się zdobyć dowodów?

– Nie. A przynajmniej te dowody do mnie nie dotarły.

– Kostrzewa uważa, że mu je dostarczył.

– Doprawdy? Rozmawiał pan z nim ostatnio?

– Czynię to nieustannie. Jest moim klientem i fakt, że leży nieprzytomny w szpitalu, niczego tu nie zmienia.

– Jest nieprzytomny? Jakiś wypadek? – zainteresował się uprzejmie Sowa, ale Jacek zbył jego pytania milczeniem. – Ale zdaje pan sobie sprawę z tego, że ja, w odróżnieniu od tej bandy idiotów z warszawki, nie wierzę w jasnowidzów?

– I bardzo niesłusznie. Są na tym świecie rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

– Zapewne. Ale w mojej stacji pracują rozsądni dziennikarze, którzy wiedzą, że bez niezbitych dowodów nie wolno nikogo oskarżać. I o to miał pretensje Kostrzewa do redaktora Brody. Uważał bowiem, że najpierw trzeba rozdmuchać aferę, a potem na pewno znajdą się ludzie, którzy dostarczą dowody. A jeśli nawet się nie znajdą, to ci, którzy rzekomo zechcą prywatyzować polskie rzeki, się wystraszą i nic więcej nie zrobią. Ten facet miał manię prześladowczą. Gdy usłyszał, że Zbyszek nie kiwnie palcem bez dowodów, to nawet chciał go pobić. I to u nas, w stacji. A gdy go odciągali ochroniarze, to groził, że mu tego nie daruje i że Zbyszek go popamięta.

Starszy aspirant Smańko czuł, że nie po raz pierwszy zawiódł swego pryncypała. W zasadzie był to stan permanentny od czasu, gdy w życiu ich dwóch pojawił się Jacek Przypadek. Policjant miał nadzieję, że sytuacja ta się zmieni, gdy tylko obaj zostaną zwolnieni z szaczytnego obowiązku obserwacji kłopotliwego detektywa. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Podkomisarza Łosia bieżące śledztwa, którymi się zajmowali, obchodziły o tyle o ile, natomiast bardzo interesowała go aspirant sztabowa Agnieszka Storczyk, która zamiast nich miała się zająć obserwacją słynnego detektywa.

Miała się zająć, ale nie tylko zdaniem podkomisarza, lecz także Smańki niespecjalnie się zajmowała. Fakt, przez jakiś czas Przypadek jakby przycichł i wycoczywał. Ale teraz aż huczało od plotek, że prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci redaktora Zbigniewa Brody. A tymczasem aspirant Storczyk głównie była widywana z książkami prawniczymi, gdyż kończyła właśnie studia na Wydziale Prawa i przechodziła słynną kampanię wrześniową, zaliczając zaległe przedmioty. Smańko nie zauważył natomiast żadnej jej

aktywności, która miałyby związek z detektywem Przypadkiem. A mógł obserwować ją bardzo dokładnie, ponieważ takie zadanie otrzymał od swojego przełożonego. I starał się wywiadywać z niego jak najlepiej. Lecz za każdym razem, gdy podkomisarz pytał o wyniki inwigilacji, Smańko mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce i patrzeć na zawieszoną minę przełożonego.

W tej chwili również szedł za aspirant Storczyk, która wędrowała przez teren Uniwersytetu Warszawskiego. Wyglądała przy tym na całkowicie pochłoniętą przepisami prawa administracyjnego, którego tajniki zgłębiała, nawet się nie zatrzymując. Smańko właśnie temu przypisał fakt ominięcia przez nią Wydziału Prawa. W pierwszej chwili pomyślał, że będzie lepiej, gdy na nią zaczeka, bo przecież aspirant Storczyk wkrótce zorientuje się w swojej pomyłce. Gdy jednak przez kilka minut wciąż nie wychodziła zza rogu budynku, postanowił za nią ruszyć. Spodziewał się zobaczyć ją z nosem w książce siedzącą na jednej z ławek. Od początku bowiem sprawiała na nim wrażenie mało zdolnego kujona, który musi poświęcić bardzo dużo pracy, żeby do czegoś dojść. Dlatego bardzo się zdziwił, gdy zamiast na ławce ujrzał jej twarz tuż przed swoimi oczami.

– Jakie pan prowadzi dochodzenie, panie starszy aspirancie? – zapytała policjantka.

– No... Bardzo ważne.

– I dlatego musi pan za mną chodzić jak cień?

– Wydaje się pani. – Smańko podjął beznadziejną próbę zaprzeczenia rzeczywistości. – A jeśli nawet, mam takie polecenie od przełożonych, którzy są zaniepokojeni pani bezczynnością.

– Mówi pan o inspektorze Zasadzie? Rozmawiałam z nim dzisiaj rano i wyglądał na zadowolonego z efektów mojej pracy.

– Aha. – Smańko był nieco zbity z tropu. – Ale mówię o innych przełożonych.

– O tym nieudaczniku Łosiu? – zapytała z drwiącym uśmiechem Storczyk. I choć Smańko zdawał sobie sprawę z niektórych mankamentów swojego przełożonego, to takiej opinii o nim zdecydowanie nie mógł zaakceptować.

– Mówi pani o oficerze starszym rangą – uniósł się honorem Smańko.

– Tego właśnie nie mogę pojąć. Ale wierzę, że wkrótce po skończeniu przeze mnie studiów to się zmieni i to ja będę starsza stopniem. Zwłaszcza że odnoszę coraz więcej sukcesów w pracy. Czego nie da się powiedzieć o podkomisarzu Łosiu.

– Może tylko się pani tak przechwała? I wciska pani kit inspektorowi Zasadzie. Przecież pani nawet nie wie, co teraz robi ten Przypadek!

– Oczywiście, że wiem. W tej chwili siedzi z tą Irminą Bamber, którą pewnie boli głowa z powodu nowych sąsiadów, i omawia wyniki śledztwa w sprawie zabójstwa redaktora. To znaczy, domniemanego zabójstwa.

– Skąd pani to wie?! Od kilku godzin z pewnością nie widziała go pani na oczy.

– Bo ludzie są banalnie... – Aspirant Storczyk urwała. – To znaczy, da się przewidzieć pewne ludzkie zachowania. To chciałam powiedzieć. A o tym, czy mam rację, może się pan przekonać sam. Ja się stąd nie ruszę jeszcze przez dwie godziny. A on będzie u niej najwyżej jakieś pół godziny.

Pani Irmina Bamber uważała, że jeśli ktoś ma czyste sumienie, to z pewnością nie powinien mieć problemów ze snem. Ważne jest również, aby nie czytać zbyt przerażających książek, nie oglądać horrorów i oszczędnie gospodarować pieniędzmi, nie robiąc długów. A gdy

do tego dużo się spaceruje i prowadzi aktywny tryb życia, to będzie się zasypiało z pewnością jak niemowlę.

Tych wszystkich przykazań dobrego snu pani Irmina przestrzegała sumiennie. Niestety, jej niezawodny przepis nie sprawdzał się ostatnimi czasy i miała za sobą kilka ciężkich nocy. Dlatego potwornie bolała ją głowa i z trudem skupiała się na tym, co opowiadał jej Jacek.

– Wszystko dobrze, pani Irmino? – zapytał z troską Przepadek.

– Tak – potwierdziła odruchowo, bo taki miała nawyk, żeby na nic się nie skarżyć. Po chwili zrozumiała, że ta sprawa i tak dotyczy Jacka, więc nie ma co jej przed nim ukrywać.

– Pod trzynastkę wprowadziła się dwójka nowych sąsiadów. I powiem ci, że jak Bączek robił kiedyś remont, to chyba zachowywał się ciszej niż oni.

– Też remontują?

– Gorzej. Rozmawiają ze sobą. Bardzo głośno rozmawiają. Właściwie bez przerwy się kłócą. Gdybym nie wiedziała, że to dwóch mężczyzn, powiedziałabym, że to jakieś stare, dobre małżeństwo. Ta trzynastka to jednak ma pecha do lokatorów.

– Za to ja mam szczęście, że chwilowo rzadko tu bywam. – Po twarzy Jacka nie było widać przesadnej radości.

– Wciąż sypiasz u mamy?

– Tak. Potrzebuję mnie. Na początku procesu rozwodowego była niesłychanie energiczna, ale pod koniec jakby z niej uszło powietrze. Staram się ją jakoś rozweselać, ale słabo mi to wychodzi.

– Musi minąć trochę czasu. Jakoś to będzie.

– Pewnie tak. – Jacek pokiwał smutno głową. – Ale co pani sądzi o tym, co usłyszałem od pana prezesa?

– Myślisz, że to ten Kostrzewa mógł wypchnąć Brodę?

– To chyba chciał mi zasugerować pan Gerhard.

– Uważasz, że nie mówił prawdy?

– Tego nie wiem. Ania także mówiła, że Kostrzewa rzucił się kiedyś na Brodę na balu dziennikarzy. Ewidentnie miał problem z kontrolowaniem emocji. A ponadto był sporo większy i silniejszy od Brody. Mógł wypchnąć starego kumpla, a potem wmówić sobie, że to wszystko przez tych złych ludzi od afery z prywatyzacją rzek.

– Ale widzę, że nie za bardzo wierzysz Sowie?

– Gdyby naprawdę podejrzewał Kostrzewę, zrobiłby wiele, żeby tamten miał problemy.

– Tak bardzo cenił Brodę?

– Nie. On chyba w ogóle nie ceni ludzi. Za to na pewno pani słyszała, jak bardzo nie lubi, gdy ktoś mu zniszczy jego własność.

– To prawda. Jest sknerą do granic możliwości i nie znosi wydawać pieniędzy dwa razy na to samo. Opowiadała mi znajoma, że kiedyś nawet urządził śledztwo w sprawie przetartego futerała do okularów, którego używał przez dziesięć lat. To znaczy chciał dotrzeć do winnego tego przetarcia – uśmiechnęła się pani Irmina. – Ale ten Broda to jednak nie futerał...

– Za to odnoszę wrażenie, że pan Sowa traktuje ludzi bardzo przedmiotowo. I ktoś, kto „popsułby” mu jego człowieka, w którego wiele zainwestował, stałby się jego wrogiem.

– No to może... ten Kostrzewa nie miał wypadku, tylko ktoś go wepchnął pod samochód. Albo specjalnie go potracił. Pamiętasz, mówiłam ci, że był przekonany, iż ktoś go śledzi niebieskim autem.

– To możliwe. Ale Sowa raczej po prostu zleciłby swoim ludziom, żeby wykończyli go w inny sposób. Na to pytanie mógłby odpowiedzieć pewnie sam Kostrzewa...

– Zbadałam sprawę. Mam znajomego lekarza, który się nim zajmuje. Podobno Kostrzewa czasem reaguje na jakieś bodźce. Ale nawet jeśli się obudzi, to minie bardzo dużo czasu, zanim zdoła coś powiedzieć.

– Mógłbym przecież z nim porozmawiać za pomocą mojej szklanej kuli, prawda? – Jacek powiedział to tak serio, że pani Irmina nie była pewna, czy żartuje, i dlatego odpowiedziała ostrożnie:

– Pytanie tylko, czy ktokolwiek uwierzyłby w to, co z niego wyciągnąłeś.

– Ważniejsze, czy ktoś by uwierzył, że mogę coś z niego wyciągnąć.

– Ja, pozwolisz, pozostanę sceptyczna.

– Ale nie odmówi mi pani pomocy, gdybym musiał uwiarygodnić swoją wersję? – Jacek uśmiechnął się szelmowsko.

– Mam zacząć rozповідаć, że wyciągnąłeś coś telepatycznie z Kostrzewy?

– Jeszcze nie teraz. Na razie spokojnie poczekam na ruch pana Sowy.

– Jaki ruch?

– Dławiący wolność prasy.

– Na pewno go wykona?

– Tego nie wiem. Lecz jeśli to zrobi, to będzie znaczyło, że ma w tej sprawie sporo do ukrycia.

Błażej wprawdzie zawsze uważał, że pociąga wszystkie kobiety świata, ale w dociekaniu przyczyn tego zjawiska poprzestawał na konstatacji, że działa na nie jego zwierzęcy magnetyzm. Nie wnikał w istotę tegoż magnetyzmu i nie próbował zrozumieć głębi kobiecej psychiki, uznając samokrytycznie, że go to przerasta. Był jednak pewien dość prostych mechanizmów, które sprawiać powinny, że kobieta wciąż głośno krzycząca z rozkoszy przynajmniej przez pewien czas po ostatnim, spazmatycznym C, powinna być miła dla swego pana i władcy. Niestety, od pewnego czasu obserwował zjawisko wprost przeciwne i musiał przeżywać ataki furii swej partnerki, Ani, gdy najmniej się tego spodziewał. To coraz bardziej go frustrowało i sprawiało wręcz, że zaczął dość często miewać bóle głowy. Lecz redaktor Sobania, będąca prawdziwym macho, nie miała litości dla kobiecych wymówek. Dlatego, chcąc nie chcąc, mecenas Sakowicz musiał regularnie stawać na wysokości zadania. A potem robił kolejny unik, żeby but dziennikarki nie uderzył go w głowę...

– Za co, żabko? – spytał ze strachem.

– Za tego twojego przyjaciela z bożej łaski.

– To przez niego jesteś ostatnio tak... rozstrojona?

– Jak rozstrojona?! – nastroszyła się Ania. – Mam po prostu nerwową pracę. A on mi tego nie ułatwia. Wiesz, że mnie niedawno odwiedził?!

– Coś mi mówił. Prowadzi sprawę dla jakiegoś dziennikarza.

– Nie dziennikarza, tylko zwykłego wariata z manią prześladowczą!

– Ale to podobno grubsza afera. Z jakąś prywatyzacją rzek w tle.

– Skąd on to niby wie? Gdybym mu nie powiedziała, to w ogóle by o tym nie usłyszał!

– Mógł mu powiedzieć jego klient...

– Jego rzekomy klient. I nie miał prawa od niego nic usłyszeć, bo go w życiu nie widział przytomnego...

– No wiesz, Jacek jest jasnowidzem – powiedział bez specjalnego przekonania Błażej, ale i tak musiał zrobić unik przed kolejnym butem leącym w jego stronę. – Żabko...

– Oddawaj buty! – zażądała stanowczo Ania, a Sakowicz junior posłusznie podał jej oba narzędzia przemocy. – I nie mów mi więcej o tym Przypadku. Ciągle mam przez niego problemy.

– Tylko za to, że cię odwiedził?

– Nie. Coś mnie podkusiło, żeby sprawdzić tę sprawę...

– Iiii?

– I nic. Dowiedziałam się jedynie, że za sprawą tych rzek chodził podobno taki lobbysta, Kujawski. Ale nie wiem, dla kogo pracował.

– Na pewno się dowiesz...

– Nie mam zamiaru się dowiadywać! Mam teraz inne rzeczy na głowie...

– A co, pewnie dostałaś propozycję programu w telewizji... – wyrwało się Błażejowi, który dopiero gdy zobaczył minę Ani, zrozumiał, że powinien być trzymać język za zębami.

– Skąd wiesz?

– Coś chyba wspominałaś ostatnio...

– Kłamiesz! Nic ci nie mówiłam. Propozycję dostałam dzisiaj!

– Aha... Ale zasługiwałaś na nią od dawna. Dlatego tak mi się skojarzyło – wybrnął Sakowicz, gdy Ania zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem dziennikarki śledczej. I choć dojrzała pewne niepokojące rzeczy, włożyła tylko buty i bez słowa ruszyła do wyjścia.

Błażej jak zwykle pobiegł za nią w nadziei, że może dostanie jeszcze pożegnalnego buziaczka, ale redaktor Sobania od dawna była wobec niego wyjątkowo mało czuła. Mógł więc tylko zamknąć za nią drzwi. A potem wyjął komórkę i szybko wybrał numer do przyjaciela.

– Cześć, Jacuś... Tak, miałaś rację... Tak, dzisiaj jej ten program zaproponowali. Ale wcześniej zdążyła się dowiedzieć, że koło tej sprawy chodził jakiś lobbysta Kujawski... Nie ma za co. Tylko prosba, nie pogrywaj z nią tak więcej. Strasznie jest ostatnio cięta, nie mogę z nią dojść do ładu. A właśnie, może ty wiesz, o co jej chodzi? Masz większe doświadczenie w związkach z kobietami, może coś mi doradzisz – poprosił bez wielkiej nadziei mecenas Sakowicz. Po chwili po wyrazie jego twarzy można było poznać, że dostał radę, jakiej w życiu by się nie spodziewał. – Co mam zrobić?! Zwariowałaś?! – O ile przed chwilą mina Błażeja wyrażała zdziwienie, o tyle teraz malował się na niej przestraszony. – To znaczy, że ona... że ja... – Te słowa zdecydowanie nie chciały przejść przez ściśnięte gardło prawnika, ponieważ z jego punktu widzenia były zbyt przerażające.

Największym błędem, jaki często popełniają zarówno wielcy wodzowie, jak i ci nieco mniejszego formatu, jest niedocenywanie przeciwnika przy przeszacowaniu własnych sił. Dobrze, jeśli potrafią wyciągnąć naukę z pierwszych drobnych porażek. Gorzej, jeśli wciąż wierzą we własny geniusz i nie rozumieją, dlaczego ktoś zagrał im na nosie.

– Smańko, macie za sobą ponad siedem lat pracy w policji – irytował się podkomisarz. – A ona co, ledwie półtora roku w służbie i już wam zagrała na nosie. Możecie mi wyjaśnić, jak to się stało?

– Sam nie wiem. – Starszy aspirant stał smutny ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Pewnie jakoś zauważyła, że za nią szedłem.

– Jakoś zauważyła – przedrzeźniał podwładnego Łoś. – Zapewne zlekceważyliście podstawowe zasady inwigilacji.

– Ależ skąd! Cały czas zachowywałem odległość. No ale czasem musiałem też utrzymać kontakt wzrokowy. A ona mnie tu, w komendzie, widziała i się zorientowała.

– Oj, czuję, że moglibyście się od niej sporo nauczyć, Smańko. Powinna dać wam lekcję, jak obserwować bez utrzymywania kontaktu wzrokowego.

– Może blefowała z tym Przypadkiem?

– Sami przecież to sprawdziliście.

– To, że Przypadek siedział u Bamber, to żaden dowód. On do niej często zachodzi.

– To oczywiście, Smańko. Daliście się jej podejść. Zamiast nie spuszczać jej z oka, pobiegliście sprawdzać informacje, których i tak nie moglibyście zweryfikować bez podsłuchu.

– No właśnie, panie komisarzu – ożywił się starszy aspirant. – A może ona założyła temu Przypadkowi podsłuch?

– Nielegalny?

– Tego nie wiem. Ale to jedyne wytłumaczenie tego, że tak dokładnie wszystko o nim wiedziała.

– Jedyne, powiadacie? – Łoś spojrział kpiąco na podwładnego, podkreślając węża. – Jeszcze się musicie dużo nauczyć, Smańko.

– Pan serio, panie komisarzu, z tym, że oni są w zмовіе?

– Oczywiście, że serio. A dlaczego miałbym być nie serio?

– Łoś spojrział groźnie na starszego aspiranta.

– Tak tylko pytam.

– Coś czuję, że wątpicie w moją teorię.

– Nie, nie – zapewnił gorąco Smańko. – Tylko do tej pory nie stwierdziłem między nimi żadnych kontaktów.

– Już chyba ustaliliśmy, że wasze metody inwigilacji nie są doskonałe, prawda? Poza tym chyba zapominacie, że są telefony i Internet. Brak kontaktów osobistych najlepiej świadczy o tym, jak bardzo są ostrożni. A to oznacza, że to, co knują, może być naprawdę niebezpieczne.

– Pan komisarz ma coś konkretnie na myśli?

– Gdybym wiedział coś konkretnie, zgłosiłbym to wyżej, a nie kazał wam chodzić za tą Storzcyk – stwierdził zirytowany Łoś. – Ale w końcu dowiem się, co ich łączy. Bo co do tego, że łączy, nie mam cienia wątpliwości. Nawet jeśli wy macie.

– Ależ skąd, sądzę, że pan komisarz ma rację – zapewnił szczerze Smańko, choć w przeciwieństwie do przełożonego uważał, że tym czymś nie jest antypaństwowy spisec, ale coś dużo bardziej banalnego. – No tylko że ona jest bardzo sprytna.

– Wiem, Smańko. Ale ja jestem sprytniejszy. Podszkolę was w metodach inwigilacji. Będzie dobrze i ją przechytrzymy.

W ten oto sposób rodzą się klęski, które ponoszą zarówno wielcy wodzowie, jak i ci mniejszego formatu. Niestety, najczęściej nie płacą za nie oni sami, lecz ich podwładni. Dlatego Smańko uznał, że najwyższy czas rozglądać się już za inną robotą. Choćby i gorzej płatną, za to pozbawioną ryzyka.

Korzystając z okazji, że Jacek postanowił właśnie odwiedzić Kujawskiego, autor przedstawia teraz opis tej postaci, obiecany wcześniej Czytelnikowi. Otóż lobbysta był przez całe swoje życie doskonałym uosobieniem wszystkich najnowszych trendów w męskości. Jeszcze kilka lat temu mówiono o nim, że jest idealnie metroseksualny. Od pewnego czasu jednak jego wizerunek zyskał sporo nowych treści. Okalająca twarz broda drwała była doprawdy imponująca i bardzo starannie przycięta. Jak bowiem powszechnie wiadomo, wszyscy



mężczyźni trudniący się ścinaniem drzew w leśnych ostępach wyjątkowo dbają o idealny rozmiar swego zarostu. Do tego na czubku głowy Kujawskiego jego modnie przycięte włoski były upięte w niesłychanie męski koczek, jaki nosiło wielu prawdziwych mężczyzn w tym sezonie.

Również gabinet lobbyisty był zaprojektowany zgodnie ze wszystkimi zasadami wciąż modnego *feng shui*. Pierwiastki *jin* i *jang* zostały idealnie rozłożone w siatce *bagua* i zakomponowane w przestrzeni biurowej, dzięki czemu Kujawski mógł się cieszyć w pracy niemal boskim spokojem. Z klientami spotykał się wprawdzie głównie poza biurem, ale tu nabierał niezbędnej energii do efektywnego lobbowania.

Dzisiaj jednak jego gość odwiedził go tutaj, choć wcześniej się nie umawiał. Chociaż lobbyista mógł się tego spodziewać, gdyż poranny pasjans wypadł bardzo niepokojąco. Ale w pierwszej chwili przyjął, że to efekt nieodpowiedzialnej grupy obywateli, która zaczęła zbierać podpisy pod projektem ustawy przeciwnej umieszczeniu źródeł promieniowania zbyt blisko ludzkich siedzib. A tymczasem wychodziło na to, że karty ostrzegały Kujawskiego przed niespodziewanym najściem tego straszliwego potwora, o którym mądrzy ludzie mówili, że magia się go w ogóle nie ima.

– Dzień dobry, panie Przypadek – przywitał się drżącym głosem lobbyista, ale nie odważył się przy tym podać mu bezpośrednio ręki, bojąc się, by w trakcie tego króciutkiego kontaktu Jacek nie tchnął w niego jakiegoś złego ducha.

– Miło mi. – Świdrujące oczy detektywa przeszyły lobbyistę, a ten poczuł jakąś przedziwną potrzebę mówienia prawdy, której nie doświadczył od dawna. – Chciałem porozmawiać o ustawie o prywatyzacji polskich rzek.

– Proszę pytać – powiedział niemal wbrew sobie Kujawski.

– Podobno lobbował pan za nią?

– To prawda – potwierdził Kujawski i resztką sił dorzucił: – Ale to nie chodziło o prywatyzację jako taką. – Uświadomił sobie, że w szufladzie ma mały amulet, który być może osłoniłby go przed kryptonodem prawdomówności. Sięgnął więc do niej i chwycił magiczny niebieski kamień z wyrytą na nim ochronną runą Algiz. – Chodziło o uzyskanie pewnej swobody działań na terenie owych rzek w zamian za bardzo wysokie dochody do budżetu państwa – przypomniał sobie formułkę używaną w rozmowach z odpowiednimi ludźmi, u których lobbował za ustawą, i uznał, że to zbawienny wpływ amuletu.

– Tak, wiem, wspominał mi o tym prezes Sowa – oświadczył beztrosko Jacek, a lobbyista poczuł, że magiczny niebieski kamień to może być za mało. Bo skoro Przypadek nie dość, że dostał się przed oblicze właściciela TV Ekstra, to jeszcze uzyskał od niego taką wiadomość, to taki zwykły amulecik to na niego z pewnością zbyt mało. Nie miał jednak nic więcej, dlatego jedyne, co mógł zrobić, to przyłożyć niebieski kamień w okolice skroni, żeby zablokować unikanie w jego umysł. Nie na wiele się to chyba zdało, bo Przypadek podpowiedział mu z uśmiechem:

– Obok ma pan jeszcze pentagram.

– Słucham?

– Widzę, że pan się przede mną nieźle broni. Runa Algiz to świetna rzecz, ale ma pan jeszcze na biurku pentagram runiczny w pamięci UPS – uśmiechnął się przyjaźnie Jacek. – I chyba przy kluczach do pańskiego niebieskiego audi widzę jeszcze przyczepiony amulet ochronny thurisaz.

Kujawski chwycił odruchowo pentagram i kluczyki do wozu, ale po chwili zrozumiał, że detektyw poczęstował go nie radą, lecz kpiną. Widać jego moc jest tak wielka, że pokona

absolutnie każdy amulet. Ale trudno, lobbysta nie miał wyjścia, musiał się bronić wszelkimi dostępnymi środkami.

– A wracając do tej ustawy. Podobno redaktor Broda interesował się nią i chciał o niej zrobić duży materiał.

– To prawda. Zbyszek uważał, że ta ustawa zagraża dostępności rzek dla obywateli. – Kujawski ścisnął mocno wszystkie amulety. – Ale to nieprawda. To nie o to chodziło.

– Czyli miał zamiar opublikować materiał dotyczący tej sprawy?

– Tak. Staralem się go przekonać, że to bez sensu. Że nie powinien wierzyć temu Kostrzewie, bo on ma manię prześladowczą i robi z igły widły.

– Ale Broda nie dał się przekonać?

– W zasadzie dał. Postawił jednak pewne warunki. Chciał pieniędzy. Dużo. Mówił, że się musi podzielić pieniędzmi ze swoim kolegą, który za tym chodził.

– Kostrzewą?

– Tak.

– Zna go pan?

– Właściwie nie. Znajomi mówią, że to wariat. Gdzieś kiedyś ktoś mi go pokazał na balu dziennikarzy. Ale nigdy z nim nie rozmawiałem.

– Lobbował pan za ustawą, a on do pana nie dotarł?

– Działam bardzo dyskretnie.

– Aha. A kto zlecił panu lobbowanie za tą ustawą?

– Ja... ja nie mogę... – Kujawski niemal zgniatał amulety, ale poczuł, że jest już całkiem bez sił, a moc Jacka ścisnęła na odległość jego gardło. – Wiktor Klempuch.

Po tym wyznaniu magiczne przedmioty wysunęły się z rąk lobbysty, a ona sam czekał, aż Przypadek podejdzie do niego i zada mu ostateczny cios. Tymczasem detektyw popatrzył tylko na niego przez chwilę, a potem machnął ręką na pożegnanie i wyszedł. Im bardziej oddalały się jego kroki na schodach, tym bardziej Kujawski czuł, że wracają mu siły. Chwytał w płuca większy haust powietrza i pomyślał, że na przyszłość musi się lepiej zabezpieczyć. Ostatnio ktoś proponował mu Różową Potęgę, magiczne szkło cięte na sześćset sześćdziesiąt sześć płaszczyzn. Absolutny unikat, pozwalający w pełni przejąć kontrolę nad umysłem rozmówcy, wart sto tysięcy złotych. To jednak było zbyt dużo nawet jak na lobbystę.

– No nic, będę musiał się zadłużyć i trochę potargować – mruknął pod nosem. – Ale zwróci mi się to potem w kontraktach.

Fifka nieźle kojarzył Małgosię Urbanek z czasów, gdy królowała na wybiegach i nosiła jeszcze inne nazwisko. Nie była w jego typie, gdyż jak na modelkę miała zbyt duży biust i być może dlatego, mimo wyjątkowej urody, nie zawojowała całego świata mody. Bartosz, podobnie jak większość światowej sławy projektantów, wolał panie płaskie jak deska, które przy zmrużeniu oczu mogły uchodzić za chłopców. A ponieważ już przed zejściem w ciążę ciała Małgosi nie brakowało – zwłaszcza że z wybiegami pożegnała się kilka lat wcześniej – obecnie Fifka spodziewał się, że zobaczy mocno roztytą byłą modelkę.

Ktoś mu wprawdzie wspomniał, że Małgosia wygląda nieźle, ale uznał to za wypowiedź czysto kurtuazyjną. Znał dobrze ten typ urody i wiedział, że kobietom nim obdarzonym trudno utrzymać wagę w czasie ciąży, a potem pozbyć się zbędnych kilogramów. Gdy więc zobaczył wspaniale prezentującą się modelkę na imprezie u znajomych, na którą się wprosił specjalnie w celu spotkania z nią, powiedział z nutką autentycznego podziwu i żalu:

– Ale ty świetnie wyglądasz...

– Staram się trzymać linię – odpowiedziała mu z uśmiechem Małgosia, którą zachwyty dziennikarza nad jej figurą tyleż rozbawił, co ucieszył.

– Ale czekaj, to przecież jest ledwie miesiąc od porodu – stwierdził z niedowierzaniem.

– Mniej więcej.

– No naprawdę szczere wyrazy uznania. Zawsze uważałem, że projektanci to w większości matoly niepotrafiące docenić prawdziwego piękna – uśmiechnął się przymilnie Fifka.

– Dobrze wiesz, Bartek, jakie oni cenią piękno – skontrowała go Małgosia, a Fifka uśmiechnął się krzywo.

– Tak, tak – przytaknął niechętnie. – Niektórzy to zakłamani wszarze – dodał szczerze, gdyż rzeczywiście nie przepadał, z wzajemnością, za pewnym projektantem, który swego czasu odbił mu chłopaka.

– To może powinieneś o tym opowiedzieć w swoim programie?

– Tak – przytaknął automatycznie Fifka, ale zaraz się po prawił: – To znaczy... Nie wiem, czy akurat to się mieści w formule programu. A nawet wręcz przeciwnie, bo to taka niepotrzebna prawda. Po co ludzie mają wiedzieć, jak to naprawdę jest?

– Bo to ciekawe. Sama mogłabym dorzucić parę ciekawych opowieści.

– Miałabyś ochotę wystąpić w moim programie?! – zapytał nieco zbyt głośno i natarczywie Fifka, ale postanowił nie przegapić żadnej szansy na to, po co tu przyszedł.

– I poopowiadać o hipokryzji w świecie mody? Naprawdę byś mi to puścił? – Małgosia spojrzała na Bartka z kpiną.

– To znaczy... wiesz, będzie montaż, może się nie zmieścić. Ale i o tym porozmawiać możemy – oświadczył dzielnie.

– A o czym jeszcze chcesz porozmawiać?

– Cóż... chodzą słuchy... Że twoje dziecko to nie tego dzianego kolesia, z którym byłeś, ale Przypadka.

– A jeśli tak, to co z tego? – Małgosia przestała się uśmiechać.

– Moglibyśmy o nim pogadać.

– O moim dziecku?

– Nie żartuj. O Przypadku.

– A konkretnie?

– Czuję, że on ma nierówno pod kopułką z tą swoją obsesyjną potrzebą ujawniania prawdy. A tak naprawdę to zakłamana świnia.

– Widzę, że nie lubicie się z wzajemnością.

– Mówił coś o mnie?

– Nie o tobie konkretnie, ale tak bardziej ogólnie o dziennikarzach brylujących w mediach. Że to tacy mediaktorzy, czyli mali medialni dyktatorzy. Albo medialni aktorzy? Już nie pamiętam, o co mu dokładnie chodziło.

– Wredny gnojek.

– Pewnie masz trochę racji.

– Naprawdę? – Fifka był zdziwiony, że tak łatwo udało mu się skłonić Małgosię do wyznania. – A mogłabyś powiedzieć coś więcej?

– Pewnie bym i mogła. Ale będę czegoś potrzebowała.

– Czego?

– Ostatnio krucho u mnie z forszą. Mój biznesmen, gdy się zorientował, że zaciążyłam i to nie z nim, szybko się zwinął. Starzy znajomi nie mogą mi zapomnieć, że byłam z Przypadkiem. Przydałoby mi się trochę kontaktów.

– Jasne. – Zadowolony mediator pokiwał głową. Wkroczył na bezpieczny teren, rozmawiał językiem, który rozumiał. Ja załatwię coś tobie, ty załatwisz coś mnie. Ręka rękę myje i nie złapie jej za szyję. – Ale wiesz, te informacje o Przypadku muszą być mocne – zastrzegł.

– Uwierz, że będą naprawdę mocne.

– To dam cię na finał sezonu – uśmiechnął się szeroko Fifka, który najchętniej wyściskałby Małgośię. – Zawsze wiedziałem, że nie pasujesz do tego gościa. Jesteś na to zbyt porządna.

– Może być i finał. Tylko bez kasy nie dotrwam do tego finału. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Fifka promieniał coraz mocniej. Teraz mógł być pewien, że Małgośia dostarczy mu naprawdę mocnych argumentów, skoro tak bardzo zależy jej na jego kontaktach.

– Postaram się jak najszybciej coś dla ciebie znaleźć. A może sobie kresczkę wciągnemy? – zaproponował dla przybicia interesu, który zrobili.

– Nie, dzięki. Karmię, sam rozumiesz.

– No trudno – zmartwił się Fifka. – To pójdę sam wciągnąć. A kiedy już przestaniesz karmić, zadzwonię, dam ci namiar na świeżego dilerka, który obsługuje teraz ważnych ludzi – powiedział Bartosz, dumny, że sam jest wśród tych ważnych ludzi obsługiwanych przez owego dilerka.

Bolek, od czasu najścia go przez Przypadka, odwiedzając regularnie swoją kryjówkę, za każdym razem okrążał ją pięciokrotnie. Wykonywał przy tym sześćset dwadzieścia pięć starannie wymierzonych kroków i rozglądał się aż po horyzont w obawie, czy nie zobaczy czegoś niepokojącego. Dopiero wtedy spokojnie wchodził do środka i zapalał swój towar. Nie przewidział jednak, że niebezpieczeństwo będzie czało się wewnątrz, na dodatek ukryte gdzieś w rogu, i popuka go w ramię, gdy już będzie się zaciągał.

– Jak zdrowko, Boleczku? – zapytał Jacek.

– Yhm, khm, uhu... – Szołtysik zakrztusił się dymem. – Co ty tu znów robisz?

– Wciąż trenuję do maratonu.

– Wystartuj w nim wreszcie i nie strasz porządnym ludzi.

– Spokojnie, kiedyś na pewno wystartuję. Ale na razie przybiegłem pogadać ze starym znajomym – oświadczył Jacek, wykonując trochę rozgrzewających ćwiczeń, bo czekał na bywalca tej dziupli pół godziny.

– Nie jesteście żadnymi znajomymi. A ciebie tu nie ma. Ty mi się tylko wydajesz.

– Masz rację – przytaknął detektyw, a właściwie jego hologram. – Mnie tu nie ma.

– No to znikaj stąd, bo muszę zająrać w spokoju.

– Zniknę, jak tylko mi odpowiesz na kilka pytań.

– Nie mam zamiaru! Do niczego mnie nie zmusisz. I nie strasz mnie, że zawołasz kamerzystów. Tylko ja cię słyszę.

– Boleczku, pomyśl. Skoro ja ci się tylko wydaję, możesz ze mną bez obaw porozmawiać. Za to w nagrodę zniknę z twoich myśli.

– Nie wierzę ci.

– To zrób zakład Pascala i sprawdź. – Bolek szybko przeszukiwał zakamarki własnego niepospolitego umysłu w celu sprawdzenia, o co chodzi Jackowi, ale ponieważ nic tam nie znalazł, detektyw przyszedł mu w sukurs. – Pomyśl, że co ci szkodzi, nic nie ryzykujesz.

– Aha... No dobra, pytaj.

– Czy Zbyszek coś ci mówił o aferze z prywatyzacją rzek?  
– No, coś tam bąkał, że mu Kostrzewa sprzedał temat i naciska na jego rozdmuchanie, ale on to chce rozegrać inaczej. Ale nie mówił jak. Tylko że się Kostrzewa wkurza, bo to straszny narwaniec jest.

– A może klócili się o kasę? Może Broda tak chciał rozegrać sprawę? Mówiłeś, że miał jakiś pomysł na zdobycie pieniędzy.

– Ale nie mówił jaki. I wątpię, żeby się chciał podzielić z kumplem.

– Ja też. Podejrzewam, że Kostrzewa mógł Brodzie pomóc spaść z balkonu. Zdaje się, że Broda chciał zgarnąć całą pulę i nie dzielić się z kumplem. Kasą albo sławą i chwałą.

– Może tak – przytaknął Szołtysik. – Ale nie udowodnisz tego. Nawet nie możesz z nim porozmawiać.

– Tak sądzisz? – spytał Jacek. – Nie doceniasz mnie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby dowieść prawdy i zmusić go do przyznania się do winy. Znasz mnie przecież.

– Czyli ty... rzeczywiście jesteś paranormalny – stwierdził Bolko i mocno się zaciągnął, ponieważ wiara w takie wyznanie wymagała, aby umysł jak najbardziej oderwał się od rzeczywistości.

– Jasne. Teraz na przykład rozmawiam z tobą telepatycznie, bo tak naprawdę siedzę w swoim gabinecie przed czarodziejską kulą. Była własnością Ossowieckiego, a on był słynnym telepatą, u którego rad zasięgał podobno nawet marszałek Piłsudski.

Bolko przypatrywał się Jackowi przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy może mu uwierzyć. Zdawał sobie sprawę, że wymagałoby to logicznego myślenia, a o to w wyniku regularnych wycieczek w to miejsce nie było łatwo. Lecz spróbował podjąć wysiłek. Skoro Przypadek rzeczywiście nie było koło niego, to mógłby się telepatycznie wedrzeć w jego umysł i w tej chwili gadał z jego hologramową iluzją. To jednak wydało mu się bardzo nieprawdopodobne. Wprawdzie detektyw jakoś mu się na pewno wydawał, ale należało to zdecydowanie przypisać towarowi, który właśnie palił. Chociaż, swoją drogą, żal, bo gdyby Jacek rzeczywiście tu był i zdradził mu się ze swoimi planami, Bolko mógłby to wykorzystać. Ale jeśli Przypadek jest wyłącznie wytworem jego umysłu, to nie ma co sobie zawracać tym głową.

– Eee... Szkoda, że to nieprawda – westchnął Szołtysik.

– Dlaczego szkoda?

– Dlatego, że mógłbym zainstalować kamery w sali Kostrzewy i to nagrać. Puścilibyśmy to w dwudziestym pierwszym odcinku w siedemset siedemdziesiątej siódmej minucie programu, licząc od początku. Lubię siódemki, przynoszą fart. I dalibyśmy tytuł Rycerz Prawdy oskarża nieprzytomnych ludzi.

– Dobry tytuł. Podoba mi się. – Jacek pokiwał głową z uznaniem, a Bolko przyjrzał mu się dokładnie.

– Ty mi się rzeczywiście wydajesz. Inaczej byś mnie nie pochwalił.

– Masz rację, wydaje ci się. Dlatego strasznie żałuję, że nie zrobisz tego programu.

– Moment, bo nie łąpię. Albo mi się wydajesz, albo żałujesz programu. – Bolek dopalił jointa i czuł, że bez odrobiny pomocy z zewnątrz nie będzie w stanie rozwiązać tego problemu.

– Masz rację. A jednocześnie jej nie masz. Pamiętaj jednak o zakładzie Pascala.

– Po co? – zdziwił się Szołtysik, ale Jacek nie odpowiedział, tylko zaczął wpatrywać się w jakiś punkt za plecami Bolka.

– Kurczę, chyba Fifka tu idzie.

– Jak, gdzie?! – Prerażony Szołtysik wychylił się ze swojej norki w poszukiwaniu telewizyjnego partnera. Nikogo nie dostrzegł, dlatego odwrócił się z powrotem. Za jego plecami nie było już jednak Przypadka. – Jacek?! Gdzie ty jesteś? – Szołtysik rozejrzył się bezradnie. – Jak on zniknął? Aha... Pewnie ten Pascal podziałał. Muszę o gościu trochę poczytać.

Przezroczysta kapsułka wysunęła się z blistra i wpadła w dłoń Irminy Bamber. Starsza pani połknęła ją błyskawicznie w nadziei, że zaraz przyniesie jej ona ukojenie. Od wielu już dni głowa bolała ją niemal nieustannie, a pani Irmina poważnie się zastanawiała nad wyprowadzką, przynajmniej na jakiś czas. Już raz to zrobiła, gdy sąsiad spod trzynastki, pan Bączek, przeprowadzał remont. Ale każdy remont kiedyś musi się skończyć, za to kłótnie nowych sąsiadów zdawały się tego końca nie mieć. Z tego powodu krótki urlop nic by nie dał, musiałyby się chyba wyprowadzić na stałe.

Wzywanie policji i tak nie miało sensu. Gdy uczynili to sąsiedzi z dołu, usłyszeli tylko, że powinni osobiście porozmawiać z kłócącą się parą, gdyż organa władzy nic nie mogą zrobić. Zbierała się do tego, ale jakoś nie miała do końca śmiałości. Różne anatomiczne szczegóły, które wyciągali w kłótni partnerzy spod trzynastki, sprawiały, że bała się, iż nie będzie umiała z nimi pokonwersować. Chociaż kilka razy, gdy ich miją, sprawili na niej nawet sympatyczne wrażenie. Ukłonili jej się, przedstawili – Gabriel i Roman – pokazali swojego uroczego, małego pieska. Jak więc miała im powiedzieć, że gdy ten pies wtóruje kłótniom swoich właścicieli, najchętniej zrobiłaby mu coś niemiłego? Znając życie, rozpląkałaby się.

Pani Irminie nie pozostało więc nic innego, jak tylko liczenie na to, że kłątwa lokalu numer trzynastki dosięgnie również ich i nie zagrzeją w nim długo miejsca. A doraźnie spożywała ponadprzeciętną ilość środków przeciwbólowych. Tak jak teraz, kiedy usiłowała pojąć to, co starała się jej wyjaśnić Jacek.

– Czyli to Kostrzewa, Sowa czy Klempuch?

Przypadek uśmiechnął się, bo miał wrażenie, że dość wyraźnie powiedział jej, kto jest winny. Ale ból na twarzy pani Irminy sprawił, że nie potrafił jej tego wypominać. Zresztą głowę miał już teraz zaprzątniętą czym innym niż rozwiązanie zagadki.

– Kto jest winny, to sprawa wtórna, pani Irmino.

– Nie rozumiem.

– To proste. Dojść do tego, kto zabił, jest czasem łatwe. Gorzej z tym, jak mu to udowodnić. Nie mogę już liczyć na pomoc podkomisarza Łosia, a tej nowej osoby wciąż jeszcze nie udało mi się namierzyć.

– Bo może jej nie ma?

– A sprawdzała pani?

– Wybacz, nie dałam rady. Ten ból głowy jest nieznośny.

– Rozumiem. Ale ten ktoś z policji chodzi za mną z całą pewnością. Przyznam szczerze, że właściwie cały czas czuję jego oddech na plecach. Ale gdy się odwracam, nie widzę nikogo. – Jacek z niezadowolaniem pokiwał głową. – Słyszała pani o moim internetowym fanklubie?

– Słyszałam i czytałam. A co to ma do rzeczy?

– Internet to dzisiaj potęga, pani Irmino.

– To prawda. Ale powiem ci, że mnie niepokoi ten twój fanklub. Ten pan Krzysio to jakiś wariat jest.

– Bez wątplenia. – Jacek krytycznie ocenił swojego fana.

– Strasznie bawią mnie te jego pompatyczne frazy o Rycerzu Prawdy. Wprawdzie to bzdury, ale pan Krzysio może się jednak przydać. A zna pani może jakiegoś dobrego specjalistę od transmisji telewizyjnych?

– No oczywiście, że znam – zapewniła lekko oburzona starsza pani. – Ale chyba nie chcesz otwierać telewizji, bezwarunkowo?!

– Na początku przydałby mi się jakiś mały kanałik w Internecie. I ktoś, kto umiałby sobie pożyczyć sygnał od konkurencji.

– Co chcesz zrobić?

– Udowodnić winę zabójcy Brody.

– A nie wystarczyłaby do tego zwykła kamera?

– Nie. Żeby osiągnąć właściwy efekt, muszę polegać na fachowcach potrafiących świetnie nagrywać porządny show.

– I myślisz, że ktoś to będzie od razu oglądał?

– Do tego przyda się pan Krzysio. Ta jego strona ma parę tysięcy fanów. Nie odmówi, gdy go poproszę, żeby zareklamował mój kanał. Choć na wszelki wypadek nie będę mu mówił, jaki program wrzucę tam na początek.

– Program? – Starsza pani spojrzała na Jacka półprzytomnie. – Wydawało mi się, że teraz chcesz przesłuchać tego Kostrzewę. – Irmina Bamber nie miała nawet siły zdziwić się, że Jacek zupełnie na serio mówi o rozmowie z nieprzytomnym człowiekiem.

– Mam przecucie, że pan Kostrzewa powie mi więcej, gdy wiadomość o jego przesłuchaniu rozejdzie się szerokim echem.

– Aha, czyli mam to rozpowiedzieć? – upewniła się pani Irmina, bo przy dzisiejszym bólu głowy wolała nie pozostawiać nic swojej domyślności.

– To prawda. Proszę też zaznaczyć, że przesłuchanie odbędzie się w najbliższą sobotę o dziesiątej rano. I niech pani poprosi tego znajomego lekarza ze szpitala, w którym leży Kostrzewa, żeby pilnie obserwował, co się dzieje wokół jego pacjenta. – Przypadek podniósł się z krzesła. – Mnie tutaj znowu nie będzie przez jakiś czas. Zbliży się rocznica ślubu rodziców, a mama wyjątkowo ciężko znosi tę chwilę.

Kostrzewa miał wrażenie, że jeśli się mocno postara, to da radę. Podniesie rękę, powie coś do lekarza, a potem wstanie i pójdzie dokończyć sprawę, którą zaczął. Udowodni, że ktoś chciał po cichu sprywatyzować wszystkie polskie rzeki. Nareszcie nikt go nie będzie uważał za wariata, tylko za rzetelnego dziennikarza śledczego.

Już by się to stało, gdyby Broda tak nie hamletyzował. Raz się zgadzał wszystko pchnąć do przodu, a innym razem zaczynał mieć wątpliwości i żądał nowych dowodów. Chociaż Kostrzewa dostarczył mu naprawdę mocnych. Dlatego Broda coraz bardziej go irytował. Nie pierwszy raz. Wielokrotnie się kłócili, kiedyś nawet pobili. Ale Kostrzewa wierzył, że w Zbyszku zostało coś z tego dawnego, zadziornego dziennikarza z prowincji, który chciał dokopać różnym ważniakom. A Broda wiedział, że Kostrzewa ma nosa i jeśli nawet nie ma dowodów, to jak mówi, że coś śmierdzi, to śmierdzi naprawdę.

Dlatego gdy tylko miał jakiegoś niusa, leciał do Zbyszka. I widział na twarzy Brody, że ten chętnie by skorzystał z jego ustaleń. W końcu się jednak wycofywał, puszczał jakiś fragment, a jeśli ważni ludzie interweniowali u jego przełożonych, nie bronił sprawy. Dopiero przy tej aferze z prywatyzacją rzek wyglądało na to, że pójdzie na całość. Tak, hamletyzował, ale Kostrzewa jakoś go rozumiał. To była wielka rzecz, przez którą mogło spaść wiele głów. Ale czuł, że Broda tym razem się nie cofnie, bo ma dosyć tego całego bagna, które go wciągnęło. Kostrzewa wierzył w to głęboko, gdyż była w Zbyszku jakaś dawno

niewidziana determinacja. Aż do tamtego wieczoru, kiedy się wycofał ostatecznie. Tak przynajmniej powiedział, a Kostrzewa chwycił go za kołnierz...

Dziennikarz wy tężył słuch. Już od pewnego czasu miał wrażenie, że w jego szpitalnej sali coś się dzieje. Chyba nawet mówili o jakimś przesłuchaniu i... o Brodzie! Tak, nie mógł się mylić. Wspomnieli też detektywa Przypadka. Czyżby zajął się tą sprawą?! Ale jak, kiedy?! Może ta starszka jednak nie była w zмовie z tym facetem z samochodu. Sam wiedział, że czasem stawał się zbyt podejrzliwy. Lecz zawiódł go zbyt wiele osób, żeby mógł komuś ufać.

Kostrzewa naprężył się, żeby się obudzić i móc porozmawiać z tymi dziwnymi ludźmi, którzy kręcili się wokół niego. Co oni mówią?! Chyba odchodzą. To po co tu przyszli? Może liczyli na to, że odzyska przytomność i powie im, jak to było naprawdę. Że to nie jego wina, że to wszystko przez Sowę. I Klempucha. Że on, Kostrzewa, nie chciał.

Kroki i głosy umilkły. Kostrzewa pozostał sam na sam ze swoimi myślami. Tak jak od miesiąca, kiedy na moment stracił czujność i w ostatniej chwili zobaczył to audi. Potem wylądował w tym miejscu, które stało się jego więzieniem. Kto wie, czy nie dożywołtnim. Być może już nigdy nie zdoła się stąd wyrwać i powiedzieć, kto tak naprawdę był winny śmierci Zbyszka Brody.

Właściciel TV Ekstra był, można powiedzieć, od zawsze racjonalny do bólu. Głęboki ateizm wyniósł jeszcze z rodzinnego domu, gdzie świeckiego światopoglądu pilnował jego ojciec, pułkownik. On też nauczył go oszczędności, pracowitości i wiary w ścisły materializm. Dlatego w odróżnieniu od wielu kolegów z lat dzieciństwa, ze szkół, ze studiów, z zagranicznych stypendiów nie szukał żadnych przejawów duchowości. Obce mu były buddyjskie ciągotki zagubionych rówieśników, ich wiara w różne taroty, talizmany, wróżki, *feng shui* i tym podobne. Indie, które kiedyś zwiedził, nie wydały mu się niezwykłym, tajemniczym krajem, a jedynie ogromną, śmierdzącą latryną. I gdyby ktoś wcześniej powiedział, że będzie się przejmował planami jakiegoś jasnowiedza, wyśmiałby go. A jednak...

– Widzę, że niepokoją cię plotki, które rozsiewa ta Bamber. – Wiktor Klempuch, który przyniósł Gerhardowi Sowie kieliszek najlepszego wina ze swojej piwnicy, od razu wyczuł nastrój właściciela TV Ekstra.

– Wszystko przez tego Brodę. Zachłanny gnojek. Gwiazda od siedmiu boleści. Nie rozumiał, że bez mojej stacji jest kompletnie nikim. Wiesz, co mi powiedział? Że ma w dupie bycie dziennikarzem i ma już inne plany na życie. Na koniec chce tylko zapewnić sobie nieśmiertelność. Kompletnie porypało mu się od tych prochów.

– Czyli że jednak plotki Bamber cię niepokoją – stwierdził ze smutkiem Klempuch.

– A ciebie nie?

– Nie. Bo jestem człowiekiem racjonalnym i wiem, że Jacuś niczego nie da rady wyciągnąć z głowy tego świra Kostrzewy.

– Może by mu nie pozwolić się do niego zbliżyć? – zastanawiał się Sowa. – Formalnie Kostrzewa przecież nie zdążył go wynająć. Zrobilibyśmy nagonkę. Zresztą wystarczyłaby policja, która nie dałaby mu do niego dostępu.

– To byłby błąd.

– Dlaczego? Wiem, ktoś mógłby powiedzieć, że chcemy coś ukryć. Ale ci, co wierzą w te metafizyczne głupoty, będą się bali przyznać do tego, że są przekonani, iż jasnowiedz wyciągnie coś z głowy nieprzytomnego. A pozostali będą za nami, bo nie ma sensu naruszać spokoju faceta w śpiączce.



– Uwierz mi, najlepiej nie robić absolutnie nic.

– Nic? – zdziwił się Sowa.

– Tak. Jakbyś zupełnie nic nie wiedział na ten temat. Nie rozmawiaj o tym ze swoimi pracownikami ani z żoną. Nawet z samym sobą.

– Dlaczego?

– Jacek Przypadek to mistrz prowokacji – wyjaśnił Klempuch. – Jeśli ta Bamber rozpowiada takie plotki, to znaczy, że zależy mu, abyśmy zareagowali. Dlatego najlepiej nic nie robić. Wtedy będzie się bezsilnie miotać.

– No dobrze, a nie pomyślałeś, że... – Racjonalny umysł Gerharda Sowy nie pozwalał mu się przyznać do własnych myśli. – Wiem, to głupie. Ale jeśli on tam pójdzie i jednak coś z niego wyciągnie?

– Gerhard, nie poznaję cię – stwierdził ze smutkiem Klempuch. – Nigdy w życiu nie wierzyleś w takie bzdury.

– I nadal nie wierzę. Ale przecież są na świecie rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

– Zapewniam cię, że Przypadek, mimo wszelkich swoich umiejętności, nie potrafi sprawić takich rzeczy. I ręczę za to, że w żaden sposób nie wniknie w umysł pana Kostrzewy.

– Szkoda. Wiele osób sporo by dało, żeby poznać tajne archiwum tego świra. Bardzo dobrze go strzegł, a na pewno jest tam mnóstwo materiałów, które mogłyby nas zainteresować.

– Z pewnością – przytaknęła Klempuch i była to jedna z absolutnie nielicznych chwil szczerości w jego życiu. Nie dalej bowiem jak godzinę temu przeglądał archiwum dziennikarza i kiwał z uznaniem głową dla solidnej pracy, jaką wykonał Kostrzewa, by zebrać tyle kompromitujących materiałów. Klempuch zamknął je dobrze w sejfie swojej podmiejskiej posiadłości, gdyż dzielenie się z kimkolwiek i czymkolwiek zwyczajnie nie leżało w jego naturze. – Ale zapewne zgnije ono gdzieś teraz, zakopane głęboko pod ziemią. Bo Kostrzewa nie zdradzi miejsca jego ukrycia.

– A jeśli się obudzi? Takie rzeczy się zdarzają.

– Zawsze możemy go wcześniej odłączyć od aparatury – zaproponował luźno Klempuch, a Sowa mimowolnie się wzdrygnął.

Łatwość, z jaką jego stary znajomy i cichy współnik w interesach proponował ostateczne rozwiązania, zawsze go dziwiła. I nawet nie do końca był pewien, czy mówi on serio, ponieważ nigdy nie miał ochoty tego dociekać. Teraz jednak na wszelki wypadek powiedział:

– Lepiej nie. Może temu Przypadkowi o to chodzi? Może na tym polega jego prowokacja?

– Przecież nie zrobimy tego z otwartą przyłbicą. Po prostu rozkręcisz w swojej stacji kampanię, że nie ma sensu utrzymywać przy życiu ludzi podłączonych do takiej aparatury, przeprowadzi się ustawę przez parlament i na początku odetnie się tego Kostrzewę.

– Technicznie to jest możliwe, ale zajęłoby dużo czasu. Raczej, jak mówiłeś, w ogóle nie reagujemy.

– Racja. I nie martw się już jego osobą, bo nasze kłopoty z nim dobiegają końca. Zresztą, nawet gdyby istniały jakieś zdolności paranormalne i Jacuś dałby radę dowiedzieć się czegoś od tego warzywka, to wiesz dobrze, że wyciągnąłby od niego co najwyżej, iż to właśnie Kostrzewa zabił Brodę.

Zmiany w życiu człowieka bywają rzeczą nieuchronną. Czasem można się z nich cieszyć, czasem nimi martwić, a czasem po prostu je przyjąć, bo i tak się nie ma na nie wpływu. Niektórzy te zmiany lubią, inni nie. Marzena w zasadzie należała do tych pierwszych,

ponieważ nie lubiła, gdy coś stoi w miejscu wciąż takie samo, niezmiennie, nierozwijające się. A już na chwilę rozstania z kancelarią Fryderyka Przypadka czekała jak na wybawienie i marzyła o niej od dawna.

Dotrzymała tylko jeszcze słowa danego swemu dawnemu patronowi i zrekrutowała mu dwóch sensownych przyszłych aplikantów oraz sekretarkę, która nie stanowiłaby pokusy dla mecenasa. Z tym ostatnim miała spory problem, bo gdy już na którąś się zdecydowała i przedstawiła ją panu Fryderykowi, zauważała w jego ruchach pewne ożywienie i z przykrością musiała stwierdzić, że kandydatka do pracy jest zbyt ładna. W końcu uznała, że kryterium urody, względne i subiektywne przecież, musi ustąpić miejsca czynnikowi obiektywnemu. A takim był wiek. I z tych powodów nowa sekretarka w kancelarii mecenasa Przypadka musiała mieć skończone co najmniej pięćdziesiąt lat.

Był to strzał w dziesiątkę i pan Fryderyk przywitał swoją nową pracownicę, panią Adrianę, z absolutną obojętnością. Za to na niej nowy szef zrobił pozytywne wrażenie, ale tym Marzena już tak bardzo się nie przejmowała. Przez ostatni tydzień wprowadzała ją powoli we wszystkie szczegóły i od poniedziałku pani Adrianna miała zacząć samodzielną pracę. A mecenas Kolska po krótkim urlopie w towarzystwie swego partnera, Fabrizia Cavanellego, będzie mogła się zająć tylko i wyłącznie swoją nową kancelarią.

Teraz jednak dobiegał końca ostatni dzień jej pracy dla mecenasa Przypadka. Pani Adrianna wyszła chwilę po dwunastej, a Marzena porządkowała papiery, żeby wszystko zostało w jak najlepszym porządku po jej odejściu. Pan Fryderyk, wracający właśnie z obiadu w pobliskiej restauracji, do której chadzał, odkąd nie mógł liczyć na posiłki swej byłej żony, westchnął więc ze smutkiem w duchu, że tak pilnej, zdolnej, a na dodatek zupełnie niedrogiej pracownicy nie będzie miał już nigdy.

– Odlóż to, Marzenko – poprosił, zdejmując płaszcz.

– Muszę skończyć – zaprotestowała.

– Pani Adrianna da sobie radę. To chyba sumienna i rzetelna osoba. – Słowa pana Fryderyka nie brzmiały jak komplement, ale jak suche stwierdzenie faktu. Cóż poradzić, że jedyną prawdziwie kobiecą zaletą, którą potrafił docenić, była uroda?

– Idź już, żeby się spakować przed wyjazdem na urlop. Tylko jeszcze zrób ostatnią rzecz.

– Tak?

– Zamów setkę pięknych czerwonych róż.

Marzena przygryzła wargę. No tak, znów się zaczyna, pan mecenas poznał jakąś kolejną kobietę, w której się zakochał, i teraz pewnie będzie jej namiętnie stał kwiaty. Zacznie ponownie trenować w fitness klubie, żeby być w dobrej formie, bo zapewne kobieta ta jest sporo młodsza, więc aby dotrzymać jej kroku, musi szczególnie o siebie dbać. W sumie standard, do którego przywykła przez ostatnich kilka lat. Jak mogła choćby przez chwilę pomyśleć, że ktoś taki się naprawdę zmieni. Przecież, jak mówi Jacek, ludzie są banalnie przewidywalni.

Ale co ją to teraz obchodzi? Ona stąd wkrótce znika i nie będzie wiedzieć o następnych miłostkach mecenasa Przypadka. Pani Felicja nie jest już żoną pan Fryderyka, dlatego jego kolejne romanse nie powinny jej dotyczyć. A on będzie po prostu sobą, bo pewne rzeczy są stałe i niezmiennie. Dlatego jedynym komentarzem Marzeny do sytuacji było zadanie czysto formalnego pytania:

– Mają je przysłać do kancelarii?

Strach przed nieznaną przyszłością potrafi człowieka bardzo skutecznie paraliżować. Nawet gdy droga do tej przyszłości wydaje się niemal usłana różami. Są na niej wysokie alimenty, eleganckie mieszkanie i mnóstwo nowych możliwości. Na przykład odnowienie starych kontaktów, za którymi byłyby mąż nie przepadał. Albo całkowite poświęcenie się pracy twórczej, na którą zawsze trochę brakowało czasu. Teraz wreszcie pani Felicja będzie mogła zasiąść do pisania kryminału, o którym myślała od dawna. W końcu ma syna słynnego detektywa, a to powinno pomóc w promocji!

Nie, nie miała zamiaru opisywać jego życia, gdyż po pierwsze, Jacek rzadko dzielił się z nią szczegółami swojej pracy, a po drugie, pomyślała, że gdyby je poznała, bardziej drżałaby o życie swego jedynaka, niż zajmowała się sprawnym opisem akcji. Na szczęście w rodzinnych papierach trafiła na fascynującą historię sprzed stu lat. Musiałaby jeszcze nieco tylko zgłębić epokę i powstałoby absolutnie wspaniałe kryminał retro! I tym razem z pewnością nie będzie brakowało jej weny, jak niegdyś, gdy przez kilka lat bezskutecznie próbowała napisać wielką powieść. Tym razem materiał wydawał się niemal gotowy i sam prosił się o literacką obróbkę. A czytelnicy byliby zachwyceni i nie groziłyby jej złe recenzje jak po ostatnim tomiku poezji!

Wydawać by się mogło, że cały świat stał teraz przed panią Felicją otworem. A jednak strach przed niespodziewanie ofiarowaną wolnością wypełniał niemal każdy jej dzień. Czuła się jak więzień, który nagle został warunkowo zwolniony z odbywanego od ponad trzydziestu lat wyroku dożywocia. Nie, nie uważała małżeństwa za więzienie, po prostu idealnie układało jej ono cały dzień, nadawało czynnościom sens. I to się nagle skończyło, a przed nią otwierała się wspaniała, przerażająca wolność, po której nie umiała się poruszać. Była więc naprawdę wdzięczna synowi za to, że stanowił w tych dniach jej podporę, właściwie z nią zamieszkuje.

Niestety, dziś był dzień, w którym nawet obecność Jacka nie poprawiała jej humoru. Od samego rana chodziła oswiawia, nie reagowała na propozycje syna dotyczące spaceru w parku lub wyjścia do kina. Próbowała napisać kolejny fragment kryminału, ale nie potrafiła ułożyć w głowie ani jednego zdania. Męczyła się tak dwie godziny i w końcu się poddała. Gdy szła zrobić kawę do kuchni, odezwał się dzwonek. Słyszała, że Jacek rozmawia przez telefon, ruszyła więc sama w stronę korytarza. Otworzyła drzwi, za którymi stał ogromny kosz czerwonych róż na szczupłych nóżkach posłańca w niebiesko-złoty spodniach.

– Pani Felicja Przypadek? – zapytał kosz róż.

– Tak.

– To dla pani. – Kosz róż przełożył się na dłoń pani Felicji. – Do widzenia.

– Momencik. Nie potrzebuje pan pokwitowania? – Pani Przypadek zasłonięta różami wciąż nie widziała dostawcy.

– Nie.

– Ale od kogo te kwiaty?

– Nadawca pragnął pozostać anonimowy. Jeśli pani sobie nie życzy przesyłki, mogę ją zabrać.

– Nie, nie. Niech zostanie.

Pani Felicja, zamykając nogą drzwi, zobaczyła tylko kątem oka dostawcę w niebiesko-złotej liberii. Potem chciała przejść do pokoju, żeby gdzieś postawić kosz, ale nagle ktoś zabrał go z jej rąk i odstawił na podłogę.

– Nieźle, mam. – Jacek z zachwytem pokiwał głową. – Widzę, że nie próżnujesz i masz już nowego adoratora.

– Proszę cię – fuknęła na niego pani Felicja. – Nie w głowie mi żadne amory. Przyznaj się, że to ty przysłałeś te kwiaty.

– Po co? Ja ci przynoszę kwiaty osobiście. Teraz na dodatek stoję obok ciebie, więc po co miałbym je wysyłać pocztą?

– Dobrze wiesz. Dziś jest trzydziesta druga rocznica mojego ślubu z twoim ojcem. Od ponad dwudziestu lat nie dostałam z tej okazji od niego żadnych kwiatów...

– Myślisz, że te są od niego? – Jacek z uznaniem popatrzył na ogromny bukiet.

– Myślę, że chcesz, abym tak myślała.

– Aha. Czyli uważasz, że to ja je kupiłem, aby ci sprawić przyjemność, sugerując jednocześnie, że to może od ojca?

– Tak właśnie uważam. Powiem więcej. Jestem pewna, że tak jest.

– No cóż, mam, nie będę cię przekonywał, że naprawdę nie zależy mi na tym, abyś lepiej myślała o tacie. Jeśli chcesz, wyrzuć te róże do kosza. Albo zrób z nimi cokolwiek.

– Po pierwsze, nie jesteś szczery, mówiąc, że nie zależy ci na mojej opinii o ojcu. Po drugie, nie o tę opinię tu chodzi, tylko o to, żeby sprawić mi przyjemność. A po trzecie, twój ojciec nie byłby zdolny do tego, żeby wydać tyle pieniędzy na mnie. Po czwarte więc, bardzo ci jestem wdzięczna za to, że jesteś tu ze mną, ale przyjmij do wiadomości, że ze swoimi problemami poradzę sobie sama, bo jestem już dorosła! – Jacek zdjął z wieszaka swoją kurtkę. – A ty dokąd idziesz? – zapytała przestraszona. – Chyba się nie obraziłeś?

– Chcę ci dać czas na rozwiązanie zagadki, od kogo są kwiaty? Daję ci słowo, że nie ode mnie.

– Ale... Kiedy wrócisz?

– Powiedziałaś, że jesteś dorosła i sama sobie poradzisz ze swoimi problemami. Dlatego już chyba czas, bym pomieszkał trochę u siebie. – Gdyby nie rozmawiał z własną matką, Jacek z pewnością dłużej bawiłby się jej zakłopotaniem. – Postaram się być wieczorem, ale trudno mi powiedzieć, o której dokładnie. Dostałem właśnie telefon od pani Irminy, że Kostrzewa jest już gotów do rozmowy ze mną. Skoczę tylko do mieszkania zabrać moją kulę jasnovidza i pędzę do szpitala.

– Daj spokój tym bzdurom. Dobrze wiesz, że nie można rozmawiać z człowiekiem w śpiączce. A jeszcze cię może spotkać nieszczęście.

– Z rąk sił nieczystych, które będą bronić dostępu do Kostrzewy? – zakpił Jacek.

– Od żywych, racjonalnych ludzi.

– Racjonalni ludzie nie będą się przejmować przesłuchaniem nieprzytomnego. A na siły nieczyste mam odpowiednie amulety. – Jacek puścił do matki oko i pocałował ją w policzek, a jej nie pozostało nic innego, jak tylko westchnąć i błogosławić mu na drogę.

Małgosia Urbanek od dłuższego czasu mieszkała z mamą. Tak było przede wszystkim taniej, ponieważ unieważniając małżeństwo, wiedziała, że nie może liczyć na alimenty po rozwodzie cywilnym. I tak też było: jej mąż zatrudnił najlepszych prawników, a dla zwykłego sądu nie miało znaczenia, że pan Urbanek zataił przed żoną swoje seksualne preferencje i odebrał jej kilka lat życia. Sędzia uznała, że modelka przeżyła je w luksusie i nie może się na nic skarżyć. I że prędzej to mąż, który specjalnie dla pięknej żony próbował czasem pokonać wrodzone skłonności do płci własnej, zasługuje na współczucie.

Po organach państwa, w których jej były miał liczne kontakty, Małgosia nie spodziewała się niczego dobrego. Zaskoczyła ją jednak skala środowiskowego ostracyzmu. Liczyła się z nim, jednak nie przewidziała, że dla wszystkich nagle przestanie wręcz istnieć. Nie od razu,

stopniowo. Na początku wiele osób było zachwyconych tym, że postanowiła odejść od powszechnie nie lubianego, konserwatywnego w poglądach wiceministra Urbanka. Gdy jednak okazało się, że jego konserwatyzm jest wyłącznie na pokaz, a prywatnie jest on człowiekiem nowoczesnym i postępowym, usłyszała, że to nieładnie tak na siłę wyciągać z szafy osobę, która sobie tego nie życzy. Takie poglądy głosiły osoby, które całkiem niedawno jeszcze cieszyły się, że „ten hipokryta Urbanek został ukarany”. Teraz niektórzy mówili, że osoba z takim doświadczeniem w polityce jak on bardzo przydałaby się w ruchach LGBTIQ. Tym samym spełniała się przepowiednia Jacka, w którą kiedyś niesłusznie wątpiła.

„Jak zwykle miał rację. Przemądrzały, zarozumiały drań!” – pomyślała ciepło o detektywie.

Od tej metamorfozy znajomych zaczęły się jej kłopoty, a ona nie miała wątpliwości, kogo może za nie winić. Ci ludzie nienawidzili Przypadka tak bardzo, jak tylko potrafili. A on nawet się do niej nie odezwał. Zawsze tak robił. Wiedziała to, ponieważ po wyprowadzce od niego odwoziła na lotnisko Malwinę Żarską, jedną z jego byłych.

– On nigdy nie dzwoni – powiedziała dziennikarka. – A jeśli ty w końcu zadzwonisz, zacznie cię unikać. Taki już jest.

Mogła się tego domyślić. Czasem szukała o nim informacji, a czasem ich świadomie unikała. Wtedy i tak wspominała tych kilka dziwnych miesięcy, gdy po prostu ze sobą mieszkali, a Przypadek zachowywał się wobec niej jak dżentelmen wobec damy. Gdyby nie jej inicjatywa na koniec, tak by pewnie pozostało. A dziś żałowała, że do czegoś doszło. Trochę łatwiej byłoby jej poukładać sobie życie, gdyby nic się nie stało.

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Wejź, mamó.

Mama Małgosi Urbanek, mimo upływu lat, wciąż była piękną kobietą. Nie była tak wysoka jak córka, bo ta wzrost odziedziczyła po nieżyjącym już ojcu. Ale regularne rysy twarzy, wyraz pewnej szlachetności i wciąż szczupła sylwetka sprawiały, że mogła uchodzić za czterdziestolatkę, choć miała już blisko pięćdziesiąt pięć lat.

– Córeczko, dzwonił z Chicago wujek Antoni. Powiedział, że możesz w każdej chwili do niego przyjechać. Zajmie się tobą.

– Dziękuję, mamó, ale już postanowiłam. Muszę tutaj coś zrobić. Jestem to komuś winna.

– Daj sobie spokój z tym Przypadkiem. Wiem, trochę się w nim zadurzyłaś...

– Mamó, to nie tak... – usiłowała zaprotestować Małgosia.

– Matki nie oszukasz, nawet nie próbuj. Ale Przypadek to rozdział zamknięty.

– Wiem o tym bardzo dobrze.

– A zatem nie próbuj nic z tym robić. Już go wystarczająco prowokowałaś i nic to nie dało.

– Tym razem da.

– Kochanie, to bardzo dziecinne, co chcesz zrobić. – Matka była zawsze najlepszą powiernicą Małgosi, a córka nie miała przed nią żadnych tajemnic. – Pamiętaj, że złe emocje zawsze jakoś wracają do człowieka.

– To już postanowione. Nie cofnę się – oświadczyła twardo Małgosia. – Zresztą, sama wiesz, że za daleko już zaszłam.

– Jak uważasz. Zwłaszcza że trochę cię rozumiem. – Pogłaskała córkę po głowie, pocałowała we włosy i wyszła z jej pokoju.

Małgosia przez chwilę zastanawiała się nad słowami matki. Potem otworzyła laptop, weszła w wyszukiwarkę i wklepała w nią „Jacek Przypadek”. Na pierwszym miejscu wśród wyników, jak zwykle, była strona „Rycerza Prawdy”.

– „Rycerz Prawdy”! – Małgosia roześmiała się na poły ironicznie, na poły pogardliwie, ale weszła na stronę. – No proszę, otworzył sobie telewizję. Dziwne. Zarozumiałość to jego drugie imię, ale nigdy nie był megalomanem. Po co mu ta telewizja? – Przez chwilę zastanawiała się, czy kliknąć w link przekierowujący na odpowiednią stronę. I gdy już miała to zrobić, zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił stary znajomy, który dwa miesiące temu przestał odbierać jej telefony. – No proszę, Bartek Fifka już działa – stwierdziła ucieszona i odebrała: – No cześć... Jasne, nie ma sprawy, byłeś na pewno bardzo zajęty... Sesja dla mnie? Na okładkę? Nie, z dzieckiem wolałabym nie. Ale tak w ogóle to bardzo chętnie.

Kostrzewa już od rana czuł jakiś dziwny niepokój. Nie po trafił go wytłumaczyć, bo będąc w śpiączce, owszem, nieraz denerwował się na własną bezsilność, ale nigdy niczego się nie bał. Uważał, że w obecnym stanie nie jest dla nikogo groźny. I dopiero dziś zdał sobie sprawę z tego, że to nieprawda. Że przecież istnieje jego archiwum, przed którym sporo ludzi może drżeć, gdyż są tam materiały mogące poważnie zaszkodzić wielu osobom. I dopóki on oddycha, wciąż jest dla nich za zagrożeniem.

Kiedy więc usłyszał, że ktoś przyszedł z nim porozmawiać, miał złe przeczucie. Szczególnie że potem nikt nie odezwał się słowem i Kostrzewa już się zastanawiał, czy czasem nie jest już trupem, tylko przegapił fakt swojej śmierci. Usłyszał jednak, że ktoś przesuwa parawan. Później znów zapadła cisza, przzerwana dopiero skrzypnięciem otwieranych i zamykanych drzwi. Nikt jednak nic nie powiedział, a dziennikarz miał jedynie wrażenie, że ktoś skrada się w kierunku aparatury, do której był podłączony.

I wtedy usłyszał pierwsze słowa.

– Dzień dobry, panie Kujawski.

– Aaa, dzień dobry, panie Przypadek.

Kostrzewa naprężył się z całych sił. Czyli jednak ta staruszka nie chciała go zabić, tylko przekazała wszystko Przypadkowi. Teraz on chciałby dorzucić swoje trzy grosze, ale wciąż nie umiał się wyrwać z więzienia śpiączki i mógł jedynie przysłuchiwać się dalszej rozmowie.

– Wpadł pan odwiedzić starego znajomego?

– Jakiego znajomego? Mówiłem panu, że właściwie go nie znam...

– Tak, wiem, że to nie jest pański stary znajomy. Gdyby Kostrzewa znał pana lepiej, rozpoznałby pana za kierownicą niebieskiego audi i powiedziałaby pani Irminie, kto za nim jeździ. Ale o pańskiej roli w całej sprawie wiedział tylko Zbyszek Broda. On miał dojścia wyżej i tylko on mógł sprawdzić, kto lobbuje za tą ustawą.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. Chyba pomyliłem pana.

– Nie pomylił pan. Przecież przyszedł tu pan, żeby odłączyć pana Kostrzewę od aparatury. Usłyszał pan, że jutro rano mam zamiar go przesłuchać, więc dzisiejszy wieczór był ostatnim, w którym można było temu zapobiec. Ale się pan spóźnił. Już zdążyłem z nim porozmawiać dzięki szklanej kuli.

Kostrzewa ponownie naprężył się z całych sił, żeby zaprotestować, ale nie dał rady. Czyżby ten Przypadek nie był jednak jego sojusznikiem?! Co on za głupoty wygaduje! A może to wszystko jest snem?

– Jeśli nawet pan z nim gadał, to nic pan z tą wiedzą już nie robi – oświadczył tymczasem Kujawski. – Po ostatnim spotkaniu czułem, że nasze drogi mogą się jeszcze skrzyżować. I że będzie mi potrzebne to. Różowa Potęga. I co teraz, panie detektywie?

– Najsilniejszy amulet świata. Niech pan tego nie robi... – Kostrzewa usłyszał słaby głos Przypadka i pomyślał, że to wszystko mu się jednak śni. Przecież detektyw nie może być

aż takim idiotą, żeby wierzyć w takie rzeczy. – Błagam pana! – jęczał detektyw.

– Bo co? Nikt mi nic nie udowodni. Tak jak tego, że wyrzuciłem Brodę i potrafiłem Kostrzewę. A ty będziesz musiał paść na kolana! – zakrzyknął Kujawski, a Kostrzewa usłyszał dźwięk, który mógł świadczyć o padaniu na kolana.

– Broda chciał... od pana pieniędzy... za milczenie, tak? – wyszeptał detektyw.

– Gówno cię to obchodzi! Ale mogę ci to powiedzieć, bo i tak zaraz wyczyszczę ci umysł Różową Potęgą! – Lobbysta wzniosł do góry swój oręż. – A potem cię zrzucę na dziedziniec szpitala z piątego piętra. Będziesz fruwał jak ten gnój Broda! Wiesz, ile ode mnie chciał? Dwa miliony złotych! Mówiłem idiotcie, że nie mam pieniędzy, a do ludzi, którzy mi płacą, i tak w życiu się nie dobierze! A jak spróbuje, to oni go zabiją!

– To po co... ty... – Kostrzewa ze zdumieniem stwierdził, że nie tylko słyszy Przypadka, lecz także widzi, jak ten kłęczy na podłodze.

– Bo ten śmieć najpierw by zniszczył mnie. Cholerny ćpun nie rozumiał tego! Chciał zrobić wielki numer, dzięki któremu popłaci hazardowe długi i odłoży kasę do końca życia. Bo wiedział, że po takim przekręcie pewnie nie będzie miał szans w zawodzie. Sowa i tak chciał go wywalić za ćpanie, za panienki i za to, że wszyscy w redakcji już go nienawdzili.

– Wystarczy, więcej pan powie w prokuraturze – powiedział wesoło Jacek i podniósł się z kolan.

– Co robisz?! Leżeć! – krzyknął Kujawski, wymierzając Różową Potęgę w stronę Przypadka.

– Może pan sobie darować, na mnie takie bzdury nie działają. Ale wiedziałem, że pan w nie wierzy. Wiedziałem też, że gdy dowie się pan o moim zamiarze przesłuchania Kostrzewy, przyjdzie go pan unieszkodliwić. A tylko złapanie pana na gorącym uczynku pozwoli mi udowodnić, że jest pan zamieszany w całą sprawę.

– Wszystkiemu zaprzeczę!

– Ty... draniu... Zabiłeś... go... – wyszeptał Kostrzewa, wprawiając obecnych w zdumienie. Chciał nawet wykonać jakiś gest, ale na to nie był jeszcze gotowy.

– Dzień dobry, panie Kostrzewa, miło, że się pan obudził. – Jacek odwrócił się do Kujawskiego. – Gdybym pana zapytał podczas naszego pierwszego spotkania, czy pan zabił Brodę, pewnie by mi się pan przyznał. Ale to by mi nic nie dało. Dlatego zdecydowałem się na ten show nagrywany przez ukryte kamery i mikrofony TV Ekstra. – Jacek skierował twarz w róg pomieszczenia. – Prawda, Bołeczku? Zakład Pascala się powiódł? To powiem ci jeszcze, że postanowiłem pożyczyć sobie wasz sygnał i puścić transmisję w necie we własnej telewizji. Obawiałem się po prostu, że wy byście tego nagrania nie wyemitowali. A tak parę tysięcy osób słyszało na żywo przyznanie się pana Kujawskiego do winy i sprawy nie da się już zamieść pod dywan.

## ROZDZIAŁ II

### *Kosiarz traw*

Buława w plecaku potrafi czasem niezłe uwierać. Wszyscy liczą na to, że kiedyś ją wyciągniesz i staniesz na czele. Podczas gdy ty wciąż dobrze się czujesz w roli zwykłego żołnierza z przyjemnością wypełniającego swoje obowiązki. Jeśli nie chcesz awansować, coś z tobą jest nie tak. Podejrzewają cię raczej o brak talentu niż ambicji. Bo skoro już wybrałeś zawód, którego przedstawiciele trafiają na pierwsze strony gazet bądź sami tam pisują, to przecież nie po to, aby być zwykłym wyrobnikiem.

Tymczasem Tomek Proch, dziennikarz „Głosu Warszawy”, z uśmiechem przywitał swoją małą przegródkę na openspejsie, będącą jego stanowiskiem pracy. Kiedyś wprawdzie faktycznie marzył, że zamieni ją na wielki, wygodny gabinet Kogoś Naprawdę Ważnego w Redakcji, ale od dawna już porzucił te nadzieje. Nie dlatego, że rozumiał, iż talenty dziennikarskie i menedżerskie nie pozwalają mu na awans. Ba, dostał nawet kilka nieśmiałyłch propozycji objęcia wyższych stanowisk, ale wciąż odpowiadał, że najlepiej mu jest na poletku, które sam obrabia. Dzięki temu koledzy z pracy bardzo go lubili, ponieważ panowała powszechna opinia, że Tomek Proch nikomu nie zagraża.

Rezygnacja z rozwoju kariery zawodowej była efektem tego, że pan redaktor doszedł do skądinąd słusznego wniosku, iż na obecnym stanowisku nie padnie ofiarą tego, co prześladowało go właściwie od samego początku pracy. Pracy będącej zawsze jego marzeniem. Wprawdzie z wykształcenia był prawnikiem, ale studia na tym kierunku podjął za namową ojca, który go przekonywał, że panem redaktorem może być również po ukończeniu tego kierunku. Gdyby się natomiast okazało, że nie ma talentu dziennikarskiego, zawsze będzie miał fach, który da mu zarobić.

– Dobrzy dziennikarze to ci, którzy się na czymś konkretnie znają – powtarzał ojciec. – A na czym się mogą znać ci studiujący dziennikarstwo? Tak ogólnie na wszystkim, czyli na niczym. I potem tak ogólnie o wszystkim wypisują bzdury, bo na niczym tak konkretnie się nie znają.

Tomek wprawdzie nie podzielał poglądów taty, ale pod groźbą braku finansowania nauki w Warszawie zgodził się na tę propozycję nie do odrzucenia. Jednak od pierwszego roku zaczął się aktywnie udzielać w mediach studenckich. Niestety, już wtedy zauważył symptomy, które powinny dać mu do myślenia i skłonić do zmiany planów zawodowych. Jego artykuł o zbyt dużej liczbie studentów przyjętych na płatne studia dla przyszłych mecenasów – co z pewnością podwyższyło zyski Wydziału Prawa i Administracji, ale spowodowało, że przyszli palestranci wypadali w trakcie zajęć przez okno, bo nie mieścili się w salach – o mało co nie zakończył się relegowaniem go ze studiów.



Tomek złożył jednak niezbędną samokrytykę i obiecał sobie, że postara się trzymać mniej kontrowersyjnych tematów. I choć naprawdę tego próbował, parę razy był już na skraj katastrofy. Z opresji ratowało go właśnie zrozumienie własnych błędów i przyrzeczenie, że postara się ich na przyszłość unikać. Potem, niestety, następowała kolejna wpadka, która uzmysławiała mu, jak niebezpieczny zawód wykonuje. Od dawna wydawało mu się jednak, że wyszedł na prostą i dzięki nabytemu doświadczeniu zawodowemu nie narazi się nikomu ważnemu. Na obecnym stanowisku spokojnie doczeka emerytury, która miała nadejść mniej więcej za trzydzieści lat.

W tej chwili rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął z uśmiechem przeglądać najnowsze doniesienia z kraju i ze świata pochodzące z konkurencyjnych redakcji. Uśmiech ten nie gościł na twarzy Tomka zbyt długo, ponieważ informacje, które przeczytał, były więcej niż niepokojące. Zaczął nerwowo przerzucać poszczególne tytuły, klikać w internetowe portale. Wszędzie to samo.

„Komu zależy, by miasta były brzydkie?” – pytał jeden z tytułów. „Trawy wysokie na metr w Europie XXI wieku!” – alarmowała inna gazeta. „Wstyd zapraszać gości do Polski!” – grzmiał pewien opiniotwórczy portal.

– Zaczęło się – wyszeptał przerażony.

Redaktor Proch poluzował krawat i zaczął intensywnie masować okolice klatki piersiowej. Miał się czego bać, gdyż dobrze wiedział, co oznacza taka nagła dziennikarska jednomyślność i wzburzenie. Zbyt długo pracował w tym fachu, by nie orientować się, że takie rzeczy nie biorą się znikąd. Bo kiedy ni stąd, ni zowąd wszystkie media zajmują się jakąś sprawą, ktoś im musiał po prostu za to dobrze zapłacić. I dlatego teraz zaczęło się polowanie z nagonką. Polowanie na niego.

Ale kto za tym stoi? Proch jeszcze raz zerknął na tytuły, które jako pierwsze przystąpiły do walki, oraz na nazwiska autorów tekstów – i już nie miał wątpliwości. No tak, sami znajomi mistrza czarnego PR-u, tego buca Gontarza. Kiedyś nawet pracowali razem w jednej redakcji. Kiedy kolega zdecydował się na zmianę zawodu, podesłał mu kilka gotowców do wydrukowania, ale Proch nie miał ochoty bawić się w takie rzeczy. Piarowiec był chyba z tego powodu bardzo zły.

– Muszę iść do Przerwały i powiedzieć mu o wszystkim – mruknął pod nosem Proch, ale potem stwierdził, że naczelny „Głosu Warszawy” i tak już pewnie zna sprawę. Czy jest więc sens przyspieszać własną egzekucję?

A może jest jeszcze jakieś wyjście? Może nie powinien się godzić na odstrzelenie? Może jeszcze da się zapobiec wyrokowi, który wydawał się już wydany? Tak, chyba trzeba walczyć. W końcu po coś został tym zasranym dziennikarzem!

Na biurku dziennikarza odezwał się telefon komórkowy. Tomek zerknął ze strachem na wyświetlacz, bojąc się, że już wydzwanianą do niego koledzy po fachu, domagając się wyjaśnień. Na szczęście z ekraniku patrzyła na niego uśmiechnięta i rumiana twarz jego dziewczyny. Odetchnął z ulgą, choć czuł, że będzie się musiał wytłumaczyć.

– Bożena, słuchaj, to nie tak... – zaczął wyjaśniać.

– O czym ty mówisz, kotku? – Bożena lubiła dłużej pospać i chyba jeszcze nie zdążyła zauważyć tego, co się dzieje. – Nieważne. Dzwoniła do mnie Anka Sobania. Pamiętasz, trochę się przyjaźnimy – podkreśliła z dumą. – Prosiła o numer do ciebie, bo chce cię zaprosić do swojego nowego programu w telewizji. Ale wolałam sama do ciebie zadzwonić i powiedzieć ci o tym... Tomek? Jesteś tam? Tomek?! Odezwij się!

Wiktor Klempuch właściwie powinien być wściekły na Bolka Szofłysika i Bartosza Fifkę za to, co zrobili. I dobrze wiedział, że panowie redaktorzy takiej reakcji się spodziewali, kiedy zapraszał ich do siebie na roboczy lunch. Zapewne dlatego siedzieli teraz sztywno, jakby połknęli kije, i ledwie dzióbnięli wspaniałe potrawy przygotowane przez osobistego kucharza Klempucha.

– Nie smakuje panom? – zapytał z troską gospodarz.

– Ależ nie, przepyszne! – pospieszył z zapewnieniem Bolko, który zdążył policzyć, że na stole znajduje się w sumie piętnaście różnego rodzaju widelców.

– Fantastyczne! – potwierdził Fifka. – Tylko chyba się wczoraj przejadłem i jakiś taki niegłodny jestem.

Gospodarz uśmiechnął się ironicznie, gdyż wiedział doskonale, iż obaj boją się tego, że jedzenie stanęłoby im w gardle, gdyby on zaczął na nich krzyżeć. Ale nie miał takiego zamiaru. Nie tylko dlatego, że wiedział, iż cisza potrafi przerażać bardziej niż najgłośniejszy nawet krzyk. Po prostu przyzwyczał się do tego, że musi spotykać się z idiotami, pracować z idiotami i uśmiechać się do idiotów. A teraz, szczerze mówiąc, był naprawdę nieco rozbawiony.

Oczywiście, gdyby wiedział wcześniej o tym, co chcą zrobić Fifka z Szofłysikiem, zorientowałby się, że to podstęp, i pokrzyżowałby plany detektywa. Ale stało się, Jacuś rozwiązał kolejną sprawę w dość nietypowy sposób. A Kujawskim nie miał się co przejmować. Zapewnił mu już tylko obronę kancelarii mecenasa Sawczuka-Kellera, który przyjął linię obrony opierającą się na niepoczytalności upadłego lobbysty. Inkryminowany filmik dodatkowo dodawał jej wiarygodności, bo Kujawski próbujący zabić detektywa za pomocą swej Różowej Potęgi nie mógł być normalny. Inna sprawa, że na tej samej podstawie można byłoby orzec niepoczytalność połowy warszawki... A sam lobbysta był zaledwie małym trybikiem w machinie pozostającej na usługach Klempucha.

Ten szczęśliwy zbieg okoliczności nie oznaczał jednak, że Klempuch postanowił całkowicie odpuścić sprawę i nie miał ochoty jej drażnić w celu poznania dodatkowych szczegółów. To mogło mu dostarczyć nie tylko przydatnej wiedzy, lecz tak że odrobiny rozrywki.

– To może, korzystając z okazji, opowie mi pan, jak to się stało, że Przypadek mógł przeprowadzić taką ładną transmisję? – Lichwiarz zwrócił się do Szofłysika.

– To... skomplikowane – odpowiedział wymijająco Bolko, który stwierdził zarazem, że na ścianach pomieszczenia, w którym się znajdowali, wisi dwadzieścia dziewięć obrazów różnej wielkości. Łączyło je to, że nie było na nich nic, co dałoby się konkretnie nazwać, choć niewątpliwie miały frapujące i wieloznaczne tytuły, takie jak na przykład Przestrzeń kosmiczna ukryta na główce szpilki.

– Zdaje się, że mówił coś o zakładzie Pascala. Pan go zrozumiał, redaktorze?

– No tak. Ten Pascal twierdził, że w zasadzie co szkodzi zaryzykować... gdy niczego nie ryzykujemy. Czy jakoś tak.

– Dokładnie, Pascal w swoim zakładzie uważał, że lepiej założyć istnienie Boga i w niego wierzyć, bo wtedy dostajemy w zamian życie wieczne, choć tracimy doczesne. Ale zwykle bywa tak właśnie spłycany – skrzywił się Klempuch. – To Przypadek podrzucił panu tego Pascala?

– W zasadzie... tak.

– Nie mówił pan, że się z nim spotyka.

– Bo tego nie wiedziałem. – Szofłysik zauważył, że stół jest przygotowany na przyjęcie nawet szesnastu gości, bo tyle stało przy nim krzesel.

– Nie wiedział pan? To ciekawe. Byłby pan łaskaw mi to wyjaśnić?

– To znaczy on mi się pokazywał, ale ja nie wiedziałem, czy on jest naprawdę, czy nie. I gdy mi się tak pokazał i powiedział, że będzie przesłuchiwał Kostrzewę w szpitalu... to pomyślałem, że można by to sprawdzić. Bo co mi szkodzi.

– Ja od początku byłem przeciwny temu pomysłowi – zastrzegł Fifka.

– Akurat. Mało się w majtki z radości nie zesrałeś, jak ci to podrzuciłem – warknął wściekły Szołtysik.

– Ale nie wiedziałem, skąd to wiesz. Myślałem, że to plotki, które rozsiewa ta Bamber. Gdybyś mi powiedział, to może bym się zorientował.

– Niby po czym?!

– Spokojnie, panowie redaktorzy. – Klempuch nie znosił w swoim towarzystwie skaniańca do gardeł w celu ich przegryzienia, gdyż tę przyjemność rezerwował wyłącznie dla siebie. – Jak rozumiem, pan Szołtysik, niezgodnie z umową łączącą go ze stacją, oddawał się ostatnio swojej ulubionej przyjemności?

– Jak mogłeś? – Fifka spojrział na kolegę oburzony aż do trzewi. – No ale tak, mogłem się domyślić. Ostatnio znów zaczęłaś wszystko obsesyjnie liczyć!

– I co z tego? Liczę, bo lubię. Zresztą sam jarasz. Cały czas czuję to pod twoimi drzwiami.

Klempuch westchnął w głębi duszy, w której istnienie zresztą nie wierzył, i ze smutkiem musiał przyznać, że ludzie kochający postęp i nowoczesność zdumiewająco często ulegają magii wszelakich używek. A przecież używki te nie pozwalają im na prawdziwą radość odczuwania racjonalnej i materialnej rzeczywistości zamiast wciągania jej nosem. Sam czasem pozwalał sobie jedynie na kieliszeczek czegoś mocniejszego dla poprawy trawienia i nigdy nie nadużył alkoholu. Nie rozumiał, dlaczego tylu świątłych, mądrych i postępowych ludzi popierających jedynie słuszne idee robiło to głównie „pod wpływem”. I oburzał się, gdy ktoś twierdził, że na trzeźwo nie dało się tego zrobić.

– U mnie na piętrze każdy jara! – irytował się Fifka, wyrrywając gospodarza z jego myśli.

– A poza tym ja znam umiar. I nigdy nie miałem omamów!

– Bo gówniany towar kupujesz. Gdybyś miał mojego dostawcę...

– Panie Bolesławie – przerwał mu chłodno Klempuch. – Od tej pory dostanie pan specjalną ochronę. Podobnie jak pan Bartosz. Ale w pańskim wypadku, panie Bolesławie, będzie ona chronić pana nie tylko przed zagrożeniem zewnętrznym, lecz także przed panem samym. Żeby nie zrobił sobie pan krzywdy.

– Znaczą się... znaczą... – W oczach Bolka pojawiły się łzy.

– Znaczą się, że masz zapomnieć o jaraniu – powiedział z wyższością Fifka.

– Ale ja jestem wolnym człowiekiem! – oświadczył dumnie Szołtysik i zarówno Klempuch, jak i Fifka musieli się bardzo mocno powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Jeśli to dla pana zbyt dużo, żeby utrzymać program, to poproszę prezesa Sowę, aby poszukał pańskiego następcy. – Na takie *dictum acerbum* Bolko nieco się tylko skrzywił, protesty zostawiając na chwilę, gdy będzie już sam. – Świetnie, że zrozumiał pan powagę sytuacji. To wszystko. Skoro panowie nie są głodni, to dziękuję za towarzyszenie w lunchu. – Obaj goście podnieśli się z krzesel. – Ale do pana redaktora mam jeszcze jedną sprawę. – Skinął na Fikę. – O ile pan pozwoli? – spojrział na Szołtysika.

Tak naprawdę Klempuch mógł omówić tę sprawę w obecności Bolka. Ale chciał mu dać do zrozumienia, że swoją beztroską mógł popsuć jego misterny plan, dlatego postanowił mu okazać swoją niełaszkę. Szołtysik rozumiał jednak tę sytuację całkiem inaczej i z właściwą sobie tolerancją pomyślał:

„Pieprzone pedały. Pewnie się chcą pozabawiać. Że też takie coś po ziemi chodzi!”

Następnie skinął im głową na pożegnanie i jak najszybciej wyszedł.

– Panie Bartku, mam do pana zaufanie, dlatego wierzę, że wysłucha pan mojej prośby.

– Naturalnie.

– Nie chciałem tego mówić przy panu Szołtysiku, ale niepokoi mnie, że pan ostatnio nadużywa kresiek.

– Nie, no skąd, ja tylko tak, dla towarzystwa. – Fifka spociał się ze strachu.

– To na razie proszę unikać tego towarzystwa. Niekontrolowane wybuchy gniewu, jakie często towarzyszą tym, którzy za bardzo lubią kreski, mogłyby popsuć nasze plany. A wchodzimy powoli w finalną fazę projektu. Spoczywa na panu wielka odpowiedzialność. Tym większa, że w tej sytuacji muszę pana niestety uczynić nieco odpowiedzialnym za pańskiego kolegę, bo sam pan rozumie, że mamy do czynienia z nałogowcem i zwykła ochrona może nie wystarczyć – rzekł Klempuch.

– Naturalnie, panie Wiktorze, zrobię co tylko w mojej mocy – zadeklarował Fifka, szczęśliwy, że rozmowa zesłała już z tematu jego uzależnienia.

– Proszę zrobić znacznie więcej. Obawiam się, że to powodzenie rozzuchwali naszego kolegę detektywa, a każdy kolejny błąd może sprawić, że życie obu panów znajdzie się w niebezpieczeństwie. – Klempuch uśmiechnął się do całkiem już bladego Fifki.

– Ale przecież pana ochrona dla nas...

– Na razie to wystarcza. Ale nie jestem wszechmocny. Ten występ w telewizji przysporzył Jackowi mnóstwo fanów. Ruch jego imienia staje się coraz bardziej niebezpieczny. To fanatycy, którzy za wszelką cenę dążą do prawdy.

– To co ja mam robić? – zapytał płacząco Fifka.

– Na razie proszę robić swoje. Tylko godnością osobistą i rzetelną pracą możemy dać mu odpór.

– Staram się jak mogę. Udało mi się już namówić tę byłą modelkę, żeby wystąpiła w programie.

– A jak się mają pańscy znajomi, którym zaoferowałem mieszkanie?

– Ostatnio nie miałem z nimi kontaktu.

– To błąd. Jestem pewien, że już odczuli negatywne skutki mieszkania obok pana detektywa. Taki konserwatysta jak on musi być nietolerancyjny wobec nowych form organizacji życia społecznego.

– Genialne! – stwierdził Fifka, absolutnie nie dlatego, aby podliznąć się gospodarzowi, lecz ze względu na to, że dopiero teraz docenił finezję jego planu. – Porozmawiam z nimi jak najszybciej!

– Spokojnie, niech jeszcze poznają uroki mieszkania na Koneckiej, żeby mieli więcej do powiedzenia. Proszę ich zostawić na finał, razem z tą byłą modelką. Na razie nie o tym chciałem porozmawiać. Doszły mnie słuchy, że pan ma pisać artykuł o koszeniu traw. Niech pan nie patrzy na mnie zdziwiony. Bardzo pana cenię i obserwuję pańską pracę. I pomyślałem, że mogę pomóc. Jeśli pan pamięta, wspominałem niedawno, że jestem uczulony na pyłek traw. Między innymi dlatego zainwestowałem w kilka firm, które koszą trawę w Warszawie. Zysku z tego wprawdzie nie mam żadnego, ale robię to bardziej dla idei, żeby to miasto jakoś bardziej europejsko wyglądało. Dlatego mogę panu udzielić kilku wskazówek przydatnych przy pisaniu.

Kiedy Jacek odwiedzał Marzenę w kancelarii swojego ojca, pani mecenas zawsze podskórnie czuła, że nie wróży to niczego dobrego. Zasadniczo powody były dwa: albo Jacek był wzywany na rozmowę wychowawczą, po której pan Fryderyk bywał nadzwyczaj roztrzęsiony i praca z nim stawała się trudniejsza niż zwykle, albo Jacek wpadał sam, żeby podtrzymać wizję ich fikcyjnego narzeczeństwa ze względu na matkę detektywa. Pani Felicja była bowiem przeświadczona, że młodzi są sobie przeznaczeni, a ponieważ nie mogła się podnieść po swojej kolejnej literackiej kłęsce, nie chcieli jej denerwować. Gdy jednak Jacek wpadł do ich nowej kancelarii, naprawdę ucieszyła się na jego widok. Był przecież w pewien sposób ojcem chrzestnym tego miejsca, połączył ze sobą Błażeja i ją, dając im w wianie sprawę kamienicy przy Olbrachta. Ponadto ich fikcyjne narzeczeństwo należało już przecież do zamierzchłej przeszłości, a ona związana była z Fabriziem Cavanellim, z którym spędziła cudowny tydzień. To dodawało jej pewności siebie w kontaktach z Przypadkiem i sprawiało, że głos nie drżał jej tak bardzo. Gdyż rzeczą, która ją najbardziej przerażała w spotkaniach z Jackiem, było to, że zawsze prześwietlał na wylot wszystkie niuanse jej prywatnego życia, bezbłędnie rozpoznając wszelkie jego niedostatki. Kiedy jednak przed chwilą sekretarka zapowiedziała przyjście detektywa, Marzena najspokojniej w świecie zerknęła tylko, czy czerwony lakier na paznokciach prezentuje się odpowiednio i czy włosy są perfekcyjnie upięte. Następnie z uśmiechem przywitała swojego gościa ubranego jak zwykle w strój do biegania.

– Dzień dobry, pani mecenas.

– Cześć, Sherlocku. Gratuluję ostatniego sukcesu.

– Oglądałaś?

– Nie na żywo, ale później tak. Było się z czego pośmiać. A nawet łezkę uronić, gdy Kostrzewa obudził się ze śpiączki. Co u niego?

– Dostał policyjną ochronę i powoli zaczyna dochodzić do siebie. Chociaż zanim w pełni odzyska sprawność, minie kilka miesięcy. Ale to miłe, że wciąż o mnie myślisz i tęsknisz, oglądając filmy ze mną. – Marzena chciała rzucić ciętą ripostę, ale nagle w rękę Jacka znalazł się bukietik stokrotek. – Nie jest to może kosz róż, ale ciężko by mi się z nim biegło.

– Dzięki. – Marzena przyjęła bukietik i włożyła go do czystej szklanki stojącej na biurku.

– Chyba nie o kwiatkach przybiegłeś tu rozmawiać? – Wzięła szklankę ze stokrotkami i oboje ruszyli w stronę łazienki.

– Wprost przeciwnie. Właśnie o kwiatkach. A konkretnie o bukietie róż, który, zakładam, ty zamawiałaś, bo w rocznicę ślubu moich rodziców pracowałaś jeszcze u mojego ojca.

– To prawda. – Marzena napuściła z umywalkowego kranu odrobinę wody do szklanki. – Ale co ja ci mogę powiedzieć? Zamówiłam kwiaty jak zwykle, tylko wysłałam je na inny adres.

– Nie zdziwiło cię to?

Wrócili do jej gabinetu, którego drzwi ochroniły ich przed ciekawskim spojrzeniem sekretarki.

– Dobrze wiesz, że zdziwiło.

– A nie masz w związku z tym jakichś podejrzeń?

– Jeśli chcesz prowadzić śledztwo w sprawie tego, czy twój ojciec stara się odzyskać względy twojej matki, to chyba przyszedłeś do złej kancelarii.

– Czyli jednak pomyślałaś o tym?

– Nie, nie zastanawiałam się nad tym w ogóle, bo na szczęście stosunki między twoimi rodzicami to już zupełnie nie moja sprawa. – Marzena po raz pierwszy poczuła się naprawdę zirytowana.

– Gdybyś się nie zastanawiała, to pomyślałabyś raczej, że po prostu mój papa chce być miły – drażył nieustępliwie Jacek.

– Jeśli chce się być miłym, to wysyła się bukiet, a nie cały kosz.

– Czyli to analizowałaś?

– Mógłbyś gdzie indziej rozwiązywać te swoje zagadki?

– Chwilowo nie mam zleceń. A muszę cały czas trenować. Ponieważ organ nieużywany zanika.

– To trenuj go na innym przykładzie.

– Okej. W związku z Fabriziem bardzo jesteś nieszczęśliwa czy tylko trochę?

– Co proszę?!

– Kiedy jesteś szczęśliwa, używasz ciemnoczerwonego lakieru do paznokci, a gdy czegoś ci do szczęścia brak, trochę jaśniejszego. Szczęśliwa pozwalasz kosmykom twoich włosów opaść czasem na policzek, nawet gdy masz oficjalne spotkanie. A teraz włosy masz upięte perfekcyjnie. No i masz na sobie swoją najseksowniejszą bieliznę.

– Co?!?! Jak to... Skąd wiesz?! – Wprawdzie po takiej impertynencji najchętniej by Jacka wyrzuciła, ale zwyciężyła kobieca ciekawość, którą detektyw postanowił wykorzystać.

– Powiem ci, skąd to wiem, jeśli mi obiecasz, że nie wywalisz mnie stąd natychmiast, pozwolisz się czasem odwiedzić, a po moim wyjściu nie wyrzucisz stokrotek do kosza.

– To kancelaria moja i Błazeja, możesz więc przychodzić tu, kiedy zechcesz, i dobrze o tym wiesz.

– A stokrotki?

– Obiecuję, że przeżyją w tej wodzie aż do końca swojej urody.

– Nie pogniewaj się, Marzeno...

– Już ci powiedziałam!

– Wiem. Ale za coś takiego kobiety zawsze się gniewają.

– Jeszcze chwila i pogniewam się na pewno!

– Już wyjaśniam. Wprawdzie bez wątplenia stać cię na wiele kompletów pięknej bielizny, ale jak większość kobiet uwielbiasz się czasem wciskać w stare rzeczy, z których już nieco wyrosłaś. To taka chęć udowodnienia sobie, że wciąż jesteś młoda, szczupła i atrakcyjna. A dziś poruszasz się, jakby cię coś tu i ówdzie uciskało. Nie sądzę, byś włożyła pod spód byle co, więc to musi być twój stary komplet najatrakcyjniejszej bielizny. – Na twarz Jacka chlusnęła woda. – Cóż, zasłużyłem. Mam nadzieję, że dotrzymasz jednak słowa i nie wyrzucisz stokrotek?

Bogdan Przerwała, naczelny „Głosu Warszawy”, jeszcze raz na spokojnie przemyślał wszystko. Na pewno nikt nie słyszał jego rozmowy z Tomkiem Prochem. Kiedy Proch wyszedł od niego, nie wyglądało, żeby z kimkolwiek po drodze pogadał. Żaden z jego dziennikarzy nie pytał o niego ostatnio. A może się boją? Wiedzą doskonale, jakiej biedy napisał ich gazecie artykuł Procha, i wolą nie dotykać tego tematu. Może jednak Tomek, zanim stąd wyszedł, zdążył coś komuś powiedzieć? Coś, co postawiłoby Przerwałę w trudnej sytuacji...

Ale przecież wszystkiego może się wyprzeć. Nikt nie uwierzy w słowa Procha, zwłaszcza z drugiej ręki. Przerwała powie, że tamten oszalał i dlatego gadał głupoty.

– Szefie, ochrona dzwoni, że chce się z panem widzieć Bożena Duńska – oznajmiła sekretarka, zaglądnąjąc przez na wpuł uchylone drzwi.

– Kto?! – przestraszył się naczelny.

- Dziewczyna Tomka Procha.
- Przecież wiem, kto to jest! - zezłościł się Przerwała. - Czego chce?
- No mówię, zobaczyć się z panem. Wpuścić?

Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z nią i mógł jej spokojnie uniknąć pod byle jakim pretekstem. Tylko co to da? Ta Duńska może być uparta, a niechęć do spotkania z nią może zostać przez kogoś niewłaściwie rozumiana. Zresztą może go dorwać gdziekolwiek, na przykład na jakiejś dziennikarskiej imprezie. Lepiej porozmawiać z nią we własnym gabinecie, gdzie nikt nie usłyszy, co mówi.

- Wpuść ją.

Przerwała w oczekiwaniu na swojego gościa wyjął z szuflady paczkę chusteczek jednorazowych i starał się za ich pomocą błyskawicznie osuszyć czoło. Nie szło mu to najlepiej, więc kiedy Duńska stanęła w drzwiach jego gabinetu, krople potu wciąż spływały po policzkach naczelnego.

- Cześć, Bożenka - przywitał ją, siląc się na beztroski ton. - Ślicznie wyglądasz. W czym mogę ci pomóc? Co tam u ciebie słychać?

- Nie jestem już z Prochem! - oświadczyła na dzień dobry dziennikarka, nieco zaskakując tym Przerwałę.

- To... gratuluję decyzji. Jest świetna. Rzekłbym: jedynie słuszna. Ale czemu mi o tym mówisz?

- Abyś wiedział, że nie należy mnie z nim łączyć. I abyś więcej nie przysyłał na mój adres listów do niego. - Duńska rzuciła naczelnemu na blat biurka korespondencję „Głosu Warszawy” do Tomka Procha. - To jest tylko i wyłącznie moje mieszkanie! - zaznaczyła wyraźnie zdenerwowana.

- Dokądś to musiałem wysłać - tłumaczył się Przerwała.

- Następnym razem ślij do rodziców. Tam jest cały czas zameldowany. A do mojego mieszkania nie ma już prawa wstępu! Chociaż kluczy mi nawet nie zwrócił. Po to też przysłałam.

- Ja nie mam twoich kluczy, Bożenko - zdziwił się rozbawiony Przerwała.

- Domyślałam się. Ale może zostawił je w swoim biurku?

- Zadzwoń do niego...

- Nie odbiera telefonów ode mnie. Nagrałam mu się tyle razy, że ma pełną skrzynkę. Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Chociaż w ogóle mnie to nie interesuje, bo już z nim nie jestem!

- Spokojnie, Bożenko, wierzę ci. Ale mnie tak samo nie interesuje, gdzie on jest - zastrzegł się szybko. - A w jego biurku nie było nic poza firmowymi papierami.

- No ładnie, będę musiała w dodatku wymienić wszystkie zamki! - Panna Duńska tupnęła ze złością. A ponieważ w odróżnieniu od byłego chłopaka była solidnej postury, podłoga w gabinecie naczelnego aż zadrżała.

- Nie przejmuj się nim i zapomnij.

- Chciałabym. Ale wszyscy myślą, że nadal z nim jestem. Poświęciłam mu pięć lat życia, a on mi wyciął taki numer. To drań!

- Masz rację, to drań. Mówię ci, zapomnij o nim, Bożenko. Przecież on już właściwie nie istnieje.

- Ma jeszcze wystąpić w programie Anki Sobani.

- A potwierdził przyjdzie? - uśmiechnął się Przerwała.

- Raczej nie, bo Anka cały czas do mnie wydzwania i się nagrywa. A mnie się już nawet nie chce gadać, że z nim nie jestem! - Panna Duńska ze zdenerwowania była bliska płaczu.

– Czyli widzisz, możesz absolutnie o nim zapomnieć. Tak będzie dla ciebie lepiej. Tak zresztą będzie lepiej dla nas wszystkich.

– Masz rację. – Odetchnęła uspokojona i wstała z krzesła. – Że też się musiała trafić człowiekowi taka czarna owca.

– Co zrobić? – Przerwała wstał i otoczywszy ramieniem swojego gościa, odprowadzał go do drzwi. – Poszukaj sobie kogoś nowego. Taka atrakcyjna kobieta jak ty nie powinna być samotna. – Duńska spojrzała na niego z ciekawością. Wprowadzie był od niej piętnaście lat starszy, ale to jednak redaktor naczelny. Przerwała odczytał właściwie jej spojrzenie i pospieszył z wyjaśnieniem: – My z Hanią już dwadzieścia lat jesteśmy szczęśliwi w małżeństwie. Mówię ci, wyjdź za kogoś. Wiem, to teraz niemożliwe, ale...

– Za duże ryzyko. Tomek też mi się oświadczał, ale mu po wiedziałam, że wierzę wyłącznie w prawdziwą miłość i żadne papierki nie są mi potrzebne. I proszę, miałam rację. Gdybyśmy byli małżeństwem, to przed rozwodem byłabym przez kilka miesięcy jego żoną i miałabym problemy...

– Tak, tak, masz rację – przytaknął Przerwała i niemal wypchnął Duńską ze swojego gabinetu. – Powodzenia, Bożenko!

Przerwała zamknęła drzwi, wyjął z kieszeni resztkę chusteczek i powoli osuszał czoło. Tym razem poszło mu znacznie sprawniej, ponieważ naczelny „Głosu Warszawy” wierzył, że ta wizyta była absolutnie ostatnią związaną z Tomkiem Prochem. I że już nikt nigdy nie będzie go o niego pytał.

Redaktor Anna Sobania wolałaby za wszelką cenę uniknąć tego spotkania. Wiele razy przekonywała samą siebie, że nie powinna tu przychodzić, gdyż znakomicie sobie poradzi bez pomocy Przypadka. Ale kolejne próby odnalezienia Tomka Procha nie kończyły się sukcesem, a czas naglił. Do dnia jej pierwszego programu w TV Ekstra zostały trzy doby, a jej główny gość rozpułnął się w powietrzu. Nie miała wyjścia. Naciśnęła w końcu dzwonek domofonu oznaczony numerem dwanaście.

– Wejść, Aniu. – Usłyszała, zanim odezwał się brzęczek oznaczający otwieranie drzwi. Odruchowo nawet sprawdziła, czy przypadkiem nie została tu ostatnimi czasy zainstalowana kamera. Ale nie, to wciąż był ten sam stary, by nie rzec przedpotopowy, domofon, dlatego mogła się tylko gorzko uśmiechnąć. No tak, w końcu idzie do jasnovidza.

– Błagam, tylko mi nie mów, że ludzie są banalnie przewidywalni – zastrzegła, widząc Jacka czekającego na nią w drzwiach mieszkania na czwartym piętrze.

– Są. Są. Twojej wizyty się nie spodziewałem. Po prostu wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że spacerujesz po ulicy tam i z powrotem. Już sam miałem wyjść, bo bałem się, że przemokniesz do suchej nitki, ponieważ masz zbyt małą parasolkę na taką ulewę. Daj, odłożę ją do wanny. – Wpuścił dziennikarkę do środka i zamknął za nią drzwi. – Napijesz się kawy?

– Na początek musisz mi obiecać, że nie powiesz ani słowa o mojej wizycie Błazejowi.

– Wybacz, ale jestem lojalny wobec przyjaciół.

– Ale on mi cały czas truje, że powinnam zrezygnować z tego programu, bo się tylko przez niego denerwuję! – Guziki w płaszczu pani redaktor złośliwie nie chciały się odpiąć, co dodatkowo potęgowało jej złość.

– Jak widać, ma rację.

– Nie ma! To on mnie ostatnio denerwuje. To jak, będziesz milczał?

– Mogę ci tylko obiecać zawodową dyskrecję w sprawie, w której do mnie przysłaś.



– Możesz się podtrzeć tą dyskrecją! – wrzasnęła wściekła Sobania i najchętniej od razu wyszłaby z mieszkania Przypadka. Ale nie mogła. – Błazej i tak wie o tej sprawie. Pewnie słyszałeś, że dostałam program w telewizji? – Jacek przytaknął. – Wstrętny plotkarz, zabroniłam mu tobie o tym mówić!

– Ale mówi o tym sama telewizja, reklamując pierwszy program. – Jacek wszedł do łazienki. – Tylko zdziwił mnie temat. Koszenie trawy w mieście. – Przypadek włożył parasolkę do wanny i wrócił do gościa.

– Co w tym dziwnego?

– Mało poważny jak na tak ambitną dziennikarkę śledczą jak ty.

Ania łypnęła spod oka na Przypadka, czy aby na pewno z niej nie kpi. Ale detektyw był śmiertelnie poważny. Zresztą ona sama musiała przyznać, że nie taki temat wymarzyła sobie na debiut. Ale oficjalnie musiała bronić sprawy.

– Wiesz, to bardzo na czasie. Podnoszą się głosy, że nie ma sensu tak ciągle kosić trawy w mieście. Są argumenty za i przeciw.

– A które argumenty cię tu sprowadziły?

– Te przeciw. – Sobania wyjęła z torebki gazetę i podała Jackowi. – Przeczytaj ten fragment.

– „Szedłem wczoraj spokojnie do pracy. Koniec września, piękna pogoda. Nic, tylko się cieszyć spacerem. Moja radość nie trwała jednak długo. Gdy doszedłem do skrawka zieleni, zabuczały maszyny kosiarzy traw. Chwyliłem się za głowę nie tylko po to, żeby zakryć uszy. Pomyślałem, że przecież ta trawa ledwie odrosła, ledwie się zazieleniła, po tym jak po poprzednim koszeniu zamieniła się w suchą polepę. Wiem, trudno było przewidzieć, że przez dwa tygodnie nie będzie padać deszcz, choć prognozy ostrzegają. Ale teraz? Przecież za chwilę zrobi się chłodno i ta trawa już i tak nie urosnie zbyt wysoka. Lecz mogłaby pozostać zielona aż do zimy, ciesząc nasze oczy. Do tej pory milczałem, widząc przycinanie trawy co dwa tygodnie, które pozbawiało miasta odrobiny wilgoci i przyjemnego chłodu w upalne dni. Ale teraz mówię dość. I chętnie bym się spotkał z urzędnikiem, który podjął tę decyzję. Tomek Proch” – przeczytał Jacek na głos, oddał Ani gazetę i zapytał: – I co w związku z tym?

– Chciałam go zaprosić do mojego programu, żeby podyskutować na ten temat. Ale nagle zapadł się pod ziemię.

– Zaproś kogoś innego.

– Niestety, nie ma nikogo innego o takich poglądach.

– Czekaj, to całe to zamieszanie w mediach ostatnio to przez ten jeden artykuł? – Jacek parsknął śmiechem.

– Co cię tak bawi?!

– No bo to jakby strzelać z armaty do muchy...

– Media muszą być wyczulone na pewne problemy. I reagować odpowiednio wcześniej. A za Prochem ktoś pewnie stoi. Inaczej nie odważyłyby się napisać takiego artykułu!

– Aniu, uspokój się. Nie powinnaś się tak denerwować. – Jacek spojrzął z troską na dziennikarkę, co zirykowało ją niepomiarnie.

– Nie jestem twoją dziewczyną, żebyś mógł mną zarządzać!

– Oczywiście – zgodził się potulnie Przypadek. – To co, gdy przestanie padać, ruszamy od razu na poszukiwanie pana Procha?

– Zgadzasz się mi pomóc? – Spojrzała zdziwiona. – Tak bez żadnych targów? Ile chcesz?

– Nic...

– Nie kłam, na pewno będziesz chciał, żebym potem pomogła ci w jakiejś sprawie. Ale nawet na to nie licz! Wolę ci zapłacić dziesięć tysięcy, bylebyś tylko nie chciał rewanżu. Dziesięć za mało? Dobra, dwadzieścia tysięcy. Też za mało? Więcej nie mogę, co najwyżej zwrot kosztów, ale góra pięć tysięcy! – gorączkowała się redaktor Sobania, poirytowana coraz mocniej ironiczo-dobrotliwo-pobłażliwym uśmiechem Jacka.

– Obiecuję, że niczego nie będę chciał. A to tylko drobna spłata długu za stare zobowiązania, jakie mam wobec ciebie. I przysługa dla mojego najlepszego przyjaciela. To gdzie zaczynamy poszukiwania?

Filip Gontarz miał szczególne upodobanie do koloru białego. Najlepiej odpowiadały mu białe marynarki, białe spodnie i białe koszule. I gdyby nie to, że białe krawaty zlewałyby się z nimi i byłyby nie do zauważenia, prawdopodobnie i je nosiłby w tym właśnie kolorze. Ale skoro już musiał wybierać dla nich inną barwę, stawiał na zdecydowane ciemne kolory. Choć starannie unikał najciemniejszej z ciemnych barw, gdyż przecież wystarczyło, że był jednym z najlepszych specjalistów w Polsce od czarnego PR-u. Dlatego nie miał ochoty na głupie skojarzenia znajomych dziennikarzy.

Również jego auto – elegancki sportowy samochód – i biuro, w którym właśnie przebywał, utrzymane były, wraz z całym wnętrzem, w jasnych, pogodnych barwach. I tylko czerń literek i zdjęć z prasy, którą właśnie przeglądał Gontarz, ładnie się odcinała od tego niebiańskiego niemal tła, a kreseczka ust właściciela agencji Pompownia rozszerzała się w coraz większym uśmiechu. Jego radość powiększała się z każdą chwilą, gdy czytał zaangażowany i przekonujący artykuł Bartosza Fifki o ludziach uczulonych na pyłki traw, którzy dzięki regularnemu koszeniu trawników odzyskiwali godność i przestawali czuć się wykluczeni.

– No, panie Proch, już po panu – zauważył zadowolony Gontarz. – Teraz mi pan już nie podskoczysz.

Zakończywszy lekturę prasy, właściciel Pompowni z zadowoleniem pomyślał, że może w końcu przystąpić do jednej ze swoich ulubionych czynności. Czyli wypisać fakturę na okrągłą sumkę i przesłać ją na odpowiedni adres. Kampania na rzecz regularnego koszenia traw wydawała się w zasadzie zakończona. Jeszcze kilka krótkich artykułów, że dwie dyskusje w radiu, show tej Sobani w telewizji ośmieszający przeciwników i będzie po robocie.

Gontarz musiał przyznać, że nie była ona trudna i były to jedne z łatwiejszych pieniędzy, jakie zarobił. Owszem, będzie się musiał podzielić z paroma znajomymi dziennikarzami i coś im zapłacić za to, że tak ładnie wpisali się w jego kampanię. Ale tym razem miał naprawdę duże wsparcie u góry i panowie redaktorzy chętnie łykali gotowce, które im podpisał, podpisując je rzecz jasna własnymi nazwiskami i inkasując honoraria za ich napisanie.

Patrzeć na takie artykuły było z kolei najmniej przyjemną częścią jego pracy i zawsze go irytowało. Uważał, że większość tych pętaków, którzy podpisywali się pod tekstami jego autorstwa, nie ma nawet ćwierci tego talentu do pisania co on i powinna mu jeszcze dopłacać, że podpisał im tak dobrze zredagowane rzeczy. A oni nie dość, że nie są wdzięczni, to na dodatek chyba myślą, że są lepsi niż on. Mają wrażenie, że wciąż są po jasnej stronie mocy, którą on opuścił, przechodząc na ciemną stronę jeszcze wyższych zarobków. Wiele razy wyczuwał z ich stronie lekceważenie, nawet gdy przelewał im pieniądze za wykonanie brudnej roboty.

Złość przechodziła mu powoli, gdyż gdzieś tam w głębi duszy miał wciąż ochotę być dziennikarzem. Pewnie gdyby nie kryzys w branży, spadające stawki i coraz większe

problemy ze znalezieniem roboty, wciąż by pracował w tym zawodzie. Wielu odchodzących z dziennikarstwa zatrudniało się w biurach prasowych wielkich firm, o których coś kiedyś dobrze napisali, lub zostawało wprost ich rzecznikami. Ale on uważał, że to niepewne zajęcie i wolał pójść na swoje.

Wciąż jednak nie mógł znieść lekceważących uwag byłych kolegów, którzy w ten czy inny sposób dawali mu odczuć, że uważają, iż zabrakło mu talentu, aby zostać redaktorem z prawdziwego zdarzenia, dlatego musiał poszukać jakiegoś innego zajęcia. Upijał się wtedy i powtarzał pod nosem: „Pieprzeni hipokryci”. Ale następnego dnia i przy każdym kolejnym zleceniu z satysfakcją odnotowywał, że oni dostaną za swoją dyspozycyjność grosze, a on zarobi prawdziwe pieniądze.

Choć niechętnie musiał przyznać, że zdarzali się w tym zawodzie tacy, którzy odmawiali kontaktów z nim i nie chcieli przyjąć zleceń. Tych nie lubił w szczególności, a nawet trudno mu było uwierzyć, że w ogóle istnieją. Przypuszczał raczej, że po prostu nie mógł znaleźć do nich odpowiedniego dojścia, które ma jego konkurencja. Dlatego co raz próbował ich przekonać do współpracy, oferując stawki wyższe niż innym. Wtedy pracował „po kosztach”, oddając niemal całą kasę nowemu współpracownikowi. Za to miał dodatkową satysfakcję, że kogoś znów udało mu się zwerbować, i ani myślał płacić mu w przyszłości więcej niż innym. I cały czas ich nienawidził, ponieważ w imię iluzorycznych zasad sprzedali mu się drożej, zabierając pieniądze, które powinny należeć do niego.

Lecz jeszcze bardziej nienawidził tych, którzy wciąż mu się opierali. Jak Tomek Proch.

Dlatego gdy dostał zlecenie na tego „upartego gnoja”, jak go w myślach nazywał, podskoczył z radości. I obiecał sobie, że postara się dwa razy bardziej, niż wskazywałyby na to wysokość honorarium, które miał zainkasować. Gotowce pisał przez trzy dni i nocę. Zaoferował dziennikarzom wyższe stawki niż zwykle. I z dużą satysfakcją patrzył, jak kampania rozlewa się po wszystkich mediach, z pewnością przyprowadzając tego tchórza o palpację serca. Bo Gontarz był przekonany, że Proch nie opiera mu się z powodu zasad moralnych czy nawet chęci zarobienia większych pieniędzy, lecz dlatego, że jest zwykłym cykorem, bojącym się komukolwiek narazić.

Właściciel Pompowni spojrzął na zegarek i pomyślał, że fakturę wystawi jednak później, a teraz wyskoczy na lunch. Potem dopiero wypisze kwotę, dzięki której ostatecznie pogrąży jednego z ostatnich, którzy nie chcieli nigdy zagrać w jego orkiestrze.

– Jesteś już trupem, panie Proch. Lepiej było ze mną nie zadzierać.

Bogdan Przerwała był znany ze swojego niekonfliktowego charakteru. Zawsze zgadzał się ze swoim rozmówcą, przytakiwał mu, chwalił za lotność umysłu. Dzięki temu przemierzał różne redakcje, powoli awansując w zawodowej hierarchii. Nigdy nie stawał na pieruszej linii, nie walczył, nie uczestniczył w środowiskowych kampaniach, nagonkach, trzymał się z boku. Uchodził wręcz za siłę spokoju, choć niektórzy twierdzili, że są sposoby na doprowadzenie go do temperatury wrzenia, powyżej której gwałtownie wybuchnął.

Niewykluczone nawet, że właśnie w tej chwili był tego bliski. Mógł o tym świadczyć fakt, że mimo dużego chłodu panującego w jego gabinecie nieustannie musiał wycierać zroszone potem czoło. Temperaturę wewnątrz zdecydowanie podnosili jego goście, a szczególnie jeden z nich, beczelnie uśmiechający się do niego facet w stroju do uprawiania joggingu. Najchętniej wyprosiłby oboje, ale nie mógł tego zrobić z redaktor Sobanią, która ostatnio miała świetne notowania na rynku i lepiej było z nią niepotrzebnie nie zadzierać.

Jednak jak tak dalej pójdzie, to nikt z nią nie będzie chciał rozmawiać. Co jej strzeliło do głowy, żeby prowadzić się z tym Przypadkiem?! Na dodatek wypytywać o pracownika, o którym chciałby jak najszybciej zapomnieć. Jeszcze niedawno miał przecież nadzieję, że nikt nie zapyta.

Złość Przerwały, którą starał się hamować, potęgował fakt, że za oknem znów pracowali kosiarze pracowicie pozbawiający parkowe trawniki ich październikowego okrycia. Redakcja była na parterze, a pod jego gabinetem przebiegały ciepłe już rury centralnego ogrzewania. O klimatyzacji mógł tylko pomarzyć. Na razie wprawdzie operatorzy warczących potworów wykonywali swoją pracę w pewnej odległości, lecz naczelny „Głosu” ze strachem już myślał, że kiedy się przybliżą, będzie musiał zamknąć okno i kompletnie się ugotuje.

– Aneczko, ja naprawdę nie wiem, gdzie jest Proch – zapewniał Przerwałą.

– Bogdan, ja go muszę mieć w programie.

– No rozumiem, Aneczko. Tylko wiesz, jakbyś mogła nie podpisywać go moim „Głosem Warszawy”, bo on tu już jakby nie pracuje...

– Złożył wypowiedzenie? – zapytał Jacek.

– Właśnie miałem cię zapytać, Aneczko, co ten pan tutaj robi? – Przerwałą wskazał delikatnie Przypadka, jakby go nie było.

– On mi pomaga.

– Oryginalne masz pomysły, Aneczko. – Trudno odgadnąć, czy w głosie naczelnego więcej było zdumienia czy potępienia. – Nie spodziewałbym się tego po tobie.

– Muszę mieć Procha.

– Po co, Aneczko? Jesteś świetną dziennikarką, poradzisz sobie, Aneczko.

– Ale z kimś muszę prowadzić dyskusję. – Redaktor Sobania stwierdziła, że jeśli usłyszy jeszcze jedną „Aneczkę”, to przeskoczy biurko naczelnego i osobiście go udusi. Albo nie, zrobi to, gdy już z nim porozmawia i wydobędzie z niego wszystkie wiadomości.

– No to zaprosz Skrupskiego. Idźcie Wasowicz. Bartka Fifkę. Wszyscy napisali ciekawe teksty na ten temat. – Naczelny „Głosu” rozpakował w pośpiechu kolejne opakowanie jednorazowych chusteczek higienicznych i od razu z nich skorzystał.

– Ale oni wszyscy mają takie samo zdanie jak ja!

– Nie poznaję cię, Aneczko. – Przerwałą przyglądał się Sobani, jakby rzeczywiście stanął przed nim ktoś zupełnie inny, niż dotąd uważał. – I co z tego?

– Jak to co z tego!? – krzyknęła dziennikarka, a Przerwałą stwierdził, że Ania musi być naprawdę nie w formie, skoro nie rozumie tak podstawowych rzeczy. Zresztą Przypadek też był zdziwiony tym faktem, dlatego przyszedł swojej zleceniodawczyni z pomocą.

– Pan redaktor sugeruje, że nie musisz przedstawiać przeciwnego punktu widzenia, bo wystarczy ci grupa potakiwaczy, która przykłaśnie z góry ustalonej tezie.

Przerwałą po raz kolejny otarł zroszone potem czoło i spojrzął na Jacka z takim poczuciem wyższości, że gdyby Przypadek miał w sobie choć odrobinę przyzwoitości, podkuliłby ogon i schował się pod własne krzesło. Ale nie od dziś było powszechnie wiadomo, że zamiast tego detektyw jest wyposażony w swój ironiczno-dobrotliwo-pobłaźliwy wyraz twarzy, którym doprowadzał do furii każdego swojego rozmówcę. Dlatego naczelny spojrzął nie na niego, tylko na redaktor Sobanię.

– Aneczko, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

– To nie pomożesz mi znaleźć Tomka?

– Powiedziałem, już u mnie nie pracuje. Musiałem go zwolnić dyscyplinarnie.

– Za co?

– Wiesz, co on wymyślił, Aneczko? – Przerwała rozluźnił krawat, gdyż ciągłe wycieranie czoła nie dawało już nic z powodu zdecydowanej nadprodukcji potu. – Przyszedł do mnie tego dnia, kiedy ukazało się pełno tych artykułów, wiesz o czym. Myślałem, że chce przeprosić jak zwykle. Przecież tyle dla niego zrobiłem. Nikt go nie chciał zatrudnić po tej sprawie z VAT-em...

– Jakiej sprawie? – zainteresował się Przepadek. Ale ponieważ nie miał wątpliwości, że naczelny „Głosu Warszawy” nie udzieli mu odpowiedzi, zwrócił się bezpośrednio do Sobani.

– Tomek pracował wtedy u nas w dziale prawnym „Nowego Życia”. I napisał, że w nowelizacji ustawy o Vacie jest luka, przez którą skarb państwa straci trzy miliardy. Miał dobre chęci, myślał, że to przez pomyłkę znalazł się tam ten zapis i że tylko pomoże rządowi.

– Rozumiem – pokiwał głową detektyw. – Ten, kto ten zapis tam wprowadził, postarał się o taką nagonkę jak ta z koszeniem traw.

– Gówno pan rozumie! – Najwyraźniej właśnie nadszedł ten moment, kiedy wewnętrzna temperatura Przerwały przekroczyła poziom wrzenia. – I ten Proch tak samo. Wtedy też do mnie przyszedł i mówi: „Będę walczył! Zbiorę opinie i dokumenty i będę przekonywał, że mam rację z tym koszeniem trawy! A na dodatek udowodnię, że ta nagonka na mnie jest zorganizowana!” – Naczelny „Głosu Warszawy” nie posiadał się z oburzenia.

– Przez kogo? – zainteresował się Jacek, a Przerwała nieco z rozpędu mu odpowiedział.

– Twierdził, że przez Gontarza, i jeszcze się odgrażał, że dorwie gnoja. Oszalał!

– Miał prawo się bronić...

– Nie! Nie rozumiał, że to nie jest jego prywatna wojna, tylko zagrożenie dla gazety. Mogliby nas wszyscy zniszczyć procesami o zniesławienie. Dlatego mu zabroniłem się tym zajmować!

– Posłuchał?

– Nie wiem. Następnego dnia już nie przyszedł do pracy. Dlatego go zwolniłem dyscyplinarnie. – Wypuszczenie pary dobrze zrobiło Przerwałowi, bo powoli się uspokajał.

– Nie telefonował pan do niego? Nie próbował ustalić, co się z nim stało? – wypytywał Przepadek.

– To nie moja sprawa. On ma obowiązek przychodzić do redakcji, a skoro nie przyszedł, to mogę z nim zrobić, co zechcę.

– Miałeś z nim jakiś kontakt?

– Nie. Wypowiedzenie wysłaliśmy mu listownie.

– Na jaki adres?

– Najpierw do tej jego dziewczyny, Bożeny Duńskiej. Ale ona odniosła mi list i powiedziała, żebym go wysłał do jego rodziców, bo ona nie ma chwilowo z nim kontaktu. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie. – Spojrzał wymownie na Jacka, jakby dodając „w tym towarzystwie”.

– Jasne. Ale gdyby się odezwał...

– Daj sobie spokój, Aneczko. Zrób ten program tak, jak ci radziłem. A teraz cześć, bo mam dużo pracy...

Kiedy Jacek z Anią wyszli z gabinetu naczelnego, ten przez dłuższą chwilę kiwał głową, jakby nadal nie rozumiał, co się stało. Później wyjął z opakowania od razu kilka chusteczek i wszystkimi naraz zaczął wycierać całą twarz. Potem sięgnął po telefon i szybko wybrał numer.

– No cześć, mówi Przerwała... Tak, była u mnie. Zupełnie nie wiem, co się z nią dzieje, przecież to zawsze była rozsądna kobieta... Aha... Słuchaj, a ten Proch na pewno gdzieś nie

wypłynię? Moglibyśmy mieć wtedy kłopoty...

Czytelniczy czterech poprzednich części przygód pana Przypadka mieli okazję poznać panią Helenę Sakowicz, matkę Błażeja i żonę Jędrzeja, jedynie nieco korespondencyjnie. Autor jak na razie nie odważył się pokazać jej osobiście, dlatego też mogło powstać mylne wrażenie, że jest to postać niezwykle tajemnicza. A do tego herod-baba, przed którą drży szczególnie jej mąż, bojący się sprzeciwić żonie nawet w najdrobniejszej sprawie. I wołający cierpieć z powodu uczulających go roślin, niż zasugerować małżonce, że jej pomysł z umieszczeniem ich w jego gabinecie nie był najlepszy.

To prawda, pani Helena była osobą konkretną, która zdecydowanie wiedziała, o co jej chodzi. Dlatego nie znosiła dzielenia włosa na czworo i szybko podejmowała różnorakie decyzje, czym różniła się od swego małżonka lubiącego po prawniczymu rozważyć każdą ewentualność. Owszem, starała się stawiać na swoim, ale wynikało to właśnie z niechęci do braku zdecydowania pana Jędrzeja i z tego, że nie miała ochoty miesiącami czekać na najprostszą decyzję.

W zasadzie jedyną szybką decyzję pan Jędrzej podjął, kiedy się poznali. Właściwie od razu czuł, że ma do czynienia z kobietą swojego życia. Pani Helena natomiast miała mnóstwo najrozmaitszych planów na owo życie. Wiele osób uważało, że zrobi karierę w różnych międzynarodowych instytucjach, ponieważ pochodziła z rodziny dyplomatów, znała świetnie sześć języków, a studia na trzech kierunkach ukończyła z wyróżnieniem.

Dlatego też raz godziła się na związek z panem Jędrzejem, raz się z nim rozstawała. W trakcie jednego z takich powrotów poczęty został Błażej, więc przyszła mama, niespodziewanie nawet dla samej siebie, niemal oświadczyła się panu Jędrzejowi, który zapewnił ją, że niczego jej nie zabraknie i niczym nie musi się przejmować. Tak też się stało, a pani Helena z czasem rozsmakowała się w spokojnej posadce na jednej z uniwersyteckich katedr i jakoś zupełnie straciła pęd do kariery. Wszystkie miejsca, które chciała zobaczyć jako pracownik międzynarodowych instytucji, zwiedziła podczas wycieczek z mężem, który, choć domator z natury, nie śmiał się sprzeciwić żonie w jej podróżniczych planach.

I tylko czasem, gdy zobaczyła kogoś starego znajomego brylującego w miejscu, w którym sama siebie kiedyś widziała, nachodził ją smutek. Nie trwał jednak zbyt długo, gdyż jak mawiała jej lekarka, zlecając jej rutynowe badania: „Pani Heleno, jest pani jedną z trzech znanych mi osób, które mają dobry poziom witaminy D. Musi być pani bardzo szczęśliwa”. To była absolutna prawda, bo pani Helena Sakowicz czuła się szczęśliwa i nie potrafiła długo się czymś martwić. Zresztą nie miała ku temu powodów. Globalne ocieplenie jej nie wruszało, bo uważała je za normalny element cyklu klimatycznego naszej planety. Inne wielkie problemy tego świata również pozostawiała zawodowcom, którzy biorą pieniądze za ciągłe przejmowanie się nimi i dobrze na tym zarabiają.

Ona sama zajmowała się tylko rzeczami małymi, takimi jak rodzina, a tu panował spokój, bez wzlotów, ale i bez upadków (w przeciwieństwie do pana Jędrzeja wyprowadzkę jedynaka przyjęła dość spokojnie i nie była ona dla niej powodem do zmartwień). Aż do chwili, gdy zapytała męża, co słyhać u Błażeja, a ten odpowiedział:

– Nie mamy już syna.

Następnie poszedł do gabinetu na piętrze i zajął się przeglądaniem swojej kolekcji fajek. Pani Helena wiedziała, że w tej chwili zadawanie jakichkolwiek pytań nie ma najmniejszego sensu. Chociaż sytuacja bez wątplenia była poważna. Pan Jędrzej ze swoją angielską flegmatycznością nie był skłonny do dramatyzowania. Gdy się potem dowiedziała, w czym

rzecz, oczywiście nie podzielała jego rozpacz, ale czuła, że problem jest poważny. I że musi omówić go z synem. Gdy właściwie sięgała już po telefon, zadzwonił Błażej, oświadczając, że ma do omówienia sprawę niecierpiącą zwłoki. W pierwszej chwili pomyślała, że chodzi o jego nową kancelarię, jednak potem zaczęła przypuszczać, że musi chodzić o coś innego. I właśnie usłyszała potwierdzenie swoich domysłów.

– Jesteś tego pewien, mój drogi? – zapytała pani Helena, bo chociaż była osobą ciepłą i serdeczną, to pewien sposób protekcyjnego odzywania się do syna przejęła od męża.

– Jacek tak twierdzi – zastrzegł się Błażej, ale wiedział, że jego matka w przeciwieństwie do ojca absolutnie wierzy w zdolności detektywa.

– Czyli pewnie ma rację. Choć są nieco doskonalsze metody sprawdzenia tej informacji. Dlatego powinienes ją zweryfikować, Błażeju.

– Będę się naturalnie starał, mam. Ale chciałbym też do prowadzić do rodzinnego spotkania.

– To nie będzie łatwe. Szczególnie w obecnej sytuacji, mój drogi.

– Liczę na twój talent do przekonywania taty.

– Naturalnie, choć musisz być świadom, że to wymaga czasu. Obawiam się, że ojciec nigdy nie zaakceptuje twojej decyzji.

– Liczyłem się z tym, mam. Ale teraz chodzi o coś ważniejszego niż kancelaria.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I uwierz, że nie kancelaria jest dla niego najważniejsza, lecz ty.

– Jak mam to rozumieć, mam?

– Wiesz, jak bardzo ojciec pragnąłby, żebyś się do niego upodobił.

– Powtarza mi to nieustannie. To jednak jest absolutnie niemożliwe.

– Powiedzmy – zauważyła dyplomatycznie pani Helena, ponieważ uznała, że syn nie jest w tej chwili gotów, by dowiedzieć się z jej ust, iż są z ojcem jak dwie krople wody. I właśnie dlatego tak kiepsko im wychodzi dogadywanie się.

– Jeśli zaś chodzi o twoją prośbę, to nie wiem, czy największą przeszkodą będziesz ty i twój ojciec, czy też raczej owa Anna. Sam wspominałeś kiedyś, jak unikała spotkania z tatą.

– To prawda. Ale zostaw to mnie. Odpowiednio ją nastawię. Tylko niech tata nie zepsuje mi wszystkiego. Zuważa że mam bardzo poważne plany dotyczące tego spotkania.

– Jak bardzo poważne?

– Zamierzam się na nim oświadczyć Ani.

Bożena Duńska od kilku dni była jednym wielkim kłębem i strzępem nerwów. Autor świadomie pozwolił tu sobie na neologizm frazeologiczny, ponieważ określenie jej stanu zdrobniałymi słowami „kłębek” i „strzępek” zdecydowanie nie oddawałoby powagi sytuacji. W tej chwili ręce trzęsły jej się tak bardzo, że klucze, którymi chciała jak najszybciej zamknąć drzwi swojego mieszkania, wypadły jej z rąk. Ale trudno się dziwić jej nerwom, skoro znów wiązano ją z Tomkiem Prochem.

– Przerwała tak powiedziała?! – Zerknęła zdziwiona na redaktor Sobanię, której jak cień towarzyszył facet unikany w dobrym towarzystwie zdecydowanie bardziej niż były narzeczony redaktor Duńskiej.

– Tak. Twierdzi, że Tomek chciał walczyć.

– Bzdura! Tomek to jest straszny tchórz. Zawsze taki był. Dlatego z nim zerwałam. – Bożena Duńska błyskawicznie przekręciła klucz w zamku i nie czekając na swoich rozmówców, zaczęła zbiegać po schodach.

– Jak to?! Kiedy?! – Ania Sobania rzuciła się w pogoń za nią i trudno było stwierdzić, czy bardziej kieruje ją ciekawość kobieca czy zawodowa. – Przecież gdy dzwoniłam, żeby go zaprosić do mojego programu, to... To się nawet ucieszyłam, bo nie słyszałam nic o tej aferze z koszeniem traw! A on urwał rozmowę w połowie. Pewnie już wiedział i się przestraszył!

– A on wie, że zerwała z nim pani? – zainteresował się Przypadek.

– Wiedziałyby, gdyby rzącył odbierać ode mnie telefon. Ale od tego czasu jakby się zapadł pod ziemię. Tchórz! Powinnam go rzucić dawno temu, ale byłam z nim z litości. A teraz mam za swoje.

– To znaczy?

– Wszyscy do mnie dzwonią i pytają, czy ten mój Tomcio całkiem zwariował, bo jakieś oszołomskie teksty pisze. A ja już z nim nie jestem. Jestem z kimś innym! – Duńska przystanąła przed drzwiami na dole swojej kamienicy i zaczęła oddychać nieco spokojniej.

– Z kim? – zapytała Ania tym razem na pewno bardziej z kobiecej ciekawości niż z dziennikarskiego obowiązku.

– Chwilowo nie wiem. Właśnie wybieram. Mam kilku chętnych. W końcu jeszcze nie jestem taka stara, a gdybym chciała, to nawet dziecko mogę mieć. To znaczy nie chcę mieć, ale gdybym chciała...

– Zrozumieliśmy. – Przypadek pokiwał głową, wybawiając pannę Duńską z konieczności tłumaczenia meandrów własnego wieku. – A nie ma pani pojęcia, gdzie on może być?

– Nie interesuje mnie to!

Bożena Duńska wyszła przed budynek i mocno wciągnęła w nozdrza chłodne październikowe powietrze. Wyglądała, jakby trochę się uspokoiła, lecz dla pewności wyjęła z torebki papierosa i zapaliła go. Oddech się jej wyrównał, ale rozsądny człowiek nie powinien w tej chwili do niej podchodzić. Szczególnie że, kolokwialnie rzecz ujmując, była fest kobietą, co to jak Jagienka mogłaby pomóc ubić niedźwiedzia. Nawet redaktor Sobania, która wypadła za koleżanką z klatki schodowej, stanęła poza zasięgiem jej ramion.

– A jego rodzice gdzie mieszkają?

– Nawet niedaleko Warszawy. Ale od dawna się z nimi nie kontaktował. Bo oni po wschodniej stronie Warszawy mieszkają. No i wiesz, oni tacy więcej małomiasteczkowi są i nas nie rozumieją...

– Ale w takiej chwili mógł się u nich ukryć.

– Też tak pomyślałam. Dzwoniłam nawet do nich, aby mu przekazali, że z nim zrywam, ale oni nie mieli pojęcia, gdzie się podział. Aha, pamiętaj, gdyby ktoś pytał, to ja już z nim nie jestem i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Dobra, ale powiedz mi chociaż, gdzie mogłabym go szukać? Znasz jakieś miejsce, w którym lubił bywać? Albo dokądś wyjeżdżał?

– Nie mam pojęcia. Zresztą, na twoim miejscu bym sobie odpuściła.

– Ale chcę mieć kogoś z przeciwnym zdaniem w programie!

– Oj, nie złość się tak. Nawet cię rozumiem. Gdybyś wzięła Skrupskiego, Wasowicz oraz Fikę i posadziła naprzeciw nich Tomka, to nieźle by go rozjechali! – Złość na byłego sprawiła, że ta myśl przyniosła jej pewną satysfakcję. – Ale przecież i tak na siłę nie wciągnęłabyś tego tchórze do studia. A ręczę ci, że on by z dobrej woli tam nie poszedł. – Skończyła palić papierosa, rzuciła niedopałek pod nogi i przygniotła kapciem.

– No dobra, nie mam czasu, muszę lecieć. Nara!

– Pani Bożeno! – krzyknął za nią Jacek.

– Nie mam czasu! – odkrzyknęła, nie odwracając się.



- Ale chłodno dzisiaj i deszcz. A pani zapomniała kapci zmienić na buty - stwierdził Przepadek bardziej do siebie, gdyż panny Duńskiej nie było już widać na horyzoncie.

Wprawdzie podkomisarz Łoś dość dawno nie oglądał pomieszczenia, w którym urzędował inspektor Zasada, ale nie tęsknił za osobistą audiencją u zwierzchnika. Nowoczesne metody inwigilacji, w których podkomisarz starał się trenować starszego aspiranta Smańkę, nie pomogły i policjant uczciwie przyznał się swemu szefowi, że czasem ma wręcz wrażenie, że to nie on śledzi, lecz że jest śledzony. Biorąc to pod uwagę, nietrudno było się domyślić, że wcześniej czy później czeka podkomisarza rozmowa z inspektorem. Łoś był jednak pewien, że as, którego ma w rękawie, pozwoli mu z tej rozmowy wyjść obronną ręką. Gdy więc został wezwany na dywanik, śmiało wkroczył do gabinetu inspektora i nie unikał jego groźnego i oskarżycielskiego wzroku. To chyba nieco zdezorientowało i zirykowało Zasadę, który bez zbędnych wstępów zaatakował:

- Łoś, czy ja mówiłem niewyraźnie, kiedy zabraniałem wam interesować się tym Przepadkiem?

- Ja się nim nie zajmuję. Ja go, panie inspektorze, już parę miesięcy nie widziałem na oczy. Teraz się skupiam na bieżących śledztwach. Ostatnio wykryłem szajkę złodziei okradających emerytów.

- I chwala wam za to. Tylko po co jeszcze przeszkadzacie w pracy aspirant Storczyk?

- Nie przeszkadzam, panie inspektorze. Po prostu sprawdzam od czasu do czasu, czy nie przydałaby się jej moja pomoc.

- No to ja wam oświadczam, że by się nie przydała.

- Tak? A ostatni sukces Przepadka? Nie zapobiegła mu! - stwierdził nie bez satysfakcji podkomisarz.

- Bo nie było takiej potrzeby, Łoś. Jeszcze zanim ten detektyw dokonał tej swojej transmisji, poinformowała mnie, że winny nie jest nikim szczególnie ważnym, więc nie mamy się czego obawiać. A sami wiecie, że w sprawę byli zamieszani i Gerhard Sowa, i Wiktor Klempuch.

- Tego Klempucha to kiedyś mieliśmy sami na oku.

- I jak się okazuje, niesłusznie, bo to jest bardzo istotny i szczególny obywatel dla naszego państwa, który na dodatek zadziwiająco dobrze zna się z innymi jeszcze ważniejszymi obywatelami - pouczył podwładnego wskazującym palcem inspektor Zasada. - Wyobrażacie sobie, co by to było, gdyby Sowa albo Klempuch okazał się winny? A dzięki aspirant Storczyk trzymaliśmy rękę na pulsie.

- Tylko skąd ona wiedziała wcześniej, kogo zdemaskuje Przepadek? - zapytał podchwytliwie podkomisarz, a Zasada przyjrzał mu się uważnie.

- Macie jakieś podejrzenia, Łoś?

- Ja myślę, że oni są w zмовie - stwierdził stanowczo podkomisarz, będąc pewnym, że jego przypuszczenie zrobi kolosalne wrażenie na inspektorze. Właściwie się nie pomylił, ponieważ jego przełożony wybuchnął tak głośnym i serdecznym śmiechem, jakiego policjant u niego jeszcze nie słyszał. I minęło dobrych kilka chwil, zanim Zasada się uspokoił.

- Dajcie spokój, Łoś - poprosił inspektor, poklepując się z rozbawienia po udach. - Ona po prostu dobrze wykonuje swoją pracę.

- I co, może tak jak ten Przepadek też jest jasnowidzem?!

- Przepadek nie jest żadnym jasnowidzem, tylko wielkim spryciarzem. A ona, jak mówiłem, po prostu dobrze wykonuje swoją pracę.

– Ona jej w ogóle nie wykonuje. Do biura wpada tylko na chwilę, a potem leci na zajęcia na uniwersytecie.

– Tak? A skąd wy to wiecie?

– Jakiś czas temu Smańko wpadł tam na nią... niechcący. A gdy zapytał o Przypadka, to mu bezczelnie odpowiedziała, że w tej chwili siedzi z tą Bamber i omawia wyniki śledztwa. A, i że tę Bamber głowa boli przez nowych sąsiadów. Bo tam obok nich rzeczywiście się wprowadziło dwóch takich, którzy się cały czas kłóca. Są skargi lokatorów na przemoc domową. Ale to teoretycznie faceci, więc jak sobie czasem dadzą po pysku, to trudno któregoś winić. Zresztą w ogóle trudno coś z nimi zrobić, ponieważ to mieszkanie należy do kogoś ważnego, kto podobno od razu interweniował po pierwszej wizycie policji.

– Nie interesuje mnie to – uciął inspektor Zasada. – Za to wy jesteście za dobrze poinformowani i zajmujecie się sprawami, które do was nie należą!

– Ale panie inspektorze, niech pan się zastanowi. Jak ona mogła to wiedzieć, skoro nie jest w zмовie z tym detektywem? I jeszcze sam pan mówi, że wiedziała o tym, iż to ten Kujawski wypchnął Brodę przez okno, zanim jeszcze Przypadek to udowodnił. Nie wydaje się to panu dziwne?

– Nic a nic, łoś. Jesteście po prostu zazdrośni o jej sukcesy. Wy to pewnie byście zaaresztowali tego Kujawskiego przed kamerami, udowadniając po raz kolejny, że policja współpracuje z tym nawiedzonym detektywem.

– A co miałbym zrobić? Przecież był mordercą!

– Wiem to doskonale. Ale teraz przynajmniej nikt nie łączy nas z tym Przypadkiem. Tak, potem musieliśmy aresztować Kujawskiego dla jego własnego dobra. Trudno. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że w sprawę nie będą zamieszane zbyt ważne osoby, a on sam zamiast do pułka trafi raczej do domu wariatów na obserwację. Policja dzięki temu odzyskała kontrolę nad Przypadkiem i nie pozwalamy już, żeby tak bezkarnie zmuszał nas do aresztowania powszechnie szanowanych osób. Dlatego aspirant Storczyk ma moje pełne zaufanie.

– Ale... – próbował protestować podkomisarz.

– Nie ma żadnych ale, łoś. Nie wzywalem was tu po to, żeby z wami dyskutować, tylko żeby wam kategorycznie zakazać wtrącania się w pracę aspirant Storczyk. Jeśli się od niej dowiem, że w promieniu stu metrów od siebie widziała was albo tego waszego Smańkę, to nie chciałbym być na waszym miejscu. No, chyba że marzycie o wcześniejszej emeryturze.

Biały sportowy samochód, obok którego zatrzymała się teraz redaktor Sobania z Jackiem, wzbudził nieklamany zachwyt detektywa. Zwykle auta go nie pociągały, wszędzie poruszały się, głównie biegając lub korzystając z transportu publicznego. Dlatego pojazdy mechaniczne interesowały go bardziej z racji walorów estetycznych. A ten, na który właśnie patrzył, miał ich naprawdę sporo. Podziwiał go jednak sam. Wprawdzie Ania też była czuła na wdzięki aut, ale w tej chwili jej głowę zaprzętało coś zupełnie innego.

– Może Bożena ma rację? Może szukanie go nie ma sensu?

– Pewnie tak – przytaknął Jacek.

– To po co mi pomagasz?

– Teraz już z ciekawości – wyjaśnił. – Naprawdę intryguje mnie, co się stało z panem redaktorem.

– A co się miało stać? Pewnie, tak jak mówiła, zaszył się w jakiejś dziurze ze strachu. Chce przeczekać burzę, a potem wróci, licząc, że zapomną mu ten nieszczęsny artykuł.

– Czyli Przerwała kłamał, mówiąc, że Proch chciał walczyć? – zastanawiał się detektyw.  
– Niekoniecznie. Na moment mu odbiło, a potem przemyślał sprawę i zrezygnował. Zresztą jak miałyby walczyć? Opisałby sprawę w Internecie. Gównu by się rozlało, a potem nikt by go już nie zatrudnił.

– Z jego pechem i tak chyba nie ma wielkich szans.

– To nie tak – zaoponowała Ania. – Fakt, parę razy wdepnął w niezłe szambo. No ale wszyscy wiedzieli, że to pomyłka. A raczej pech. I wiele osób mu pomagało. Co innego, gdyby zdecydował się naprawdę pociągnąć temat, to mogłoby być różnie.

– No, czyli za sprawą koszenia traw stoi ktoś ważny...

– Nie wiem, nie wnikałam.

– Żartujesz? Nie sprawdzałaś na przykład, kto najlepiej zarabia na ścinaniu traw w mieście?

– A po co?

– Bo to powinna być twoja pierwsza myśl. I na pewno była. Dobrze wiesz, że ktoś musiał zapłacić Gontarzowi za tę całą nagonkę. I ty wiesz, kto to jest. Pewnie ktoś taki, komu lepiej nie wchodzić w drogę.

Redaktor Sobania nie po raz pierwszy tego dnia zwątpiła w sens zatrudniania Przypadka i najchętniej odpaliłaby mu ostro. Oczywiście, wiedziała, że Jacek ma rację, ale uważała, że detektyw naprawdę z przedziwnych powodów nie jest w stanie pojąć specyfiki jej zawodu. A owa specyfika kazała wyznaczać sobie cele realne i nie skupiać się na nierealnych marzeniach o niezależności. Bo każda gazeta, telewizja, radio ma właściciela, a ten właściciel nie zarabia na swych odbiorcach, ale na reklamach, które umieszczają konkretni ludzie. I kiedy tym ludziom przestanie się podobać to, co media o nich piszą, przestaną umieszczać reklamy i zatrudnią prawników, żeby wyprocesowali odpowiednie kwoty. Te proste prawdy byłoby przecież w stanie pojąć dziecko!

– Proszę odejść od mojego samochodu, bo zawałam policję! – Usłyszała nagle zza pleców piskliwy głos Gontarza.

– Spokojnie, Filip, nie chcemy ci go ukraść – uśmiechnęła się do znajomego.

– Ania? – zdziwił się Gontarz. Bardziej jednak niż dziennikarka zainteresowała go osoba, którą znał przelotnie z czasów, gdy jeszcze nie została uznana powszechnie za *persona non grata*. Kiedy już piarowiec zlustrował dokładnie postać detektywa, spojrzął z niesmakiem na Sobanię. – Czyli to jednak prawda?

– Co?

– Na mieście mówią, że się prowadzasz z nim, żeby znaleźć Tomka...

– Na mieście mówią? Przecież dopiero parę godzin temu odwiedziliśmy Przerwałą.

– To miasto to dziura. – Pogardliwie wydał wargi Gontarz, któremu od jakiegoś czasu marzyła się kariera w prawdziwej metropolii, gdzie rozstrzygają się losy świata i Europy, a nie na prowincji. – Wieści rozchodzą się błyskawicznie. Jak poszukiwania Procha?

– A ty nie wiesz nic o nim?

– Dlaczego miałbym wiedzieć?

– Filip, przecież ja wiem, kto rozsyłał te gotowce.

– I co z tego? Praca jak każda inna! – uniósł się Gontarz. – Wykonywałem zlecenie, nic osobistego.

– Podobno byłeś na niego zły, bo ci parę razy odmówił.

– Czekaj, ty mnie podejrzewasz, że mam coś wspólnego z jego zniknięciem? – zapytał rozbawiony Gontarz.

– Tylko pytam. Przerwała powiedział, że Proch się odgrażał, że cię dorwie i załatwi...

– Próbował. Zadzwoił do mnie i krzyczał, że będzie miał mocne dowody, iż koszenie trawy co dwa tygodnie to głupota. A na dodatek ten dureń Przerwała obiecał mu, że to puści.

– Jesteś pewien, że Przerwała mu to obiecał?

– Tak twierdził Proch. Ale mu powiedziałem, że za tym stoi facet, któremu nawet stu takich Prochów i Przerwałów nie podskoczy. Gdy się dowiedział, o kogo chodzi, to od razu zaczął przeproszać i prosić, żebym jakoś spróbował na niego wpłynąć. I że jak to załatwię, to napisze mi dziesięć artykułów gratis na dowolny temat, na który będę miał zlecenie. Ale go olałem, bo powiedziałem, że nie mam zamiaru dla niego się narażać i przekonywać kogoś takiego. Teraz pewnie ze strachu przed nim zaszył się w jakiejś mysiej dziurze i nie wyjdzie stamtąd przez najbliższy miesiąc.

– To taki ważny gość, że Proch się tak przestraszył? – zapytał Jacek.

– Ja nie pracuję dla nieważnych gości – odpowiedział z dumą Gontarz i spojrział znacząco na redaktor Sobanię. – Ty pewnie nawet wiesz, kto to jest.

– Wiem – przyznała mrukliwie Ania.

– A ja chętnie się dowiem – powiedział Przypadek.

Gontarz zmierzył Jacka groźnym wzrokiem, jakby się chciał upewnić, czy detektyw na pewno potrafi znieść cios, jaki chce mu za chwilę zadać. Był przy tym przekonany, że jeśli nawet Przypadek spodziewa się mocnego uderzenia, to na tak silne nie jest gotów. I dlatego Gontarz zaraz zobaczy, jak Jacek pada na deski.

– To Wiktor Klempuch – oświadczył, delektując się każdą sylabą wypowiedzianych słów. Ale jego radość nie trwała długo, bo na twarzy Jacka zobaczył nie strach, ale rodzaj pewnego zadowolenia, by nie rzec wręcz satysfakcji. To doprowadziło go nieuchronnie do pomyślenia: „To jest idiota. W sumie to było jasne wcześniej, ale myślałem, że to raczej ryzykant bez instynktu samozachowawczego. Ale teraz widzę, że to wariat czystej wody!”

Kancelaria mecenasa Fryderyka Przypadka zmieniła się rzeczywiście nie do poznania. Tak bardzo, że pani Felicja, która dziś tu przysłała, była w pierwszej chwili przekonana, że to nie jest miejsce pracy jej eksmęża. Oczywiście wiedziała, że nie pomyliła adresu, lecz sądziła, że ojciec Jacka przeniósł swoją kancelarię gdzie indziej, a tutaj urządziła się już zupełnie inna firma. Cofnęła się nawet o krok i sprawdziła tabliczkę na drzwiach. Ta była rzeczywiście nowa, gdyż kiedyś, przez lat blisko czterdzieści, informowała o tym, że mieści się tu Kancelaria adwokacka Przypadek i Przypadek, która od śmierci pana Jana, dziadka Jacka, nie oddawała istoty rzeczy i była tylko pobożnym życzeniem jej jedyne go właściciela. W tej chwili zaś w miosądku zostało wyryte: „Kancelaria adwokacka Fryderyk Przypadek”. Napis świadczył niezbicie, że to miejsce pracy byłego męża, choć niewątpliwie wiele się tu zmieniło.

– Czym mogę służyć? – zapytała panią Felicję sekretarka, z pewnością niewiele od niej młodsza.

– Ja do Fryderyka – odpowiedziała odruchowo. – To znaczy do męża – sprecyzowała i natychmiast się poprawiła: – To znaczy byłego męża.

– Pani Felicja! – uśmiechnęła się sekretarka. – Adrianna Kalinowska, pracuję tu od niedawna, ale słyszałam już o pani wiele dobrego.

– Doprawdy? – zapytała niepewnie pani Felicja, będąc nawet przez moment przekonana, że sekretarka musiała ją z kimś pomylić.

– Ależ tak – zapewniła ją sekretarka. – Proszę usiąść. Pan Fryderyk omawia z aplikantami ważne sprawy.

– To ja może przyjdę kiedy indziej – zaproponowała pani Felicja, gdyż czuła, że po tym, co zobaczyła i usłyszała, musi sobie na chwilę na nowo poukładać świat.

– Nie ma mowy, pan Fryderyk by mi nie wybaczył, gdybym panią wypuściła. Wyraźnie mnie prosił, że gdyby pani przyszła, mam go natychmiast o tym powiadomić. – Sekretarka podniosła się zza biurka i ruszyła w stronę gabinetu przełożonego.

– Fryderyk się mnie spodziewał? – zapytała zdumiona Felicja Przypadek, ale nie doczekała się odpowiedzi, ponieważ Kalinowska zapukała właśnie do gabinetu mecenasa, a usłyszawszy „proszę”, weszła do środka.

– Panie mecenasie, pani Felicja... – zaczęła sekretarka, ale szef nie dał jej skończyć.

– Panowie, na razie koniec, wiecie, co robić. – Niemal wypychał swoich aplikantów za drzwi, a ci w pośpiechu pakowali papiery. – Felicjo, minutkę i jestem do twojej dyspozycji.

Wciąż oszołomiona pani Przypadek nie wiedziała wprawdzie, ile dokładnie trwał, zanim zostali sami w gabinecie, ale na pewno było to bardzo krótko. Równie błyskawicznie pojawiła się przed nią jej ulubiona jaśminowa herbata, choć miała wrażenie, że ojciec Jacka za nią nie przepadał, więc nie przypuszczała, że będzie miał ją w kancelarii.

– Co tam u ciebie słychać? Jak książka, dobrze się pisze?

– Skąd wiesz, że wciąż piszę książkę?

– Zaczęłaś ją przecież, gdy jeszcze byliśmy... – urwał, żeby nie wyrazić wprost tego, że ich małżeństwo to przeszłość.

– To znaczący... – zawahał się i dokończył krótko: – Po prostu gdy jeszcze byliśmy. Poza tym nasz syn wspominał ostatnio, że piszesz kryminał retro o pradziadku Jacku. Chętnie przeczytam.

– Wydawało mi się, że nie jesteś zadowolony, iż o tym piszę, gdyż to może źle wpłynąć na naszego syna.

– Kiedy teraz słyszę opinie o nim na mieście, mam wrażenie, że już gorsze być nie mogą.

– Pan Fryderyk machnął ręką.

– A ja jestem z niego dumna. Nikomu się nie podlizuje, nie przytakuje, tylko mówi to, co uważa za słuszne – stanęła w obronie syna pani Felicja i już nie dodawała, że oprócz tego wszystkiego bardzo się o niego boi.

– Pewnie cię to zdziwi, ale ja też trochę jestem. – Pani Felicja po tych słowach męża uznała, że odtąd świat już nigdy nie będzie taki jak przedtem. – Ma charakter i chociaż uważam, że mógłby być nieco ostrożniejszy, to czasem bawią mnie te historie z nim.

– Powiedziałeś mi to kiedyś?

– Nie. Nie uważam za stosowne rozzulania się nad własnymi dziećmi i chwalenia ich – oświadczył oschle mecenas. – Nawet jeśli jest to mój jedyny syn.

– Może nie jest. Biorąc pod uwagę twoje romanse...

– Felicjo, przepraszam, ale chyba nie przyszłaś tutaj, żeby się pokłócić? Mamy za sobą kulturalny rozwód i chyba nie ma sensu wypominać sobie starych czasów.

– Cieszę się, że zauważyłaś, iż jesteśmy już po rozwodzie. Dlatego zupełnie nie rozumiem tych kwiatów od ciebie. Przy tych na rocznicę myślałam jeszcze, że to sprawa naszego syna. Potem to wykluczyłam i uznałam za twój jednorazowy wybryk. Ale jeszcze teraz dostałam następny kosz. – Pani Felicja wyciągnęła oskarżycielsko palec w kierunku eksmęża. – Na imieniny.

– I to cię martwi?

– Wyobraź sobie, że tak. Tyle kwiatów od ciebie nie dostałam nawet wtedy, gdy starałeś się o moją rękę.

– I co z tego?

- Nasze małżeństwo to już zamknięty rozdział, ale odnoszę wrażenie, że ty nie przyjmujesz tego do wiadomości. Uważasz, że można cofnąć czas?
- Nie, Felicjo. Gdybym tak uważał, bardziej bym walczył na sali sądowej. Lecz chciałem się rozstać grzecznie, kulturalnie i bez szarpaniny. Miałem bowiem nadzieję, że być może uda nam się zachować na przyszłość choć trochę przyjaźni i wzajemnej sympatii.
- I uważasz, że przysyłanie mi koszów pełnych róż to dobry pomysł?
- A ty wolałabyś może, bym zaprosił cię na kolację do najlepszej francuskiej restauracji w mieście? – zapytał niewinnie mecenas Przypadek, ale natknął się zaraz na ostrą odpowiedź żony.
- Nie ma mowy!

Pani Irmina Bamber w mieszkaniu Jacka bywała raczej rzadko, najczęściej podczas jego nieobecności, gdy zajmowała się porządkami i podlewaniem kwiatów. Gdy jednak gospodarz wracał w domowe pielesze, zdecydowanie bardziej lubiła przyjmować go u siebie, gdzie czekała na niego zwykle z jakimś przepysznym poczęstunkiem. Ale dziś, wyjątkowo, to ona przysłała do niego. Kiedy mijała go godzinę temu, wyglądał na bardzo zmartwionego. Zaproszony na herbatkę z ciastkami, wymówił się zmęczeniem. Teoretycznie nie powinna go więc nachodzić, ale jako wykształcony psycholog i sąsiadka detektywa od lat wielu, wyczuła, że Jacka coś gryzie. Nie wiedziała tylko, czy chodzi o obecnie prowadzone śledztwo, czy o coś innego, lecz była pewna, że Przypadkowi przyda się rozmowa. Napięła więc swoich pyszności i z talerzem w dłoni zadzwoniła do jego drzwi. Na jej widok Jacek chciał w pierwszej chwili udać zasnętego, ale ilość słodkości przekonała go, że nie powinien

wymigiwać się od sąsiedzkiej wizyty. Oczywiście nie dlatego, że był nieuleczalnym łakomczuchem – choć był nim w istocie – lecz dlatego, że skoro pani Irmina tak się napracowała, to łatwo nie odpuści. Dlatego zaprosił ją do środka i opowiedział o wynikach śledztwa w sprawie zaginionego dziennikarza.

– No ale przecież ta Ania wiedziała, że za wszystkim stoi Klempuch, a teraz chce zrezygnować? – zdziwiła się pani Irmina.

– Wiedziała, że jest gdzieś w tle. Ale nie miała pojęcia, że jest bezpośrednim zleceniodawcą Gontarza. Dlatego rozumiem, że nie chce się w to dalej bawić i na razie zawiesza sprawę.

– Czyli to już koniec śledztwa?

– Raczej uważam, że przede mną tylko chwilowa przerwa.

– Masz zamiar szukać redaktora Procha na własną rękę? Bo chyba nie wierzysz, że ta Ania dostanie naglego przypływu odwagi.

– Sam mógłbym nie dać rady.

– Dlaczego? Znasz podejrzanych, tropy. Nie wiesz, jak prowadzić dalej śledztwo?

– Problem w tym, że sam jestem teraz śledzony.

– Czy to aby nie początki choroby zawodowej w postaci manii prześladowczej?

– Nie, pani Irmino. Ja ją spotkałem.

– Ją? To to jest ona?

– Tak. Parę razy już próbowałem na nią zastawić pułapkę, ale nie dałem rady jej w nią złapać. I dopiero dziś, niechcący. Dzięki temu Gontarzowi, a właściwie jego samochodowi. Pożegnałem się z Anią i przypomniało mi się, że nie zdążyłem zajrzeć do środka, aby sprawdzić, z czego ma zrobioną gałkę do zmiany biegów. Cofnąłem się, a tego się pewnie ta kobieta nie spodziewała, dlatego na nią wpadłem.

– Skąd wiesz, że to ona?

– Poznałem jej twarz.

– Znasz ją?! Skąd?

– No właśnie nie mam pojęcia. Widziałem ją zaledwie przez chwilę, a potem się schowałem. Minęła mnie i poszła dalej, udając, że nawet mnie nie zauważyła.

– Jesteś pewien, że to ona?

– Tak. Ta jej twarz nie daje mi spokoju.

– W życiu spotkałeś tysiące osób. Ją też mogłaś gdzieś widzieć, w sklepie, na ulicy...

– Jednak odnoszę wrażenie, że widywałem ją bardzo często. Ale kompletnie nie wiem gdzie. Nie mam cienia wątpliwości, że to ona mnie śledzi. Tylko kto to jest?

– Tak cię to męczy?

– Nie tylko to.

– A co jeszcze?

– Basia się przestała do mnie uśmiechać.

– Mówisz o zdjęciu? – upewniła się pani Irmina.

– Nie wierzy mi pani?

– Wierzę, oczywiście – skłamała gładko pani Irmina.

– Nie wierzy mi pani. Proszę chwilę poczekać.

Jacek wyszedł do kuchni i wrócił z fotografią. Pani Bamber nieraz widziała uśmiechniętą twarz Basi na tle okalających ją gór. Znała ją słabo, bo Jacek spotykał się z tą dziewczyną, zanim się tu sprowadził. Ale wydała jej się miła i ciągle darzyła ją sympatią. Fotografia przypominała, jak pięknie Basia potrafiła się uśmiechać. To znaczy kiedyś przypominała, bo teraz pani Irmina z ogromnym zdziwieniem musiała przyznać Jackowi rację.

– Ale jak to się mogło stać?

– Nie mam pojęcia. To znaczy, to nie jest na stałe. Czasem się uśmiechnie, zwłaszcza gdy myśli, że na nią nie patrzę. Ale ogólnie jest taka obrażona... To znaczy ma taki kwaśny uśmiech.

– Niesamowite. – Pani Irmina zamknęła oczy, ponieważ pomyślała, że w pierwszym momencie mogła ulec jakieś sugestii. Ale gdy podniosła powieki, usta Basi wciąż były wykrzywione jak dawniej, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie powiedziałby, że wciąż się sympatycznie uśmiecha. – Słuchaj, a może ktoś ci podmienił to zdjęcie? Pewnie wtedy, w górach, miała zrobione wiele fotografii...

– To nie tak, pani Irmino. Pani i inni zawsze widzieli jej uśmiech. Ja głównie też. Ale były już takie krótkie chwile, gdy przestawała się uśmiechać. Tylko to były naprawdę krótkie chwile.

– Rozumiem – powiedziała automatycznie pani Irmina, choć nieszczególnie wierzyła w to, co mówi. Nic z tego nie rozumiała ani nie potrafiła sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. – Wiesz co, chyba już pójdę – zaproponowała, a Przypadek jej nie zatrzymywał.

Po wyjściu sąsiadki Jacek długo wpatrywał się w zdjęcie Basi. Potem zrobił sobie herbatę, wrócił i wciąż gapił się na fotografię byłej dziewczyny.

– Za co ty się na mnie gniewasz? – zapytał w końcu.

Potem pogłaskał Basię po policzku. I wtedy ona się lekko uśmiechnęła. Pogłaskał ją znów. Na twarzy dziewczyny pojawił się już prawie normalny uśmiech, choć w jej rysach nie zmieniło wciąż nic a nic. Tak jak przez ostatnich niemal dziesięć lat.

Bezczyność potrafi być zabójcza. Zwłaszcza gdy czujemy całym naszym jestestwem, że powinniśmy działać, gdyż jeśli tego nie zrobimy, stanie się coś naprawdę strasznego. Ale najgorzej jest wtedy, gdy wiemy, że absolutnie niczego nie wolno nam zrobić. Patrzymy, jak woda podnosi się coraz wyżej, zaraz przerwie wały przeciwpowodziowe, a nasi przełożeni mówią, że wszystko jest w porządku i że żadna powódź nam nie grozi. Podkomisarz Łoś czuł właśnie, że znajduje się w takiej sytuacji. Nie siedział beczynnym, gdyż nie dalej jak wczoraj aresztował sprawcę kradzieży biżuterii ze sklepu jubilerskiego. Śledztwo było prestiżowe i był pewien, że inspektor Zasada przydzielił go do niego właśnie dlatego, żeby policjant nie zaprzętał sobie głowy niczym innym i skupił się na złapaniu złodzieja. Niestety, wysiłki przełożonego nie przyniosły zamierzonego rezultatu i podkomisarz Łoś nie potrafił nawet cieszyć się z odniesionego sukcesu. W odróżnieniu od aspiranta Smańki, który był szczęśliwy, że nie tylko nie musi pracować przy tropieniu detektywa, lecz także śledzenie poczyną koleżanki policjantki już mu nie grozi.

– Słyszałem, panie komisarzu, że szykuje nam się następna ciekawa sprawa – oznajmił Łosiowi, kiedy wrócił do ich pokoju z przerwy na papierosa.

– Przestańcie się zajmować plotkami, Smańko. – Podkomisarz Łoś podkreślił wężą, co niechybnie oznaczało u niego duży wysiłek umysłowy.

– Nie no, gdzie tam, jakie plotki. Po prostu koledzy mówią, że akcje pana komisarza idą w górę i awans tym razem jest już pewny.

– A wy tylko o awansie. Marzy wam się kolejna belka, co?

– Zawsze to parę złotych więcej.

– Nie wolno wam tak myśleć, Smańko. Nie są ważne zaszczyty i awanse, ale końcowy efekt naszej pracy. – Starszy aspirant już się bał, co powie zaraz podkomisarz, gdyż kiedy jego przełożony popadał w patetyczny ton, nie zwiastowało to niczego dobrego. – A to chodzi



o to, żeby w kraju panował ład i porządek. Co z tego, że schwytamy tego czy owego przestępcę, jeśli w końcowym bilansie strat i zysków nie potrafiliśmy zapewnić ładu i spokoju?

– Pan komisarz ma coś konkretnie na myśli?

– Ależ skąd, tak tylko ogólnie naświetlam sprawę, żebyście mogli sobie wyrobić odpowiedni pogląd – zastrzegł się Łoś i szybko dokończył: – Ale tak dla przykładu ta Storczyk i ten Przypadek. Ich związek jest coraz bardziej niepokojący i coraz bardziej jestem pewien, że to nie mierza w dobrym kierunku.

– Pan inspektor Zasada zabronił nam zajmować się tą sprawą i deptać jej po piętach – przypomniał ostrożnie Smańko, choć naturalnie zdawał sobie sprawę, że jego przełożony, jak już się czegoś uczepli, to wołami się tego z niego nie wyciągnie.

– Oczywiście, przełożonych należy słuchać. Co nie oznacza, że nie należy zastanawiać się nad sensem wydawanych przez nich poleceń. I czy nie miały na nie wpływu jakieś czynniki pozamerytoryczne.

– Sugeruje pan, komisarzu, że inspektor Zasada ma coś wspólnego z tą Storczyk? – zainteresował się Smańko.

– A jak to wywnioskowaliście z moich słów, Smańko? – obruszył się podkomisarz. – Nic takiego nie sugeruję. Po prostu pan inspektor może nie mieć świadomości całej złożoności problemu, dlatego wydaje mu się, że ta Storczyk zapewnia mu spokój. Ale ja nie dam się jej tak łatwo zwieść.

– Co pan komisarz chce zrobić? – Smańko spuścił głowę, gdyż miał pełną świadomość tego, że cokolwiek jego przełożony wymyśli, realizacja tego czegoś spadnie na barki podwładnego.

– Zapobiec katastrofie.

– Ale pański awans... – Starszy aspirant chwycił się ostatniej deski ratunku.

– Wy się nie martwcie o mój awans. Martwcie się o swój, bo wniosek o niego składam ja jako wasz bezpośredni przełożony.

– To co mam zrobić? – zapytał zrezygnowany Smańko.

– No i to są pierwsze rozsądne słowa, jakie dziś od was usłyszałem. Skoro nie możemy przyglądać się panie Storczyk w teraźniejszości, musimy zajrzeć do jej przeszłości. Tam musi tkwić jakiś ślad łączący ją z tym Przypadkiem. Inspektor Zasada powiedział mi, że ona jest genetycznie uodporniona na jego wdzięki. Dlatego waszym zadaniem jest dokładne sprawdzenie każdej minuty jej życia od urodzenia aż do dziś. Zrozumieliście?

– Tak jest! Ale czy to nie będzie złamanie rozkazu inspektora?

– O to niech was głowa nie boli, to już moja sprawa.

– Ale...

– Smańko, co wam jest?! – fuknął zły Łoś. – Nie poznaję was. Kwestionujecie polecenia przełożonego?

– Nie, ja się tylko zastanawiam nad sensem wydawanych poleceń. – Smańko zacytował Łosia.

– Oczywiście, bardzo dobrze – pokiwał głową podkomisarz. – To zastanawiajcie się dalej. Możecie się nawet zastanawiać przez cały czas, jak będziecie zbierać dane na temat tej Storczyk.

Kiedy redaktor Sobania usłyszała, że naczelny prosi ją do siebie, nie podejrzewała niczego złego. Przecież Korólczyk niejedną raz wzywał ją, aby omówić sprawy ważne dla „Nowego

Życia". Gdy jednak po wejściu do jego gabinetu zauważyła Skrupskiego, zrozumiała, że szykuje się coś grubszego.

– Proszę usiąść, pani redaktor – poprosił Korólczyk i Ania nie miała już wątpliwości, że nie jest dobrze. Zawsze, kiedy naczelny przestawał się zwracać do swoich podwładnych po imieniu, oznaczało to, że ma naprawdę kiepski humor. Dlatego redaktor Sobania przycupnęła cichotko naprzeciw Skrupskiego, ustawiając przy tym swój profil tak, by słynny redaktor mógł zobaczyć odchylający się skraj jej bluzki i wystającą spod niej kształtną pierś.

– Coś się stało? – spytała z miną absolutnego niewiniątka.

– Anka, nie zgrywaj się. Dobrze wiesz, o co chodzi. Prowadzasz się z tym Przypadkiem i nachodzisz porządnym ludzi.

– Szukam Tomka Procha. Jest mi potrzebny do mojego programu...

– Tak, wiem. Ale musisz go szukać z tym Przypadkiem?

– Zależy mi, nie mam dużo czasu...

– I co, pomógł ci jakoś? – zapytał od niechcienia Skrupski, bawiąc się firmowym ołówkiem „Nowego Życia”, leżącym na biurku naczelnego, a tak naprawdę zerkając łakomie w głąb biustu redaktor Sobani.

– Na razie nie.

– To możesz mu już podziękować za pomoc. – Redaktor Skrupski uśmiechnął się do piersi dziennikarki.

– Znaleźliście go?!

– Nie. Ale temat przestał być aktualny. – Skrupski z najwyższym trudem podniósł swój wzrok na twarz Ani.

– Jak to przestał być aktualny?

– Stacja na razie się rozmyśliła. Uznała, że formuła twojego programu jest niedopracowana. A poza tym temat chwilowo słaby, koniec października, pewnie już i tak nie będą kosić traw w tym roku. Wróć do tematu wiosną, a ty do tego czasu dopracujesz formułę programu, przemyślisz pewne sprawy, a Proch się na pewno odnajdzie.

– Zabieracie mi program?! – krzyknęła rozżalona Sobania. Wiedziała, że dopytywanie się, dlaczego informuje ją o tym akurat redaktor Skrupski, teoretycznie niezwiązany w żaden sposób z TV Ekstra, nie ma sensu. W końcu jeśli on tak mówi, to znaczy, że tak po prostu jest.

– Ania, na razie nie miałaś żadnego programu. Miałaś mieć program, ktoś w pośpiechu uznał, że warto docenić tak obiecującą dziennikarkę jak ty. Ale to okazało się przedwczesne, nie zostało odpowiednio uwzględnione wcześniej w ramówce, stąd te zmiany. Rozumiesz?

Jeszcze całkiem niedawno redaktor Sobania rozumiałaaby to znakomicie. Pokiwałaaby głową, złożyła jakąś krótką samokrytykę z obietnicą poprawy. Potem uśmiechnęłaby się i poszła dalej. Tyle że jeszcze niedawno nie popełniałaby tak strasznych błędów jak teraz. Nie prowadziłaaby się z wrogiem publicznym numer jeden, którym matki w porządnym domach straszą już swoje dzieci. Dlatego teraz zrobiła coś zupełnie innego.

– A wsadźcie sobie w dupę ten program! – rzuciła przez zaciśnięte usta i wyszła.

– Zupełnie nie poznaję tej dziewczyny. – Zniesmaczony Korólczyk pokiwał głową.

– Ostrzegałem cię, że tak będzie – uśmiechnął się z poczuciem wyższości Skrupski. – Mówiłem, że te awanse dla niej są przedwczesne, bo każdemu, kto przebywa blisko tego gościa, musi w końcu odbić.

– Przecież dwa lata temu o facecie słyssały głównie laski, które wyrывały.

– Ja słyssałem i znałem go aż za dobrze już od dawna – stwierdził chłodno Skrupski, a ołówek, którym bawił się od dłuższego czasu, pękł w jego dłoniach.

– To co mam zrobić?

– Wypierdol ją z roboty.

– Stary, to naprawdę świetna dziennikarka. Nie mogę jej zwalniać po drobnym potknięciu.

– Wypierdol ją, póki czas. Bo za chwilę będziesz miał męczennicę, którą będzie trudno ruszyć, żeby nie było kłopotu.

Korólczyk pokiwał głową nieprzekonany. Nie docenił starego wyjadacza, co przeżył już niejeden bunt ludzi, którzy wydawali się wierni i posłuszni, a nagle któregoś dnia postanowili iść własną drogą. Skrupski miał wbudowany radar, który wyczuwał każde nieposłuszeństwo, każdą wolną i niezależną myśl, mogącą zagrażać jego koncepcji urzędzenia świata. On doskonale wiedział, co robi teraz redaktor Sobania. Niemal widział, jak wyjmuje z kieszeni telefon, jak wybiera numer detektywa i jak mówi do słuchawki.

– Chcę znaleźć Procha. Gównu mnie obchodzi, ile to będzie trwało i komu się narażę! Masz mi pomóc!

Z żółtego złota z brylantem czy może z białego ze szmaragdem? A może rubin w otoczeniu brylantów? To byłoby bardzo drogie. Może w ogóle postawić na coś skromniejszego? Nie, nie wypada, żeby mecenas Sakowicz oszczędzał na pierścionku zaręczynowym. Z drugiej jednak strony kancelaria dopiero startowała i wystawiała pierwsze skromne faktury. Lecz wybór pierścionka był z pewnością zbyt ważną rzeczą, żeby kierować się w nim ceną.

Tylko czym właściwie miałyby się kierować? Ania nie przepadała za biżuterią i Błażejowi trudno było wyczuć, jaki ma gust. W ogóle estetyczne wybory kobiet były dla niego zagadką. A właśnie, kobiet, to może być myśl!

Mecenas Sakowicz wziął folder z pierścionkami zaręczynowymi, przeszedł przez sekretariat w kierunku gabinetu swojej współpracownicy. Gdy otworzył drzwi, ujrzał Marzenę zawałoną papierami.

– Nie przeszkadzam?

– Jeśli chcesz pogadać o jakimś nowym kliencie, to wchodzi – zaprosiła ze szczyptą ironii.

– A mamy nowego klienta? – zapytał zdziwiony Błażej, lecz zobaczywszy twarz Marzeny, pojął, w czym rzecz. – Aha, żartujesz. Nie martw się, na pewno zaraz będziemy mieli pełno klientów.

– Zdążyłam się już zorientować, że nasz wspólny znajomy nam ich nie przysporzy. A raczej odstraszy.

– Ten jeden powinien wystarczyć na początek.

– Pod warunkiem, że wygramy sprawę. Bezdomny może nam zapłacić tylko za sukces, inaczej nie będziemy z tego mieli nic. Co to za katalog?

– Chciałem wybrać pierścionek zaręczynowy dla Ania.

– Zgodziła się wyjść za ciebie? – zdziwiła się Marzena.

– No właśnie jeszcze nie. – Błażej podał współpracownicy katalog i usiadł naprzeciw niej. – Przecież mówię, że dopiero mam zamiar kupić pierścionek.

– I nie ustaliłeś najpierw, czy za ciebie wyjdzie? – upewniała się mecenas Kolska.

– Marzeno, o czym ty mówisz? Najpierw się człowiek oświadcza z pierścionkiem...

– Nie dzisiaj. To znaczy dzisiaj też są jeszcze kobiety, które to lubią. Ale na pewno nie Ania.

– Mówisz jak moja matka.

– Przyjmij więc do wiadomości, że najprawdopodobniej mamy rację. A gdzie się miałeś zamiar jej oświadczyć?

– Chciałem zorganizować przyjęcie u rodziców...

– Nieee!!!

Marzena krzyknęła tak głośno, że Błażej aż podskoczył na fotelu, a do gabinetu zajrzała sekretarka. Kolska uspokoiła ją gestem ręki i spojrzała na współlnika z politowaniem.

– Jeśli wykonasz swój plan, to ręczę ci, że zakończy się katastrofą, a ona nigdy za ciebie nie wyjdzie. Rozwiązania z komedii romantycznych są dobre dla plastikowych idiotek. A ona jest silną, niezależną kobietą. Jeśli postawisz ją w takiej sytuacji, spróbujesz wyrzucić presję, poczuje się postawiona pod murem. I pokaże ci środkowy palec. Bynajmniej nie po to, byś włożył na niego pierścionek.

– To co mam zrobić?

– Porozmawiać z nią. Spokojnie, poważnie, w dobrym momencie.

– Nie ma takiego teraz. Ciągłe jest na mnie wściekła.

– I chcesz się jej oświadczyć?

– Nie mam wyjścia. I nie mam czasu.

– Jak to nie masz czasu? Chyba nie chcesz powiedzieć, że... – Urwała, a Błażej potwierdził jej przypuszczenia zrezygnowanym kiwnięciem głowy. – No to klops. Co ona na to?

– Jeszcze o tym nie wie.

– Jak to, ona nie wie, a ty wiesz? – Marzena potrząsnęła głową, jakby nie wierząc, czy dobrze usłyszała, i dopiero po chwili zrozumiała, w czym rzecz. – Jacek? – zapytała, a Błażej pokiwał twierdząco głową.

– Myślisz, że na pewno mnie odrzuci? – zapytał zmartwiony Sakowicz junior.

– Nie – odpowiedziała bez przekonania. – W tej sytuacji są pewne szanse na to, że zgodzi się za ciebie wyjść. Tylko musisz się do tych oświadczyń wyjątkowo dobrze przygotować.

Ogródki działkowe były miejscem, w którym redaktor Sobania od dawna nie bywała i za którym bynajmniej nie tęskniła. Dawno temu, w jakimś innym świecie, jej rodzice w mieście, z którego pochodziła, mieli własną działkę, na której chętnie wypoczywali, uważając ją za swój skarb. Odmiennego zdania była ich córka, która tolerowała przebywanie na tym skrawku ziemi tylko dlatego, że dało się z niego spokojnie dojechać miejskim autobusem na imprezę do znajomych. Gorzej mieli koledzy, których rodzice mieli działki kawałek za miastem i zabierali tam swoje pociechy na weekendy, uniemożliwiając im wspólną zabawę z kumplami z liceum. No ale przynajmniej stały tam zwykle całkiem ładne domy, które z czasem zamieniały się w miejsca do imprezowania. A w ogródku działkowym jej rodziców była tylko nędzna budka, dlatego Sobania ukrywała jej posiadanie i po dziś dzień uważała to za coś zdecydowanie obciachowego.

Przekonanie to pogłębiło się dodatkowo po przyjeździe do Warszawy. Tu ogródki działkowe stanowiły przeszkodę dla deweloperów niemogących przez nie wybudować więcej prestiżowych rezydencji wśród zieleni dla ludzi, którzy odnieśli w życiu sukces. Ania sama swoim piórem nieraz przyczyniła się do niezbyt dobrej reputacji działkowców, którzy – jej zdaniem – z uporem maniaka tkwili na spłachtkach swojej ziemi. Ziemi, która na dodatek przez kilka miesięcy w roku służyła za schronienie bezdomnym, a według ludzi na poziomie swoją krasnalowatą architekturą szpeciła krajobraz miasta.

Dlatego teraz, idąc z Jackiem obok jednego z bardziej zaniedbanych ogrodów działkowych w mieście, patrzyła na niego z niesmakiem. I dziwiła się, dlaczego właśnie tu omawiają dotychczasowe ustalenia w sprawie poszukiwań Tomka Procha. Wprawdzie Jacek

wy tłumaczył jej, że chce ją zapoznać ze współpracownikami, lecz przecież mógł ich zaprosić do modnego lokalu lub do swojego mieszkania.

– Podsumujmy zatem, co wiemy – zaproponował Przypadek. – Trzy osoby przedstawiają różne wersje wydarzeń...

– Różne? Dlaczego?

– Dwie osoby, czyli Gontarz i Przerwała, twierdzą, że Tomek chciał walczyć, a jedna, że zrezygnował.

– Już ci mówiłam. W pierwszej chwili się wkurzył, ale gdy przemyślał sprawę, odpuścił.

– Tak sądzisz? Przecież gdyby tak było, powinien od razu pobiec do swojego naczelnego i mu o tym powiedzieć. Dzięki temu zachowałby pracę. Poza tym Gontarz twierdzi, że Proch krzyczał, iż jego naczelny zgodził się puścić jego materiał. Za to Przerwała mówi, że go od razu wyrzucił z gabinetu.

Zatrzymali się w miejscu, gdzie siatka nie chroniła zbyt szczelnie dojścia na teren ogródków. Jacek przecisnął się przez nią i podał rękę Ani.

– Czyli któryś z nich kłamie. Myślę, że Gontarz – stwierdziła Sobania.

– Dlaczego tak uważasz?

– Przecież słyszałeś, jak Przerwała radził mi zrobić ten program w telewizji. Wyobrażasz sobie, że zgodziłby się puścić taki materiał? Skoro wszyscy piszą co innego?

– Mógł tego nie wiedzieć. Nagonka zaczęła się tego dnia rano. Może jeszcze nie zdążył przejrzeć tytułów w prasie. A za oknem mogła wtedy akurat szaleć grupa kosiarzy traw, doprowadzająca go do furii jak wiele innych osób w Warszawie. Nawet kiedy byliśmy u niego w gabinecie, to akurat kosili. Obok jest spory park z trawnikiem, pewnie regularnie tam to robią. Dlatego Przerwała w pierwszej chwili się zgodził, a potem rozmyślił się po przejrzeniu tytułów konkurencji. To dodatkowo zirytowało Procha, który nakręcił się na walkę. Mogło dojść do jakiejś sprzeczki między nimi.

– To możliwe. – Ania pokiwała głową. – Ale może sprawa wyglądała inaczej? Tomek zadzwonił do Gontarza i go postraszył, że ma poparcie naczelnego, choć wcale tak nie było.

– I co dalej? Gontarz to twardy zawodnik, Proch o tym wiedział. Takie postraszenie nic by mu nie dało.

– To fakt. Ale może się po prostu trochę zagalopował? Może nawet jeszcze nie rozmawiał wtedy z Przerwałą? A gdy do niego poszedł i Przerwała ostudził jego zapał, to tym bardziej się zdenerwował i dlatego krzyczał, że się nie podda. Ale potem przemyślał sprawę i tylko nie zdążył powiedzieć tego Przerwale, bo coś mu przeszkodziło.

– Jeśli tak, to trzeba go raczej szukać w kostnicy. To jedyne wytłumaczenie – orzekł detektyw.

– Rzeczywiście, ktoś mógł go skutecznie uciszyć...

– Tylko kto by to miał być? – zastanawiał się Jacek. – Przerwała?

– Po co? Zwolnił go.

– A jeśli naprawdę obiecał mu pomoc? Proch się ucieszył, pojechał po jakieś materiały, które miał w domu. A wtedy Przerwała zorientował się, na co się zgodził. Mógł pojechać za Prochem albo poczekać, aż ten mu przywiezie materiały. A potem go wystawić. Proch się zdenerwował i nawet się przyznał, że pochwalił się Gontarzowi, iż ma poparcie naczelnego. A wtedy...

– Możliwe. Gdy dzisiaj wybuchł, sama się zdziwiłam.

– Musisz popytać ludzi z „Głosu”, czy nie słyszeli jakiejś kłótni między Przerwałą a Prochem tuż przed zniknięciem redaktora.

– Popytam. Ale myślę, że to prędzej Gontarz. To drań i dupek zdolny do wszystkiego.

– Pewnie tak – przyznał Jacek.

– Tylko musiałby działać pod wpływem impulsu, bo inaczej nie miałoby to sensu. – Redaktor Sobania sama zaczęła wątpić we własną tezę. – Mówiłam, że Proch nie miałby gdzie pokazać tych materiałów. Mógłby je puścić jedynie w Internecie.

– Internet to teraz potęga. Jeśli Proch był zdesperowany i miał w nosie swoją dalszą karierę, to ktoś, komu na takiej karierze bardzo zależy, mógłby się posunąć do wszystkiego.

– Czyli jeśli Tomek dostał ostatecznie w łeb, to od Gontarza?

– Przy takim rozwiązaniu obstawiałbym raczej Klempucha.

– Ale w jaki sposób mógłby mu zaszkodzić Tomek materiałami o kosiarzach traw? – Ania uśmiechnęła się z politowaniem.

– Niewiele. Tyle że byłby dla Klempucha brzęczącą muchą, którą ten chętnie pacnie dla świętego spokoju. Ale widzę, że wolałabyś, aby to nie był on?

Ania wprawdzie dzielnie oświadczyła, że nie interesuje jej, kto stoi za zniknięciem Procha, lecz w duchu miała nadzieję, że to nie lichwiarz. Otaczał go jakiś dziwny, tajemniczy nimb. Jeszcze kilka lat wcześniej właściwie nikt o nim nie słyszał i nawet nie było pewności, czy mieszka w Polsce. A od pewnego czasu wszyscy traktowali go jak świętą krowę. W dodatku taką, która jest tu od zawsze, dlatego nie ma sensu dociekać, skąd tak naprawdę się wzięła i w jaki sposób doszła do tak ogromnych pieniędzy.

– Myślisz, że byłby do tego zdolny? – zapytała wymijająco.

– Ja wiem, że byłby.

– Znasz go?

– Od bardzo dawna.

– Od jak dawna?

– Od dziecka. I o nic więcej mnie nie pytaj. Dobrze?

– Dobrze. Czyli że to on?

– Tego nie powiedziałem. Mówię, że jeśli Proch nie żyje, to winny mógłby być on. Z pewnością nie zrobił tego osobiście.

– Zlecił to Gontarzowi?

– Do takiej roboty nie brałby amatora. Zatrudniłby specjalistę, jakiegoś starego znajomego ze służb.

– Więc on... On jest... – Redaktor Sobania już od pewnego czasu czuła, skąd się wzięła potęga Klempucha. Czasem ktoś w jej środowisku rzucił półgębkiem taką sugestię, ale ponieważ przerażała ona wszystkich, nikt zwykle nie kontynuował tematu.

– Tak. Jeśli się przestraszyłaś, możesz się jeszcze wycofać.

– Chcę wiedzieć, co się stało z Tomkiem – powiedziała twardo, bez chwili wahania i nawet sama zdziwiła się własną stanowczością. Przecież jeszcze niedawno wiedziała, że z takimi ludźmi jak Klempuch nie ma sensu zadzierać. Teraz też to wiedziała, ale uruchomił się w niej jakiś dziwny mechanizm, który zabronił jej się wycofać. Czyżby się czymś zaraziła od Jacka? – A może Bożena ma rację, że on się gdzieś schował ze strachu? – zapytała z nadzieją, bo to rozwiązanie byłoby najlepsze.

– Czy on się jej bał?

– Bo była dwa razy od niego większa?

– Chodzi mi o to, czy był pantoflarzem. To znaczy, czy bałby się jej przyznać, że ma zamiar walczyć – uściślił detektyw.

– Tak dobrze ich nie poznałam. Ale ogólnie to ona była raczej mało zdolna, w zasadzie wszystko jej się udało dzięki kontaktom Tomka. On był zdolny facet, tylko pechowy...

– Mistrzu, kogo ja widzę?!

Chrapliwe powitanie wdarło się w rozmowę Jacka z Anią i przerwało niekończący się spacer. Redaktor Sobania najpierw poczuła, a dopiero potem zobaczyła, że pojawił się obok nich niewysoki, łysawy mężczyzna o orlim nosie i znoszonym stroju. Tak bardzo znoszonym, że prawdopodobnie nie widział on pralki od chwili, gdy stał się własnością tegoż osobnika, do którego trafił trzy lata temu. Nic dziwnego, że znajomy Jacka wydzielal dość specyficzny zapach, od którego bywający na salonach człowiek tracił ochotę na oddychanie.

– Cześć, Saganek. Poznaj, pani redaktor Sobania.

– Rączki całuję. – Saganek spełnił swoją groźbę, a Ania z trudem powstrzymała się, żeby nie zwymiotować.

– Trochę się spieszymy. – Spojrzała na Jacka błagalnie.

– Nie – zaprzeczył Przyodek.

– Mówiłeś, że idziemy się spotkać z kimś, kto może nam pomóc.

– Jesteśmy na miejscu. To jeden z wywiadowców, który pomógł mi rozwiązać zagadkę zabójstwa podfruwajki brązowonosej. Przyda się i teraz do obserwowania podejrzanych.

– Sam jeden?

– Nie. Znajdzie jeszcze dwóch pomocników.

– Mistrz chciałby mnie zatrudnić? – Oczy Saganka zaślniły.

– A co, masz za dużo pracy?

– Trochę tego jest – przyznał skromnie. – Ostatnio z Koziółkiem i Kikutem robimy w firmie dezynsekcyjnej. – Saganek sięgnął do kieszeni. Wyjął stamtąd przezroczyste, szczelnie zamknięte plastikowe pudełeczko, w jakim wędkarze przechowują zwykle robaki. – Zbieramy prusaczki, wpuszczamy do lokali, a potem pojawiają się z ofertą nie do odrzucenia. – Zademonstrował Ani pudełko. Ta nie namyślała się nawet chwili, odwróciła się i pozbyła zapasów jedzenia z całego dnia. – Przepraszam szefową, nie myślałem, że szefowa taka delikatna.

– I ludzie was wpuszczają? – zapytała Sobania, z trudem łapiąc oddech.

– Na Olbrachta u profesora się myjemy i przebieramy, a potem idziemy po klientach. Ale to ciężka robota, ludzie nie mają zaufania do fachowców, wolą truć na własną rękę, zamiast wydać te parę złotych – wyznał ze smutkiem. – Znaczący trudno coś zarobić, a i praca nudna. Także jakby mistrz potrzebował pomocy, to jesteśmy do dyspozycji.

Pan Jędrzej Sakowicz nie przywykł sprzeciwiać się swojej połowicy, ale były pewne rzeczy, których za nic w świecie nie mógł puścić płazem. Nawet ryzykując konflikt z małżonką. Do takich rzeczy zdecydowanie zaliczała się groźba unicestwienia istniejącej od wielu pokoleń kancelarii Sakowicz & Sakowicz. I choć w głębi ducha był przekonany, że pójście syna własną drogą jest chwilowym kaprysem niedojrzałego, młodego człowieka, to i tak jakiegokolwiek ustępstwo na rzecz Błażeja nie wchodziło w grę, dopóki krnąbrny potomek nie zacznie schodzić ze złej drogi.

– Heleno, proszę cię, nawet mnie o to nie prosz. Wyraziłem już chyba dość jasno, co sądzę o tym szafawile.

– Ależ, Jędrzeju, on ma wobec niej poważne plany.

– Poważne? Ha, ha, ha – zaśmiał się tubalnie i z emfazą mecenas Sakowicz. – Gdyby jego plany były poważne, nie opuszczałby rodzinnej kancelarii.

– Chciał iść własną drogą.

– To niech idzie. Niestety, nie mogę nic z tym zrobić – powiedział pan Jędrzej, choć przez moment, na początku, rozważał, czy nie dałoby się ubezwłasnowolnić własnego syna,

zabraniając mu dzięki temu opuszczenia rodzinnej kancelarii. Uznał nawet, że od strony prawnej to możliwe, ale bezsensowne, gdyż pozbawiony praw nie mógłby występować w sądzie i nie byłby przydatny.

– Przecież opowiadałeś mi, że poznałeś tę Anię i wywarła na tobie korzystne wrażenie.

– To prawda, ale on u niej i tak nie ma najmniejszych szans na dłużej. To bardzo niezależna i zdecydowana osobka. Gdyby Błażej był choć trochę podobny do mnie, to owszem, mógłby mieć pewne nadzieje. A tak, jeśli chce założyć rodzinę, musi znaleźć zdecydowanie bardziej realistyczny obiekt uczuć. Dlatego uważam, że pomysł z tym rodzinnym spotkaniem nie ma najmniejszego sensu. Jeśli nawet do niego dojdzie, wszystko zakończy się katastrofą! Bo kiedy ona usłyszy jego oświadczenia, ucieknie gdzie pieprz rośnie!

– To co ci szkodzi się umówić?

– Nie chcę być okrutny wobec niego i patrzeć na jego miłosną klęskę, która jest niewątpliwa. Poza tym muszę się teraz przygotować do bardzo ważnej rozprawy. Walczę o kamienicę przy Olbrachta sto dwa.

– Chcesz stanąć przeciwko Błażejowi?

– Tak. To mój obowiązek. On liczy, że wygrana sprawa tej kamienicy będzie jakimś fundamentem do rozbudowy nowej kancelarii, jego i tej Kolskiej. Zresztą nie byłoby tej sprawy, gdyby nie ten jego pozał się Boże przyjaciel, Przypadek. Dla tego przegrana może ostudzić jego zapał i sprawić, że wreszcie podejdzie do życia realistycznie. A wtedy dopiero możemy zacząć rozmawiać.

– Jak rozumiem, wierzysz, że dzięki temu wróci na łono rodzinnej kancelarii?

– Nie tak od razu. Nie zamierzam mu tego ułatwiać. Lecz tak, mam taką nadzieję.

– Otóż przyjmij do wiadomości, że to spowoduje coś dokładnie odwrotnego. Błażej stanie na głowie, żeby ci udowodnić, jak bardzo nie masz racji.

– Nie sądzę. Owszem, gdyby był choć trochę podobny do mnie...

Pani Helena westchnęła. Unikała tego wyznania, jak tylko mogła, bo wiedziała, że rozsiedziłaby nim zarówno syna, jak i ojca. Teraz jednak nie miała wyjścia.

– Jest podobny do ciebie, Jędrzeju. Jesteście jak dwie krople wody.

– Nawet tak nie żartuj, moja duszko.

– Nie żartuję. To prawda. Jest twoim synem i przejął od ciebie wszystkie wady i zalety. Wszystkie gesty i przyzwyczajenia, łącznie z tym obrzydliwym paleniem fajki, choć bardzo chciałam, żeby tego akurat uniknął. Ale jest w ciebie zapatrzony i nawet sam nie wie, jak bardzo cię naśladuje.

– Wybacz, Heleno, ale nie wiesz, co mówisz. Ja w jego wieku nie odchodziłem z rodzinnej kancelarii.

– Doprawdy? A kto mi się wyplakiwał w rękaw, że ojciec go nie docenia i chętnie by rzucił pracę u niego? Tylko czasy były inne i założenie własnej kancelarii nie było tak proste jak teraz.

– Coś ci się chyba pomyliło, Helenko. Cóż, pewnie kiedyś byłem niezadowolony z postawy ojca. Nie miał racji w wielu sprawach i nie potrafił się do tego przyznać. Zupełnie jak Błażej. Jeśli zatem mój syn jest do kogoś podobny, to do swojego świętej pamięci dziadka. Gdybym tylko miał sposobność, pokonałbym ojca na sali sądowej. Ale teraz Błażej boleśnie przekona się, kogo warto naśladować.

– Nie zrobisz tego.

– Owszem, zrobię. I nie próbuj mnie od tego odwieść.

– Tak? To posłuchaj. Rozumiem, że nie akceptujesz decyzji Błażeja. Wiem, że możesz być na niego zły. Ale jeśli staniesz przeciw niemu na sali sądowej, to się do ciebie więcej nie



odezwę!

– Ależ, Helenko, co ty opowiadasz?

– To, co słyszysz. Jaka jest twoja decyzja?

Pan Jędrzej nigdy by nie przypuszczał, że w jakiegokolwiek istotnej sprawie potrafiłby się sprzeciwić żonie. Lecz nie przypuszczałby również, że mogłaby mu ona postawić takie ultimatum. Był jednak pewien, że są w życiu mężczyzny takie chwile, kiedy musi on postawić na swoim bez względu na konsekwencje. Być może dlatego, że owych konsekwencji nie był sobie nawet w stanie wyobrazić.

– Będę stawał przeciw niemu. A jeśli chcesz, aby do tego nie doszło, porozmawiaj z nim. Przyjmę go z powrotem, oczywiście, jak mówiłem, pod pewnymi warunkami.

Wprawdzie dzwonek do drzwi nie został naciśnięty zbyt natarczywie, ale Bożena Duńska, mieszająca właśnie na patelni swoją kolację składającą się z kiełbasy, cebuli, boczku i słoniny połączonych roztapiającym się powoli serem, podskoczyła do góry. Nie spodziewała się żadnej wizyty o tej porze ani tym bardziej jej sobie nie życzyła. Dlatego jeszcze przez chwilę mieszała jedzenie na patelni w nadziei, że ktoś się pomylił i niechcący nacisnął jej dzwonek. Dopiero gdy ponownie usłyszała sygnał, tym razem już podwójnie silny i nieprzyjemnie wibrujący w uszach, odeszła od kuchenki. Nie wyłączyła jednak gazu, ponieważ była przekonana, że po prostu szybko pozbędzie się nieproszonego gościa, kimkolwiek on był. Nie spojrzała nawet przez wizjer, tylko wściekła otworzyła drzwi, gotowa zaraz na kogoś nakrzyknąć.

– Witaj, Bożenko. – Gontarz uśmiechnął się najsympatyczniejszym uśmiechem, na jaki było go stać, i wręczył zaskoczonej dziennikarce bukiet kwiatów. – Nie przeszkadzam?

– No... trochę tak...

– Szkoda. Bo miałem nadzieję, że spędzimy przyjemny wieczór.

– Ty? Ze mną? Niby dlaczego? – zapytała jednocześnie zainteresowana i zdziwiona.

– Doszły mnie słuchy, że rozesłaś się z Tomkiem i poszukujesz bardziej odpowiedniego mężczyzny. Przyszedłem więc za pytać, czy masz wolny wieczór. – Gontarz zrobił krok do przodu, starając się minąć gospodynię zagrządzającą całe przejście.

– Jestem zajęta! – stwierdziła stanowczo dziennikarka.

– Aha, czyli to jednak plotki, że już nie jesteś z Tomkiem?

– Oczywiście, że nie jestem. Teraz jestem z kimś innym.

– Nie jesteś, Bożenko.

– Skąd wiesz?! Uważasz, że nie mogę sobie kogoś znaleźć?!

– Możesz. Ale jestem najlepiej poinformowanym człowiekiem w mieście na temat tego, kto, z kim, kiedy i dlaczego. A u ciebie posucha.

– Po prostu go nie znasz... To osoba spoza środowiska.

– Bożenka, nie ściemniaj. – Gontarz spojrzął z politowaniem na pannę Duńską, a ta odwdziękowała mu się groźnym spojrzeniem.

– To moja sprawa, z kim jestem. Spadaj! – Próbowwała zamknąć drzwi, ale piarowiec nie pozwolił jej na to. – No co robisz?! Wezwę policję!

– Daj spokój. Nie chcę nic złego. Potrzeba mi tylko kilku dokumentów Tomka.

– Oszalałeś?! Jakich dokumentów?

– Swego czasu myślałem, że jest fachowcem, i podostałem mu parę gotowców i opracowań do kampanii, nad którymi pracowałem. A teraz ten gnój mnie straszy, że je wyciągnie, aby udowodnić, jakimi to strasznymi rzeczami się zajmuję.

- Straszyl cię? – zapytala przerazona Duńska.
- Zadzwonil i powiedzial, ze ma na mnie kwity w domu.
- Gontarz probowal sie wepchnac do srodka, ale nie przewidzial, ze panna Duńska jest naprawde krzepaką dziewoja.
- Nie ma ich tu. Wzial je ze soba do redakcji!
- Skad wiesz?! Co ci o nich mowil? – Gontarz naparl z calych sil na drzwi. – Bozena, nie wurzaj mnie, bo cię załatwie jak jego. A moze ty tu ukrywasz tego tchorza?!
- Oszalales? – oburzyla sie panna Duńska. – Nie chce miec z nim nic wspolnego!
- To wpuśc mnie... Auuu!

Piarowiec byl przed momentem naprawde bliski sukcesu. Ale panna Duńska, widzac, ze zwykla sila nic nie poradzi, uciekla sie do broni typowo kobiecej. Dlatego po chwili Gontarz zwiatal sie z bolu przed zamknietymi drzwiami, trzymajac sie za okolice rozporka i przeklinajac, nie wiedziec czemu, wszystkie feministki swiata. Zlorzeczył nawet jeszcze na podwórku, gdy mial dwóch bezdomnych, raczacych sie wyrobami winiarskimi z mazowieckich sadów.

Marmur, na który patrzył w tej chwili Wiktor Klempuch, był naprawde precudnej urody. Naturalnie lichwiarz wiedzial doskonale, ze marmurowy nagrobek nie jest tak trwaly, jak ten z granitu. Ale tez trudno bylo wykuć z granitu tyle piekna, co z marmuru. A piekno bylo dla niego najwyzsza wartoscia.

Nawet gdy zamawial rzecz tak, zdawaloby sie, ponadczasowa. Uwazal jednak, ze najwazniejsze jest to, jak nagrobek bedzie sie prezentowal w dniu swej premiery. A frekwencja na niej zapowiadala sie imponujaco. Na pewno przybedzie wiele osob wstrzasnietych ta niespodziewana smiercia, zarowno z kregow elity, jak i spośród gawiedzi zjadnej rozrywki.

Dlatego musial dokonac wlasciwego wyboru. Gdy zamawial nagrobek dla swej nieodzalowanej przyjaciolki, wiedzial, ze na pogrzeb przyjdzie niewiele osob. Mogl wiecej sobie pozwolisc na cos zdecydowanie kameralnego, cos, czego uroda najlepiej widoczna byla z bliska. Teraz, ze wzgledu na spodziewane tlumy i liczne pielgrzymki nawiedzajace grób po pogrzebie, musial postawic na cos juz z daleka krzyczacego. Z tego wzgledu zdecydowal sie na *breccia pernice*, wspanialy marmur wabiacy swymi roznorodnymi barwami zdominowanymi przez czerwien. Ten egzemplarz, który pokazywal mu teraz kamieniarz Szymon, jego ulubiony cmentarny artysta, zawieral dodatkowo sporo akcentow zieleni i przypominal mu jeden ze wspolczesnych obrazow wiszacych na jego scianie, co uznal za dobry omen.

- Podoba sie panu, panie Wiktorze? – zapytal Szymon, choc doskonale poznal po zachwycie na twarzy swojego klienta, ze towar zostal juz zakupiony.
- Podoba sie to malo powiedziane. Jest przepiekny.
- Czy mam juz zaczac wykuwac literki?
- Oczywiscie. Czasu nie jest duzo, a robota musi byc naprawde kunsztowna. Oczywiscie, prosze zostawic jak zwykle miejsce na date smierci. Chociaz to na pewno bedzie listopad.
- Zostawie miejsce. Kto tym razem?

Klempuch wyjal z kieszeni karteczke i podal ja kamieniarzowi Szymonowi. Ten szybko spojrzal na napis i mimo dlugiego doswiadczenia we wspolpracy z lichwiarzem nie potrazil ukryc zaskoczenia.

- Nie pomyslalbym, ze...

– Nikt nie jest wieczny, panie Szymonie. – Klempuch bezradnie rozłożył ręce. – Nagła śmierć może dopaść każdego. Zwłaszcza gdy ma szczególnych wrogów.

– To prawda – potwierdził kamieniarz, kiwając głową. – Memento mori...

– Otóż to, panie Szymonie. Otóż to – powiedział Klempuch i wyciągnął rękę w kierunku kamieniarza. – Aha, byłbym zapomniiał. Potrzebuję jeszcze zwykłego prostego nagrobka.

– Dla kogo?

– Dla takiego jednego drania, który mi ostatnio krwi napsuł. – Machnął lekceważąco ręką.

– Znajdę coś niewyszukanego. To pewnie dla tego redaktorzyny, co to napisał ten głupi artykuł o koszeniu traw?

– Panie Szymonie, a czy czasem nie jest pan zanadto ciekawy?

– Przepraszam, panie Wiktorze. Ale zawsze pan mi mówi zawczasu, kogo będziemy chować.

– I tym razem też się pan dowie. W odpowiednim momencie.

– Oczywiście, rozumiem. Przepraszam, ale mnie on też zdenerwował. Uwielbiam równo przyciętą trawkę.

– Panie Szymonie, czy ja nie dałem wyraźnie do zrozumienia, że ten temat rozmowy mnie w tej chwili nie interesuje? – Klempuch uśmiechnął się ujmująco, jak zawsze wtedy, gdy pozostała część jego ciała wyraźnie mówiła, że będzie musiał kogoś zabić.

– Tak jest – przytaknął głową pan Szymon. – Pan jednak jest niezwykły, panie Wiktorze. Krwi panu napsuł, a pan mu szykuje nagrobek.

– Jestem mu to winien. Takie mam zasady, że skoro pomagam komuś zejść z tego świata, powinienem oszczędzić mu kosztów.

– Rozumiem. – Kamieniarz chciał już odejść, ale jeszcze na moment się zatrzymał. – Tym razem ja bym zapomniiał. Przyszedł „oddech diabła”, który pan zamawiał. Poczekaj pan chwilę, aż wydostanę go z trumny, czy mam przysłać go potem?

– Poczekam. To zbyt ważna rzecz, abym jej transport mógł powierzyć komuś innemu.

Kamieniarz i lichwiarz przeszli do kostnicy. Po drodze minęli jakiegoś lumpa, który chyba włączył się po cmentarzu bez celu. Klempuch zatrzymał się nawet na chwilę, gdyż to akurat miejsce szczególnie mu do kogoś takiego pasowało. Poza tym człowiek ten miał zbyt inteligentne spojrzenie, właściwe osobom z naukowymi tytułami, a nie zwykłym bezdomnym. Kiedy jednak lump pociągnął mocny łyk z flaszki, a potem głośno beknął, zniesmaczony lichwiarz ruszył w ślad za kamieniarzem, który właśnie wchodził do przygmentarnej kostnicy.

Stała tam trumna, w której znajdowały się zwłoki naszego rodaka po niespodziewanym spotkaniu z anakondą w amazońskiej dżungli. Pewnie nic by po nim nie zostało, gdyby ktoś w odpowiedniej chwili nie ukłuł węża ostrym nożem. Zrobił to jednak zbyt późno, by uratować życie Polaka. Teraz wraz z doczesnymi szczątkami denata przybyły do kraju również inne pakunki. Takie jak sporych rozmiarów foliowa torebka z białym proszkiem, która przeszła z rąk kamieniarza do Klempucha.

– To na sto procent jest „oddech diabła”? – upewniał się bogacz.

– Panie Wiktorze, czy ja kiedykolwiek pana zawiodłem? – zapytał retorycznie Szymon. – Jest czystutki, stuprocentowy. Proszę go wypróbować, powinno wystarczyć na kilka oddechów.

– Chyba będę musiał. Nie mogę sobie pozwolić na pomyłkę. Będę miał tylko jeden strzał.

– Dlaczego? Przecież wystarczy, że ochrona go przytrzyma. Chyba że ten ktoś ma... – Kamieniarz przeraził się nie na żarty. – Że ten ktoś ma lepszą ochronę – dokończył struchlały ze strachu.

– W tym kraju nikt nie ma lepszej ochrony niż ja – zapewnił Klempuch, lecz widząc przerażenie na twarzy kamieniarza, dokończył: – Spokojnie, to żaden prezydent ani nikt taki. Ale nie chcę korzystać z niczyjej pomocy. Muszę to zrobić sam na sam.

Plik ponad stu kartek znalazł się przed chwilą w dłoniach Jacka. Czerń literek na stronach pochodziła z archaicznej maszyny do pisania, która od dawna pozostawała w posiadaniu rodziny Przyпадków i z której pani Felicja korzystała przy pracy. Również teraz, przy kryminale retro, nad którym praca niemal dobiegła końca.

– Nieźle masz tempo. – Jacek z podziwem pokiwał głową. – Przecież dwa miesiące temu ledwie zaczynałaś.

– Ale świetnie mi idzie. To właściwie jest cała wersja wstępna.

– Już skończyłaś?

– Wiem, trzeba będzie trochę wydłużyć. Teraz ludzie chcą kupować cegły, a nie książki. Trochę jeszcze dodam, choć na pewno nie będzie tego dużo.

– Chyba ostatnio nic nie robiłaś, tylko pisałaś...

– To prawda. A teraz chciałabym, żeby ktoś to przeczytał i ocenił.

– I tym kimś mam być ja? – zapytał ostrożnie Jacek i na wszelki wypadek oddał plik kartek matce.

– A czemu nie?

– Nigdy nie dawałaś mi do oceny swoich rzeczy.

– Ale to kryminał retro, a ty w dodatku jesteś detektywem. Komu innemu miałabym to pierwszemu dać, jak nie tobie?

– Nie wiem. – Jacek intensywnie szukał odpowiedniego kandydata. – Teraz jestem zajęty, prowadzę ważne śledztwo.

– To nie jest zbyt długa książka. – Pani Felicja usiłowała wcisnąć synowi plik kartek, ale ten postarał się, by jego dłonie były chwilowo zajęte.

– No dobrze... Ale może lepiej dać ją na początek komuś innemu? Ja naprawdę nie wiem, kiedy będę mógł ją przeczytać.

– Spokojnie, wiem, że są takie urządzenia jak kserokopiarki. Mam ją odbitą w pięciu egzemplarzach.

– Aha, czyli dajesz też innym do poczytania? – ucieszył się Jacek.

– Dam zaraz po tym, jak ty to przeczytasz. Wiesz, trochę mam jednak tremę. Nie wiem, czy nie poszło mi za łatwo i czy nie wyszła z tego jakaś kompletna grafomania. Dlatego ty pierwszy musisz to przeczytać.

– Skoro tak mówisz... – Jacek zrezygnowany wzięł od matki maszynopis.

– Boisz się, że to kiepskie, tak? – zapytała podejrzliwie pani Felicja.

– Nie, nie... – zaprzeczył bez wiary Jacek.

– Boisz się?

– Tak, boję się – przyznał w końcu.

– Myślałam, że chociaż ty wierzysz w mój talent. – W oczach pani Felicji pojawiły się łzy.

– Wierzę, mamo. Naprawdę wierzę. Ale nawet utalentowanym zdarzają się gorsze utwory. A wiem, jak ciężko przeżywasz każde słowo krytyki. W dodatku jeśli będzie pochodzić ode mnie. I tego się boję. Bo nie powiem ci, że to genialne, jeśli nie będzie. Dasz

to innym do poczytania albo roześlesz po wydawnictwach. A gdy ci odmówią, będziesz dodatkowo załamana. Dlatego wolałbym, żebyś znalazła kogoś obcego do lektury i przekazywania uwag. Bo ja, gdybym zobaczył pierwsze skrzywienie na twojej twarzy, wycofałbym się. A puste pochlebstwa i tak do niczego nie są ci potrzebne.

– Masz rację. – Matka wyjęła z rąk Jacka plik kartek. – A tak się cieszyłam...

– Mamo, nie bierz mnie na litość.

– Dobrze, nie będę. Tylko wiesz, naprawdę jestem przekonana, że to jest świetna książka. Nie masz pojęcia, jak łatwo mi się ją pisało, jak zdania same ze mnie wylatywały. Czułam, jakbym się wręcz przeniosła w czasie.

– To ciekawe, skąd wzięła się ta łatwość. – Jacek przyjrzał się matce uważnie. – Wciąż dostajesz kwiaty od ojca?

– Nie. Gdy dostałam te drugie, na imieniny, poszłam do niego i kategorycznie zabroniłam mu przysyłać następne.

– Posłuchał?

– Nie miał wyjścia, bo zagroziłam, że będę je odsyłać.

– A wtedy pewnie spróbował zaprosić cię na kolację do francuskiej restauracji. Nie dziw się, przecież ja też wiem, że uwielbiasz francuską kuchnię. Pewnie wybierze jakąś zaciszną, małą knajpkę, postara się o właściwy dobór dań i win. Potem zaproponuje, że odwiezie cię taksówką do domu, bo to właściwie po drodze. Każę taksówkarzowi poczekać i pójdzie z tobą na górę. A gdy będziesz otwierać drzwi, spróbuje cię pocałować.

– Ponoś cię wyobraźnia, synku. Tak, to prawda, twój ojciec mnie zaprosił. Ale nie mam najmniejszego zamiaru korzystać z jego propozycji.

Niektórzy twierdzili, że Przerwała jest prawdziwym szczęściarzem, bo kiedy rozdawano kręgosłupy, jemu, zamiast kościstego, przypadł egzemplarz gumowy. I to taki specjalny, który bezbłędnie wyczuwał, jak dalece trzeba się ugiąć pod każdą formą nacisku. Dzięki temu zaraz potem potrafił się wdzięcznie wyprostować i udawać, że cały czas był w gruncie rzeczy nieugięty i nie sprzeniewierzył się żadnym normom ani zasadom.

Gumowy kręgosłup naczelnego „Głosu Warszawy” miał jeszcze tę zaletę, że pozwalał idealnie wic się niczym wąż, co umożliwiało unikanie jednoznacznych deklaracji w taki sposób, że w razie gdy wygrywała jedna ze stron sporu, Przerwała zawsze mógł twierdzić, że ją popierał. I gdy w tym momencie stał przed nim Filip Gontarz, też nie po trafił mu odmówić wprost, choć spełnić jego żądań niestety nie mógł.

– Ale, Filipku, ja naprawdę nic nie wiem o tych materiałach. – Naczelnny „Głosu”, jak to miał od dawna w zwyczaju, nie przestawał przecierać spoconego czoła chusteczkami.

– Duńska powiedziała, że je zabrał do redakcji.

– Kłamała. Osobiście sprzątałem jego biurko i niczego tam nie znalazłem. Powiedziałem jej to i daję ci słowo, nic tam nie było, Filipku.

Gontarz najchętniej sam przeszukałby teraz wszystkie szuflady Przerwały. Wprowadził w pierwszej chwili był wściekły na pannę Duńską za cios poniżej pasa, ale po przemyśleniu sprawy doszedł do wniosku, że musiała powiedzieć prawdę. Przecież Proch sam mu oświadczył przez telefon: „Jadę do domu i wiozę kwity na ciebie do naczelnego”. I pewnie gdzieś tu są. Niestety, to jasne, że naczelnny „Głosu Warszawy” nie da się przekonać do ich wydania. Ale gdy Gontarz go odpowiednio postraszy, to Przerwała zrobi z tymi śmieciami co trzeba.

– Mam nadzieję, że to prawda, Bogdan. – Piarowiec groź nie cedził słowa. – Bo jeśli nagle okaże się, że coś na mnie zaczyna wypływać do gazet, to będę wiedział skąd.

Gontarz wyszedł. Przerwała podszedł do okna i otworzył jej szerzej. Trawa już była skoszona i miał wielką nadzieję, że przez pięć miesięcy będzie miał spokój. Chciał zaczerpnąć świeżego powietrza, ale wtedy poczuł zapach dwóch bezdomnych, którzy ulokowali się pod parkową latarnią naprzeciw jego gabinetu.

Przymknął okno i usiadł z powrotem przy biurku. Po raz kolejny otarł pot z czoła. Schylił się i otworzył najniższą szufladę. Wyjął z niej kartonową teczkę, na której ktoś w miejscu przeznaczonym na tytuł skreślił wszystko mówiące słowa: „TEN FIUT, GONTARZ”. Rzucił ją na blat biurka i przez chwilę się jej przypatrywał. Potem wyjął z niej dokumenty i zaczął pobieżnie je kartkować. Czytał je już parę razy i doskonale wiedział, co w nich jest. Nie miał pojęcia, po co je jeszcze zachował. Jako ubezpieczenie? Na pamiątkę po pracowniku? Diabli wiedzą. Ale to ostatni moment, żeby się ich pozbyć. Gdy powiedział o ich istnieniu swojemu wieloletniemu mentorowi, Skrupskiemu, ten od razu mu poradził, żeby ich nie trzymał.

– Stary – mówił – takie gównu nikomu do niczego nie jest potrzebne. Jeszcze cię ochlapie. Zresztą co powiesz? Te materiały bez Procha są guzik warte, nie użyjesz ich. Jeśli on ich nie poprze zeznaniami, to w zasadzie możesz się nimi od razu podetrzeć.

Mógł od razu go posłuchać. Ale pomyślał, że sam może się kiedyś znaleźć na celowniku kogoś, kto wynajmie Gontarza, więc będzie miał chociaż taką małą tarczę. Nie, to głupie. Przecież jest zbyt sprytny, dobrze wie, jak unikać niebezpieczeństw. Chwytał dokumenty i wsadził je do szczeliny niszcarki, z której wychodziły przemielone. Wspaniałe artykuły autorstwa Filipa Gontarza, rozsyłane znajomym dziennikarzom, a mające wspierać: absolutnie słuszną politykę odpowiedzialności Polski za czasy kolonializmu – wszystkim przeciwnikom wyciągnięto endeckich przodków do czwartego pokolenia wstecz; zbrodniczą działalność szefów jednej z gałęzi rodzimego przemysłu, którzy stanęli na drodze światowych potentatów – po świetnej kampanii sprzedali swoje interesy bez oporów; niewybaczone postępowanie pewnego szefa publicznej instytucji, który ośmielił się nie przyjąć łapówki od koncernu budowlanego – zakończone udowodnieniem, że tak naprawdę jest despotą znęcającym się nad rodziną, którego trzeba zwolnić z pracy. Było tam też wiele innych kwiatków, ponieważ zleceniodawcy Gontarza reprezentowali najróżniejsze branże.

„No wreszcie – pomyślał z ulgą Przerwała, gdy z ostatnie go dokumentu zostały tylko nieczytelne ścinki. – Teraz nic mnie już nie łączy ze sprawą tego pechowca Procha. Nikt mi niczego nie udowodni!”

Kiedyś takie zapachy nie robiły wrażenia na redaktor Sobani. Była przecież dziennikarką śledczą i musiała bywać w różnych dziwnych miejscach o kiepskiej reputacji, po których rozchodziły się niezbyt przyjemne wonie. Ale od niedawna zauważyła, że jej wrażliwość zdecydowanie wzrosła. Może to dlatego, że od czasu awansu brylowała głównie na salonach i w pięknie pachnących biurkach? W każdym razie nieważne, jaka była tego przyczyna, musiała się trzymać w odległości co najmniej kilku metrów od współpracowników, z którymi rozmawiał Jacek.

– Czyli mówisz, Saganek, że Gontarz przyszedł do panny Duńskiej po dokumenty Procha, ale ta go nawet za próg nie wpuściła, a na koniec chciała go pozbawić męskości?

– No – przytaknęła radośnie Saganek. – Związał się aż miło, nie, Siwobrody? – Szturchnął stojącego obok kolegę, który oblizał się jak na wspomnienie kuszącej potrawy.

– Fest kobita, z charakterem – przyznał z uznaniem posiadacz siwego owłosienia. – Pozazdrościć takiej, jak się komuś trafi – młasnął radośnie.

– A wczoraj Gontarz poszedł do Przerwały i też chciał tych dokumentów, grożąc, że jeśli wypłynię coś na niego, to się z naczelnym policzy? – upewnił się Przypadek.

– Jakoś tak – potwierdził trzeci ze zwiadowców, posiadacz sztucznej nogi, zwany pieszczośliwie przez kolegów Kikutem.

– Okno było tylko uchylone, ale słysząc było całkiem dobrze. Nie, Saganek?

– Tak – pokiwiał twierdząco głową Saganek. – A potem gość przepuścił jakieś papiery przez maszynkę. Ale jakie, to już nie mogliśmy zobaczyć, mistrzu.

– To co, mamy wracać do roboty?

– Nie trzeba – zaprzeczył Jack. – Już chyba wiem, co się stało.

– Naprawdę? – zapytał rozczarowany Siwobrody, któremu nowe zajęcie wyraźnie się spodobało.

– Naprawdę? – powtórzyła z nadzieją pytanie Ania, wciąż zachowując bezpieczną odległość od współpracowników.

– Tak mi się wydaje. Zresztą wcześniej już się domyślałem pewnych rzeczy, ale dzięki naszym znakomitym zwiadowcom mam pewność.

– Czyli wiesz, co się stało tego dnia?

– Mam pewne podejrzenia. Dokładnie wyjaśni nam to sam pan Proch.

– To znaczy, że żyje?

– Sądzę, że tak. Przynajmniej na razie. Pozostaje tylko kwestią, jak do niego dotrzeć. – Jacek przez chwilę pocierał brodę. – Pomoże nam w tym to, że panowie redaktorzy uwielbiają wszystko, co darmowe.

– Ej, bez takich – obruszyła się redaktor Sobania, solidaryzując się z własną grupą zawodową. – Każdy to lubi.

– To prawda. Ale tylko oni uważają gremialnie, że różne darmowe rzeczy im się po prostu należą, i nic a nic ich to nie dziwi.

– A co chcesz im zaproponować?

– Coś darmowego.

– Aha. – Ania czuła, że Jacek się z nią droczy, i może wytrzymałaby to bez problemu, gdyby nie zapachy wydzielane przez wywiadowców. – To może ja już panom zapłacę i potem mi to powiesz?

Redaktor Sobania nie przypuszczała, że ta propozycja nie skończy się dla niej najlepiej. Usłyszawszy propozycję wypłaty, Saganek, Kikut i Siwobrody rzucili się w jej stronę, bynajmniej nie po to, by ustawić się w kolejce, ale by dostać należność jako pierwsi. Ania cofnęła się pół kroku, lecz dalej niestety nie mogła, bo ograniczał ją płot ogródków działkowych. Dlatego wkrótce poczuła zapach wywiadowców tuż pod samym nosem, co było dla niej stanowczo zbyt mocnym przeżyciem. Zanim zdążyła sięgnąć do kieszeni po portfel, zwymiotowała.

– Panowie, odstąpcie panią – poprosił grzecznie detektyw i na wszelki wypadek sam pociągnął bezdomnych do tyłu. – A na wypłatę będziecie jeszcze musieli poczekać.

– Ale, mistrzu, przecież wykonaliśmy robotę, mistrz już ma winnego na widelcu.

– Na razie wiem, kto to, ale bez waszej pomocy go nie złapię. – Jacek spojrzął z troską na Anię, która z kolei obrzuciła go błagalnym spojrzeniem proszącym o to, aby dokończył tę sprawę samodzielnie. Detektyw był nieugięty i oświadczył: – Po wszystkich dostaniu jeszcze premię.

– To może by jakaś zaliczka? – zaproponował Siwobrody.

– Jeśli weźmiecie zaliczkę, to wytrzeźwiejecie za dwa tygodnie, a jesteście potrzebni teraz – uciął stanowczo Przepadek.

Wydawało się, że cały dom zatrzęsł się w posadach. A przynajmniej na pewno czwarte piętro kamienicy przy ulicy Koneckiej 40. Obrazy na ścianach mieszkania Irminy Bamber przekrzywiły się lekko. Starsza pani ostatni raz przeżyła coś takiego, gdy budowano nieopodal linię metra i osunęła się ziemia. Wiedziała jednak, że teraz to żadna katastrofa budowlana. To tylko nowi sąsiedzi.

– Dosyć tego, muszę im to powiedzieć! – postanowiła pani Irmina. – Tak dalej się nie da żyć!

Z tym mocnym postanowieniem wyszła na korytarz. Nim jednak przebyła trzy kroki dzielące ją od mieszkania pod numerem trzystaście, usłyszała dalszy ciąg kłótni. Ponieważ jednak autor twierdzi, że jego książka przeznaczona jest dla czytelników w przedziale wiekowym od 13 do 113 lat, ze względu na obydwie te granice nie może sobie pozwolić na dosłowne zacytowanie treści kłótni. Ogólnie chodziło o zbyt częste przebywanie jednej ze stron sporu w tak zwanych darkroomach znajdujących się w gejowskich klubach i korzystanie bez umiaru z uciech, które oferowały. Druga ze stron informowała z kolei, że doskonale wie, iż partner bez odrobiny zażenowania oferuje w biały dzień miłość francuską wszystkim napotkanym mężczyznom, przez co bezwstydnie szarga reputację ich związku. Całości dopełniał jak zwykle akompaniament psa.

Wysłuchawszy, nie po raz pierwszy zresztą, tych wzajemnych żalów, pani Irmina zatrzymała się dwa kroki przed drzwiami sąsiadów.

„Nie dam rady – stwierdziła w duchu zrezygnowana. – Co ja im powiem? Aby nie wypominali sobie wzajemnie tego, że... – Cytaty z sąsiedzkich pogaduszek nie przechodziły jej nawet przez myśl. – Nie, nie dam rady” – stwierdziła raz jeszcze i chcąc wykorzystać alibi w postaci zapadłej nagle ciszy, cofnęła się w kierunku własnych drzwi.

Zanim jednak dotknęła klamki, została poczęstowana kolejną wiązańką. Tym razem słowa nie były aż tak niecenzuralne, panowie wypominali sobie, o dziwo, własne preferencje erotyczne, racząc się dużą ilością „ciot” i „pedałów”. Na koniec jednak któraś ze stron sporu postanowiła podkreślić moc swoich argumentów i skorzystała z zastawy stołowej, rozbijając ją o ścianę.

„Jednak muszę z tym skończyć!” – pomyślała pani Irmina. Tym razem udało jej się pokonać trzy kroki dzielące ją od drzwi sąsiadów. Nie zdążyła jeszcze zapukać, gdy ze środka rozległ się straszliwy płacz, nieludzkie wręcz szlochanie. A po chwili pani Irmina usłyszała rozmowę. Padło w niej wprawdzie parę nieprzyzwoitych słów, które autor usunie ze względu na reputację swojej książki, lecz treść da się zasadniczo przytoczyć.

- Jak mogłeś, potworze?! Wiesz, jak długo wybierałem tę zastawę?! To było dzieło sztuki!
- Wiesz, gdzie sobie możesz taką sztukę wsadzić?!
- Jesteś grubiański! Beeeeee...
- Przestań ryczeć, bekso! Co robisz?! Zostaw mój laptop!
- A masz, potworzeeee!

Do uszu Irminy Bamber ponownie dobiegł huk, może nie tak efektowny jak uprzednio, ale okraszony jakimiś dodatkowymi trzaskami, których źródła pani Irmina nie była w stanie ustalić. Zresztą i tak nad wszystkim górował spazmatyczny płacz jednego z sąsiadów z utórującym mu nieustannie psem. Starszej pani zrobiło się żal łkającego mężczyzny i była



gotowa się wycofać. Ale gdy tylko się odwróciła, usłyszała kłaśnięcie, najprawdopodobniej w policzek, po którym płacz zdecydowanie się wzmógł.

– Nie, dosyć tego! – postanowiła na głos. – Muszę coś z tym zrobić!

Zapukała energicznie do drzwi sąsiadów, a nie usłyszawszy reakcji, zadzwoniła. Płacz przeszedł w ciche łkanie, które jednak systematycznie się do niej zbliżało. W końcu drzwi się uchyliły i zobaczyła zapłakanego sąsiada. Ten jednak, gdy tylko ją ujrzał, odwrócił się w głąb mieszkania i ryknął:

– Widzisz, potworze?! Sąsiadka przyszła w odwiedziny, a my nawet nie mamy jej na czym przyjąć, bo wytlukłeś za stawęęęęę. – Pretensja przeszła płynnie w kolejny atak płaczu.

– Spadaj, bekso! – wrzasnął drugi z sąsiadów, trzymając pod pachą rozpadającego się laptopa. – Muszę iść do serwisu, żeby odzyskać dane. A przez ciebie nie mam na czym pracować. Z czego będziemy żyć? Dopiero co zepsuła nam się pralka, za co kupimy nową?

– Znowu mi wypominasz, że mało zarabiam!

Kłóćący się sąsiedzi zdawali się w ogóle nie zauważać, że ktoś im się przysłuchuje. I być może zapomnieliby o starszej pani, gdyby nie to, że mężczyzna z laptopem musiał wyjść, a w drzwiach stała ona.

– Coś się stało? – zapytał zdziwiony jej widokiem.

– Właściwie tak – przyznała nieśmiało pani Irmina. – Panowie tak często się kłócą. Ja rozumiem, w związkach czasami zdarzają się nieporozumienia. Ale już wprost nie mogę wytrzymać tego ciągłego krzyku... – Pani Irmina, zauważywszy zdziwione miny swoich rozmówców, urwała i zapytała: – Czego panowie nie rozumieją?

– O co pani chodzi? Jesteśmy z Gabrysią razem już czternaście lat – oświadczył z dumą mężczyzna z laptopem.

– Ale te kłótnie... – zauważyła nieśmiało pani Irmina.

– Jakie kłótnie? – obruszył się Gabryśia i dodał szybko: – My się nigdy nie kłócimy, proszę pani, bo żyjemy w szczęśliwym związku!

Panująca wokół ciemność i duchota bardzo zdziwiły Tomka Procha. Wprawdzie od wielu dni był skrupowany i miał niemal stale zakneblowane usta, ale oddychać mógł raczej swobodnie. Teraz jednak było inaczej. Czuł zapach jakiejś gumy pomieszanej z tkaniną, a oczy, chociaż otwarte, nie były w stanie niczego dostrzec. Po chwili dziennikarz poczuł, że coś mu się mocno wpija w brzuch i miał wrażenie, że cały zaczął się kołysać. Pomyślał nawet, że jego oprawca musiał go poczęstować jakimś narkotykiem, gdyż inaczej jego zmysły nie mogły tak zwiariować. Dopiero kiedy usłyszał odgłos zamykanych drzwi, dotarła do niego znacznie gorsza prawda.

„O Boże, chce mnie zabić!” – wykrzyczałyby najchętniej, gdyby nie zakneblowane usta, dlatego na zewnątrz wydobył się tylko niezrozumiały bełkot. Pomyślał, że jego oprawca może mieć ułatwione zadanie, ponieważ przez ciągłe bujanie Tomkowi zrobiło się niedobrze i poczuł, że zaraz zwymiotuje. A to w połączeniu z kneblem mogło stanowić śmiertelne połączenie. Być może uchroniło go to, że w ostatnich dniach niezbyt wiele jadł, a ponadto zanim zawartość żołądka powędrowała ostatecznie do jego gardła, uczucie bujania ustało. Wtedy właśnie usłyszał:

– Może pomóc wytrześć ten dywan? – Głos, który wypowiedział te słowa, miał w sobie zdecydowaną nutę bezczelności.

– Dziękuję... Poradzę sobie – wysapał jego oprawca znajomym głosem. Mimo sporej krzepy musiał zmęczyć się niesieniem redaktora Procha owiniętego w dywan. – Wynoszę go tylko na chwilę. Mam zaraz darmową dezynsekcję, bo ostatnio pojawiło się sporo prusaków.

– Trzeba byłoby go daleko nieść. Nalegam na pomoc. Ponadto bardzo mnie interesuje jego zawartość. – Bezczelny głos nie ustępował.

– To już twój problem...

Redaktor Proch, zrozumiał, że to może być jego ostatnia szansa na przeżycie, dlatego mimo skrępowania i ogólne go zdrętwienia, spowodowanego wielodniowym bezruchem, wierznął z całych sił. Wprawdzie nie udało mu się zrzucić dywanu z ramienia tragarza, ale jego ruch został zauważony przez właściciela bezczelnego głosu.

– Coś nieźle się rzuca ten dywan. Chyba jednak pomogę go nieco ujarzmić...

– Zostaw go! Zabraniam! – krzyknął zrozpaczony oprawca, ale na właścicielu bezczelnego głosu nie zrobiło to wrażenia. Może dlatego, że uzyskał dodatkową pomoc. – Anka?! Co ty tu...

– Dawaj dywan!

Przebiegu dalszych zdarzeń redaktor Proch mógł się tylko domyślać, ponieważ obyły się bez słów. Huštało nim maksymalnie i w końcu jego żołądek nie wytrzymał. Na szczęście dla niego jego oczy ponownie mogły ujrzeć słońce, a przyjazna dłoń zdjęła mu w końcu knebel.

– Dzię... ku... ję... – wyszeptał słabym głosem.

Po chwili ręce i nogi redaktora zostały pozbawione więzów, ale on miał tylko siłę, żeby usiąść i się rozejrzeć. Obok niego stała redaktor Ania Sobania, a detektyw Przypadek, którego kojarzył trochę z wyglądu, trzymał teraz jego, do niedawna, dziewczynę za ręce od tyłu. Gdzieś w tle majaczyła jeszcze wielka sylwetka siwobrodego bezdomnego.

– Wszystko w porządku, Tomciu? – zapytała Ania.

– Tak. Chyba tak – poprawił się Proch i spojrzał oskarży cielsko na Bożenę.

– Ależ, Tomeczku, rozum! Ja to wszystko dla twojego dobra... – zaczęła się tłumaczyć panna Duńska.

– Dla mojego dobra trzymałaś mnie przez kilkanaście dni związanego?! Czyś ty oszalała?!

– To ty oszalałaś! Chciałaś walczyć z Gontarzem. I ze wszystkimi. A skąd wiesz, kto za nimi stoi?

– Mam to w nosie! Jestem w końcu dziennikarzem czy nie?

– Obawiam się, że w tej chwili nie robi pan już kariery w tym fachu. – Jacek pokiwał głową. – O ile w ogóle pozwolą panu pracować. Stał się pan wyjątkowo gorącym kartoflem. Nawet Ani, gdy próbowała pana odnaleźć, żeby zaprosić do swojego programu, po prostu go odebrali.

– Styszysz?! – ucieszyła się z niespodziewanej odsieczy panna Duńska. – Chciałam cię przed tym uchronić. Dlatego gdy przyszedłeś i powiedziałeś, że będziesz walczyć, to...

– Nie kłam!

– Mówi prawdę, panie Tomku. Wprawdzie ta prawda okazała się dla pana dość bolesna, ale niewątpliwie... prawdziwa.

– No widzisz, wybaczysz mi?

– Przecież chciałaś mnie zabić!

– Żartujesz? Tylko cię przenosiłam. W mieszkaniu pojawiły się prusaki. A zaraz potem przyszedł taki siwy z ofertą darmowej dezynsekcji. Z dofinansowaniem Unii Europejskiej dla poprawy warunków pracy dziennikarzy – tłumaczyła Duńska, a Proch spojrzał na detektywa.

– Wciąż mówisz prawdę – potwierdził Jacek. – To byli wynajęci przez nas fachowcy. Inaczej nie dalibyśmy rady udowodnić, że pan tu jest.

– A skąd pan wiedział, że akurat tu jestem? – zainteresował się Proch.

– Oprócz panny Duńskiej nasi ludzie obserwowali też pozostałych podejrzanych. Od nich dowiedzieliśmy się, że Gontarz był u Przerwały i Duńskiej w poszukiwaniu papierów na siebie. To go wykluczało. Gdyby pana zabił, nie szukałby tych materiałów, bo wiedziałby, że bez pana są właściwie bezużyteczne. Gdyby zaś pana porwał, zrobiłby wszystko, żeby wydusił z pana, gdzie są, a nie szukałby ich na oślep. Podejrzewał, że musiał pan stchórzyć, ale na wszelki wypadek chciał do nich dotrzeć, aby już nigdy nie mógł pan zrobić z nich użytku. Poza tym sądził, choć nie był tego pewien, że panna Duńska jest wciąż z panem i pana kryje. A to ostatecznie wykluczało go z grona podejrzanych. Z kolei Przerwała zniszczył dokumenty od pana dopiero po wizycie Gontarza. Gdyby miał cokolwiek wspólnego z pana morderstwem albo śmiercią, zrobiłby to dawno temu, żeby pozbyć się śladów.

– To drań! Gdy poszedłem do niego i oświadczyłem, że mam materiały i będę walczył, to się ucieszył. Łeb mu pękał od tego koszenia traw. Kazał mi od razu przywieźć papiery. Ale zanim wróciłem, on już pewnie dostał sporo telefonów w tej sprawie. Przyjął mnie jeszcze grzecznie, wziął dokumenty i powiedział, że nie puści tego u siebie. I że mi daje dzień urlopu na przemyślenie. Powiedziałem, gdzie może sobie wsadzić dzień urlopu. Wróciłem do domu i zastałem już Bożenę. A ona... – Urwał i spojrzał z wyrzutem na byłą dziewczynę, która spuściła wzrok.

– To już wiemy. Dała panu w łeb. – Jacek rozluźnił uścisk, bo panna Duńska przestała się wyrywać. – Kiedy byliśmy tu pierwszy raz, tak bała się naszej wizyty, że wyszła z domu w samych kapciach. Wtedy jeszcze myślałem, że może tak historycznie reaguje na sam fakt wiązania jej z panem. Ale potem wypchnęła również Gontarza i nie chciała go wypuścić za próg. Biorąc pod uwagę, że desperacko szukała kogoś na pańskie miejsce, by nie być z panem kojarzona, takie zachowanie było dziwne. Najwyraźniej panicznie się bała, że ktoś wejdzie do niej do domu i coś zobaczy. Do tego jeszcze jako jedyna zaprzeczała, że w ogóle chciał pan walczyć, tylko utrzymywała, że pan stchórzył. Zdziwiło mnie, że po wiedział pan o tym Przerwale i Gontarzowi, ale nie swojej dziewczynie. To wszystko były oczywiście tylko poszlaki, ale na tyle mocne, że postanowiliśmy zaryzykować i wypuścić do domu prusaki.

– Na co ty w ogóle liczyłaś? – Proch zwrócił się do panny Duńskiej.

– Sądzę, że to była zbrodnia w afekcie – wyjaśnił Jacek.

– Właśnie. Co miałam zrobić?! Telefon się urywał, wszyscy znajomi pytali, czy upadłeś na głowę. Byłam zrozpaczona. To wszystko przez ciebie! – Bożena skorzystała z tego, że uścisk Jacka osłabł, i chciała się rzucić z pięściami na byłego chłopaka, ale nagle obok niej wyrósł Siwobrody, chwycił ją mocno pod rękę i zadeklarował:

– Ja potrzymam.

– Myślę, że panna Duńska miała nadzieję, iż pan zmądrzeje. A jeśli nawet nie, to przez dwa, trzy tygodnie wszyscy o sprawie zapomną, a jej kariera nie legnie w gruzach. Potem pana wypuści. Pan się będzie wstydził przyznać, że dostał w głowę od dziewczyny, i nikomu nic nie powie. I z pewnością wywietrzeje to panu z głowy.

– Szczerze mówiąc, byłem już tego bliski. Bez materiałów, które zabrał Przerwała, niewiele mogłem.

– No widzisz?! – ucieszyła się Duńska. – Czyli dobrze zrobiłam?!

– Nie odzywaj się do mnie!

– I to jest dobra rada, proszę pani – potwierdził detektyw. – Pan Tomek już się pani na nic nie przyda, bo i tak jest skończony w zawodzie i będzie musiał poszukać innego zajęcia.

– Trudno. Z wykształcenie jestem prawnikiem. Dam sobie radę.

– Jeśli pan szuka uczciwej pracy w tym fachu, to też nie będzie łatwo. Choć nasi dobrzy znajomi – spojrzeli na Anię – właśnie otworzyli kancelarię, więc może coś się dla pana znajdzie.

– Dzięki. – Tomek z trudem się podniósł i podał Jackowi rękę. – Nie jest pan taki zły, jak o panu mówią.

– Wiem. Jestem znacznie gorszy.

## ROZDZIAŁ III

### *W samą północ*

– To potwór! – krzyczał do Szołtysika przerażony Fifka, próbując bezskutecznie wyswobodzić się z więzów. – Mówię ci, Przypadek to diabeł wcielony! Gdzie my jesteśmy?! Ratunku!

Bolko rozejrzał się po pomieszczeniu, które jako żywo przypominało więzienny loch. Grube, zwilgotniałe mury, zapach stęchlizny. Dopiero po chwili ze zdziwieniem stwierdził, że chociaż nie widzi żadnych okien ani źródeł światła, w pomieszczeniu jest na tyle jasno, że bez trudu rozpoznał twarz Fifki, a w rogu pomieszczenia, kilka metrów od nich, zauważył kształt przypominający kamerę.

– Uspokój się, cioto! – W zaistniałej sytuacji Szołtysik postanowił nie bawić się w konwenanse politycznej poprawności. – To niemożliwe, żeby chciał nas zabić.

– Niemożliwe?! To po co nas związał i tu trzyma?!

– Skąd wiesz, że to on? Ostatnie, co pamiętam, to jak jechaliśmy tu samochodem. A ty?

– To samo. Ale co z tego?! Dla niego nie ma rzeczy niemożliwych! Na pewno zastawił pułapkę na samochód, bo wiedział, po co jedziemy. Zastrzelił kierowcę, a nas porwał.

– Oszalałeś? Przypadek to fiut, ale nie jest mordercą.

– Po tym, co się stało, może być tak zły, że nie wiadomo.

– Nie musiałeś tej laski tak dociskać...

– A co miałem zrobić?! Wyglądało, że to nasza ostatnia szansa! A ona co?!

Bolko nie zdążył odpowiedzieć, bo zza drzwi pomieszczenia, w którym siedzieli, dobiegł straszliwy łoskot, jakby na podłogę upadła co najmniej szafa pancerna. Potem ktoś krzyknął przeraźliwie, a następnie mediatorzy usłyszeli straszliwy gwizd. A później szczekanie. Ktoś naśladował głos psa, choć można się było domyślić, że tym kimś był człowiek, bo szczek był daleki od perfekcji. Wystarczył jednak do tego, żeby przerazić Fifkę i Szołtysika, choć psi odgłos powoli oddalał się i oddalał.

W końcu zapadła cisza. Absolutna i nieprzenikniona. Ale nie taka, która koi zszargane nerwy i uspokaja, lecz taka, która zapowiada straszliwą burzę. Dlatego żadnego z nich nie zdiwiło, kiedy po kilku minutach tej ciszy drzwi się uchyliły, skrzypiąc przeraźliwie, a snop światła wydobył z półmroku pozostałą część pomieszczenia. Zresztą tylko na chwilę, bo w przerwie między framugą a drzwiami pojawiła się postać z nożem w ręku. I choć pod światło mediatorzy widzieli głównie jej kontury, nie mieli wątpliwości, kto do nich właśnie przyszedł.

– On nas zabije!!! Ratunku!!! – krzyczał panicznie Bartosz Fifka.

– Przestań wrzeszczeć! – Bolko usiłował zachować spokój, choć musiał przyznać, że przychodziło mu to z trudem.

– Prawda, że nas nie zabijesz? Jacuś, no co ty, sorry, jakbym wiedział, że ona tak... Zresztą to Fifka, nie ja! – Mediaktorzy byli tak przerażeni, że nie zauważyli nawet, iż kamera stojąca na statywie dała sygnał zielonym guziczkiem, że nagrywa. – Czemu nic nie mówisz?! Odezwij się!

Przypadek zrobił dwa kroki w kierunku związanych mediaktorów. Stał obok nich, a światło z korytarza oświetliło jeszcze wyraźniej jego twarz. Gdy ją zobaczyli, to nawet Bolek musiał przełknąć ślinę ze strachu. Nigdy bowiem nie widział detektywa w takim stanie. W jego oczach nie było nic z ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwego spojrzenia, z którego słychać. To nie był ten kpiarz, który był w stanie wszystko zbyć żartem. To był ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto bez wahania poderżnie im gardła.

– Jacuś, co ci się stało?!

Przypadek przypominał teraz zombi, pozbawioną uczuć bestię, należąca po trosze do świata żywych, a po trosze do zmarłych. W tej chwili jednak detektyw bardziej pasował do tego drugiego świata i dlatego Szołtysik z Fifką w tę nocną godzinę pomyśleli, że chyba stanął przed nimi straszliwy duch mściciel, który za chwilę wyrówna wszystkie rachunki. I nawet pani Felicja Przypadek, zobaczywszy w tej chwili swojego syna, nie miałaby cienia wątpliwości, że jest on zdolny do morderstwa.

– Dlaczego... miałbym was... nie zabić? – zapytał jakby zdziwiony Jacek.

– To nie nasza wina. To Klempuch nas zmusił! – krzyczał Fifka.

– Nikt was... nie zmuszał. – Słowa Jacka brzmiały jak wypowiedane przez robota, któremu popsuł się mechanizm mowy. – Robiliście to dla kasy.

– Nieprawda, my mamy misję. Musimy ludziom uświadamiać, co jest dobre, a co złe. – Bartosz plótł trzy po trzy i trudno było się zorientować, czy naprawdę w to wierzy, czy tylko chce zyskać parę sekund życia. – Bez nas ludzie by sobie nie poradzili, jedli niezdrową żywność, chodzili w skarpetach do sandałów i myśleli same głupie rzeczy! Przecież ludzie nie mogą myśleć to, co myślą!

– Panie Wiktorze, słyszał pan? – zapytał Przypadek w stronę szczeliny światła.

– O Boże, on tu jest? – Bolko przestraszył się nie na żarty.

– Jesteście w jego domu. On kazał mi was zabić.

– Nie, to nieprawda, nie zrobiłby tego. Nie, to niemożliwe, to jakiś żart! Panie Wiktorze!

– Ja nie chcę umierać w dwa tysiące jedenastym! Za dziesięć lat miałem przejść na emeryturę, nic nie robić i jeździć po całym świecie!

Jacek przykucał obok mediaktorów i patrzył to na jednego, to na drugiego, jakby wybierał, od którego ma zacząć. Szołtysik i Fifka czuli to wyraźnie i gdyby tylko mogli, krzyknęliby chórem: „Weź tego drugiego!” Ale w tej chwili z ich gardeł nie był w stanie wydobyć się żaden głos. A detektyw wciąż nie mógł się zdecydować. W końcu chrapliwym, zmęczonym głosem zapytał:

– Który pierwszy?

I kto by pomyślał, że ledwie trzy tygodnie wcześniej Bartosz Fifka był pewien, że dopiął swego. Program miał świetne wyniki oglądalności, a w eleganckim towarzystwie coraz energiczniej i bez ogródek mówiło się o bezcelowości mówienia prawdy. Przy kawiarnianych stolikach modnych lokali na dźwięk tego trącającego myszką słowa każdy wydymał pogardliwie wargi i popijając sojowe latte, rzucał do znajomych:

– Już dawno wam mówiłem, że prawda jest przereklamowana. Świat stałby w miejscu, gdyby ludzie mówili prawdę i tylko prawdę. Postęp zawsze wymaga okłamywania mas. – To ostatnie stwierdzenie spotykało się ze szczególnym entuzjazmem, bo nikt ze słuchających nie czuł się przedstawicielem owych mas za to talent do kłamania miał niewątpliwy.

Dlatego Bartek razem z Bolkiem znów byli najbardziej znaną parą prezenterów i jedynie gdzieś powracały echa dawnych plotek, że są parą nie tylko w studiu, lecz także poza nim. Wprawdzie Szoftysik był znany ze swych licznych romansów z paniami, ale niektórzy śmieli twierdzić, że to tylko zaślona dymna. Trudno też było powiedzieć, którego z nich te plotki bardziej oburzały. Czy Szoftysika, w którego realną męskość wątpiono, czy Fikę z powodu łączenia go z tym obleśnym satyrem!

„Ale to w sumie nieważne – myślał redaktor Bartek – liczą się sława i profity, które stały się naszym udziałem, dzięki programowi *Niepotrzebna prawda*”. Wprawdzie Bolko był nieco bardziej znany i miał lepiej płatne kontrakty reklamowe, lecz Bartosz też nie mógł narzekać. I był przekonany, że ta świetna passa będzie wciąż trwać. A może nawet dostanie jakiś dodatkowy impuls? Przecież niedługo zostanie wyemitowany najmocniejszy z programów, po którym ich najważniejszy klient na pewno nie będzie oszczędził profitów dla swych ulubionych panów redaktorów. To będzie taka kropka nad „i”, zwykła formalność. Przed chwilą nawet nagrali specjalny materiał dla promocji wewnętrznej TV Ekstra, w którym zapowiadali przełomowy odcinek *Niepotrzebnej prawdy*, który obnaży obłudę i za kłamanie pewnego znanego moralizatora i odkrywcy nikomu niepotrzebnych prawd.

– Co właściwie ta laska Urbanek będzie gadać o Przypadku? – zapytał Bolko, gdy kamery zostały wyłączone.

– O tym, jak ją namawiał do rozstania z mężem, obiecując ślub. Później zrobił jej bachora, namawiał na skrobankę, a potem ją wyrzucił z mieszkania.

– Powiedziała ci to?

– Żeby tylko. Ty wiesz, że on się modli przed każdym bara-bara, z góry przepraszając za grzechy? Normalny, regularny katotalib – emocjonował się Fifka.

– Wiesz, nie lubię gości, ale jakoś mi to do niego nie pasuje. Może ta laska się mści i kłamie?

– A kogo to obchodzi? Zresztą mam jeszcze Gabrysię. O, jest tu. – Bartosz radośnie zamachał do znajomego, który uśmiechnął się i podszedł do nich. – Gabrysia, poznaj Bolka.

– Cześć, miło mi. – Gabrysia delikatnie podała Szoftysikowi dłoń i ten w pierwszej chwili nie wiedział, czy ją uściśnąć, czy ucałować.

– Cześć – odpowiedział w końcu Bolko, potrząsając dłonią Gabrysi, który z zachwytem rozglądał się po studiu.

– Ale tu fajnie – powiedział mieszkaniec ulicy Koneckiej.

– I naprawdę będziemy mogli wystąpić u was z Romanem?

– Jasne.

– Super. Znajomych z La Conchity skręci z zazdrości – ucieszył się Gabrysia na samą myśl, jak zareagują goście popularnego lokalu wyłącznie dla panów. – A kiedy to nagranie? – zaniepokoił się chwilę potem. – Bo może zdążyć sobie jeszcze botoks zrobić?

– Tym się nie przejmuj, zrobimy ci dobry make-up i nie będzie ci pół zmarszczki widać – uspokoił go Fifka.

– O Boże, to tak je widać?! – Gabrysia naciągnął skórę policzków, żeby choć przez chwilę znikły znieawidzone oznaki upływu czasu.

– Nic nie widać...

– Ale sam powiedziałaś... – W oczach Gabrysi pojawiły się łzy, a Fifka musiał przyznać, że Roman musi mieć isticie anielską cierpliwość.

– Gabrysia, skup się i powiedz Bolkowi, jak ci się mieszka koło Przypadka.

– Tragicznie. Normalnie masakra. – Gabrysia otarł łzy, położył dłonie na sercu i zatrzepotał rżęsami. – A najgorsza to ta jego sąsiadka. Cały czas wtrącała się w sprawy moje i Romana. A to, że za głośno na siebie krzyczymy, a to, że sobie sprowadzamy wieczorem obcych ludzi. No wszystko jej normalnie przeszkadzało i wszystkiego się czepiała.

– Ale my pytamy o Przypadka.

– O, on to najgorszy jest. Przez niego się właśnie cały czas z Romanem kłóciłmy.

– Napuszczał was na siebie? – Fifka oblizał się z radości.

– Gorzej.

– To znaczy?

– W ogóle nas nie zauważał! – oświadczył dramatycznie Gabrysia.

– Ale co złego jest w niezauważaniu? – Bolko spojrział na Fifkę, który wydawał się owym niezauważaniem równie przerażony jak Gabrysia.

– Nie rozumiesz? – zdziwił się autentycznie Bartosz. – Ty to jednak jesteś do tyłu, Bolko. Przecież skoro ich nie zauważał, to znaczy, że ich wykluczał.

– I to jak strasznie wykluczał. – Na policzku Gabrysi pojawiła się łza. – Mieszkamy obok sławnego detektywa, a kiedy znajomi pytają, jaki on jest, to normalnie nic nie możemy powiedzieć. Aż nam ludzie przestali wierzyć, że jesteśmy jego sąsiadami.

– No przykro mi – powiedział lekko zdezorientowany Bol ko. – Ale przydałoby się, żeby zrobił jeszcze coś konkretnego. Boję się, że nasi widzowie nie wzruszą się takim wykluczeniem.

– Fakt. – Fifka pokiwał głową ze smutkiem. – Zniczulica ludzka jest ogromna. Trzeba, Gabryśka, czegoś konkretnego. Może cię potrącił na schodach? Albo rzucił za tobą jakiś homofobiczny tekst? Jakież: „Spadaj, cioto” czy coś w tym stylu?

– Chyba nie – odpowiedział po chwili Gabrysia.

– To nie wiesz, czy cię potrącił, czy nie? – zdziwił się Bolko.

– Może mnie potrącił. Ostatnio jakiś facet mnie potrącił na schodach. Ale powiedział przepaszam.

– Ale ten facet to był Przypadek? – upewnił się Szołtysik.

– Skąd ja mam wiedzieć?! – zdenerwował się Gabrysia. – W życiu nie widziałem tego Przypadka. To znaczy może go widziałem, ale mi się nie przedstawił.

– To rzeczywiście mamy świetną historię o tym, jak Jacuś przesładuje sąsiadów, w ogóle nie widząc ich na oczy. – Bolko wprawdzie ucieszyłby się jakimś materiałem na detektywa, ale tradycyjnie jeszcze bardziej cieszyło go niepowodzenie współprowadzącego.

– Jak zwykle jesteś mało kreatywny – fuknął Fifka. – Pomyśl, mieszka drzwi w drzwi z nimi od kilku miesięcy i nawet ich na oczy nie widział. Czyli ich unika, bo pewnie nimi pogardza. I tylko czasem robi coś złośliwie. – Spojrział na Gabrysię. – Nie stało się wam nic straszного ostatnio?

– Bo ja wiem? – Gabrysia szukał w pamięci odpowiedniego zdarzenia i wreszcie coś znalazł. – O, wiem! Pralka nam się zepsuła.

– No, to pewnie sprawa Przypadka – stwierdził rozbawiony Szołtysik, ale nagle zauważył, że jego żart nie rozbawił żadnego z panów. – Wy na serio? Przecież ja żartowałem.

– Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że z pewnych spraw się po prostu nie dowcipkuje – prychnął pogardliwie Fifka. – Nierówność, rasizm, ksenofobia i wykluczenie to zbyt poważne sprawy, żeby sobie z nich żartować! – dokończył uściekły.



– Okej, Bartuś, ale uspokój się. Strasznie nerwowy ostatnio jesteś. Chyba za dużo kreseczek, co? – zapytał złośliwie Szottysik.

– Gówno cię to obchodzi! – odparował Fifka.

– Ja tylko tak, dla dobra programu – uśmiechnął się Bolko.

– Dla dobra programu to się powinieneś nauczyć, co masz myśleć o pewnych rzeczach, a nie czepiać się duperele! – Bartek wrzasnął tak głośno, że Gabrysia podskoczyła, a pracownicy studia składający sprzęt spojrzeli w ich stronę.

Pan Jędrzej był dziś od rana w doskonałym humorze, jakiego od dawna nie pamiętali jego pracownicy. Ostatnim razem tak się uśmiechał i dowcipkował w angielskim stylu, gdy w kancelarii pracowali obaj panowie Sakowiczowie.

Albo jeszcze przed wyprowadzką Błażeja z rodzinnego domu. Potem jego humor już tylko systematycznie się pogarszał, by przez pewien czas sięgnąć nawet dna. W owym okresie próba dowcipu z jego strony przypominała żart z niemieckiej komedii przefiltrowanej przez wrażliwość hollywoodzkich scenarzystów piszących gagi o puszczaniu gazów. Choć oczywiście nie była tak prymitywna, a jedynie podobnie błyskotliwa.

Dziś jednak pan Jędrzej był nadzwyczaj łaskawy dla swoich pracowników, co automatycznie uzbudziło wśród nich plotki. Młoda mecenas Jagna, która po zakończeniu aplikacji miała odejść z kancelarii, a została tylko dlatego, że zwolniło się miejsce dla drugiego adwokata, powiedziała lekko zaniepokojona do sekretarki:

– Myśli pani, pani Doroto, że junior wraca do firmy?

– Jak znam panów Sakowiczów, nie jest to raczej możliwe.

– To czemu papa się tak cieszy?

– Tego nie wiem. Choć intuicyjnie czuję, że ma to rzeczywiście jakiś związek z juniorem.

Długoletnie doświadczenie sekretarskie w kancelarii Sakowicz & Sakowicz podpowiadało pani Dorocie słusznie. Znakomity humor pana Jędrzeja był związany z jego synem marnotrawnym, z którym miał się dziś spotkać po powrocie z pracy. Gdy tylko dowiedział się od żony, że Błażej chce się z nim widzieć w związku ze sprawą kamienicy przy ulicy Olbrachta, nie miał cienia wątpliwości, jak będzie wyglądać to spotkanie. Będzie to wiekopomna wiktoria, po której jego syn do końca życia będzie pamiętał, kto jest najlepszym adwokatem w historii rodu Sakowiczów.

Pan Jędrzej postanowił dziś wyjść nieco wcześniej niż zwykle, żeby przyjemnym spacerem jeszcze lepiej nastroić się przed rozmową. W domu poprosił żonę o herbatę z mleczkiem i popijając ją oraz bębniąc palcami w stół, czekał w salonie na swoją latorośl. Gdy syn przyszedł, Sakowicz senior nieco zesztyniał i tylko kiwnął Błażejowi na powitanie głową. Widząc, że żona nie ma zamiaru opuścić salonu, zauważył tylko:

– Nie wiem, kochanie, czy to najlepszy pomysł, żebyś nam towarzyszyła.

– Ale ja wiem, że to jedyna opcja, jaka wchodzi w grę – stwierdziła stanowczo pani Helena.

– Skoro tak uważasz – zgodził się z żoną jak zwykle pan Jędrzej.

– Tak uważam – potwierdziła swoje zdanie pani Helena, a skoro przyjęła już rolę arbitra w tym pojedynku, dała sygnał do rozpoczęcia walki, zwracając się do syna: – Mów, Błażeju.

– Tato, o ile mi wiadomo, pana Kęsonia w sprawie kamienicy przy Olbrachta do tej pory reprezentowała kancelaria mecenas Kellera. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego to się zmieniło?

– Najwyraźniej pan Kęsoń nie był zadowolony z ich obsługi i postanowił wynająć kogoś, kto pomoże mu wygrać tę sprawę.

– Zdajesz sobie sprawę, jaką reputację ma twój nowy klient?

– Synku, nie bądź dzieckiem. Już dawno przecież nauczyłem cię, że my adwokaci rzadko kiedy mamy luksus reprezentowania ludzi niewinnych bądź słusznie dochodzących swoich praw.

– Wydawało mi się jednak, że raczej unikasz reprezentowania osób, które dość jednoznacznie można określić jako kryminalistów, i do tej pory tacy się do kancelarii Sakowiczów nie zgłaszali. – Ta szpileczka została wbita dość celnie i dlatego pan Jędrzej uniósł się ukłutyj. Poruszyła się także pani Helena, czujna i pamiętająca o tym, że jej głównym zadaniem jest dopilnowanie, by jej najbliżsi nie okładali się w trakcie walki zbyt mocno.

– Zupełnie nie rozumiem, co pan mecenas... – Przy ostatnich słowach pan Jędrzej ironicznie wydał wargi i powtórzył je: – ...co pan mecenas ma na myśli.

– Być może taka decyzja pana Kęsonia jest raczej podyktowana tym, że jesteś moim ojcem, więc uważa on, że dzięki temu uzyska jakiś wpływ na mnie?

– A może pan mecenas tak bardzo boi się przegranej, że czyni tak niegodne uwagi? – zaatakował Jędrzej Sakowicz.

– To raczej pan mecenas mógłby się obawiać przegranej! – odpowiedział atakiem Błażej, a pani Helena uznała, że czas już wkroczyć.

– Dość tego! Skończcie z tymi prawniczymi uszczypliwościami i przejdźcie do rzeczy.

– Konkludując. Chciałbym cię prosić, tato, abys zrezygnował z reprezentowania pana Kęsonia. Taka sytuacja może szkodzić naszym kancelariom.

– Mojej nie zaszkodzi, bo ja tę sprawę wygram. A jeśli boisz się porażki...

– Jędrzej! – fuknęła pani Helena i pomyślała przerażona, że to dopiero przedsmak tego, co czeka jej bliskich na sali sądowej, jeśli się nie pogodzą.

– Daj spokój, mamo, potrafię się sam bronić. Uważam, że to ty powinieneś zrezygnować, nie dlatego, że się boję, ale dla tego, że to ja pierwszy zająłem się tą sprawą.

– Nie informując mnie o tym!

– Zająłem się nią na prośbę przyjaciela, pomagając mu. To jednak nieważne. Istotne jest to, że to może doprowadzić do nieporozumień w naszej rodzinie, czego chciałbym uniknąć. Kiedy cię już pokonam...

– Nawet tak nie żartuj!

– Nie żartuję, tato. Jestem świetny w tym, co robię, mam wsparcie znakomitej nowojorskiej kancelarii, a dzięki Jackowi zebrałem tyle dowodów, że nie dasz rady ze mną wygrać.

Pan Jędrzej wstał od stołu. Uniósł lewą dłoń. Zacisnął wszystkie palce z wyjątkiem małego i machając nim demonstracyjnie, powiedział:

– Wystarczy mi ten palec, żebyś poniósł klęskę.

Pani Irmina Bamber była naprawdę zaniepokojona. Nie, nie kłótliwymi sąsiadami, którzy chyba ostatnio jakby nieco przycichli. Choć niewykluczone również, że to starsza pani przywykła do ich wrzasków i zobojętniała na nie. Lecz nie mogła przejść obojętnie wobec pogarszającego się nastroju sąsiada spod dwunastki. Najpierw przestało się do niego uśmiechać zdjęcie byłej dziewczyny. Wprawdzie podobno czasem Przypadkowi udawało się wywołać uśmiech na fotografii, ale on sam był dość smutny i przybity. Na dodatek jej

wspaniałe słodkości, które uwielbiał detektyw, nie poprawiały mu humoru. Jadł je bez cienia emocji i zwykłych słów zachwytu. Po prostu się nimi opychał i tyle!

To prowadziło Irminę Bamber do podejrzeń, iż przyczyną Jackowego dołka są Bartosz Fifka i Bolko Szołtysik. A właściwie ich najbliższy program. Dokładnie jeden z gości tego programu.

– Słyszałeś? – zapytała pani Irmina, z przerażeniem wpatrując się w stojący przed Jackiem talerz prawie nietkniętych słodkości.

– Jeśli ma pani na myśli kolejną kłótnię naszych nowych sąsiadów, to owszem, słyszałem. Ale niestety nadal nie widziałem żadnego z nich. Chyba się będę musiał z nimi umówić na jakieś spotkanie. Albo nawet wpaść z tortem powitalnym.

– Ja nie o nich. O Małgosi – powiedziała miękko i ciepło pani Irmina, bo bardzo miło wspominała współlokatorkę Jacka sprzed roku. – Podobno ma wystąpić w tym programie Fifki i Szołtysika. Poza tym chodzą słuchy, że cały odcinek ma być poświęcony specjalnie tobie. Nawet jedna znajoma mi oświadczyła, iż z pewnych źródeł wie, że po tym programie skończy się ten cały Przypadek i wszyscy zobaczą, jaki jest naprawdę.

– Jaki jestem naprawdę? – Przypadek uśmiechnął się do własnych myśli. – To nawet może być ciekawe. Sam tego dokładnie nie wiem. Chętnie bym się dowiedział, jaki jestem naprawdę.

Teraz już pani Irmina nie była zaniepokojona. Była wprost przerażona. Ostatni raz widziała Jacka w tak dziwnym na stroju po tym, gdy Basia zaginęła. Jeszcze nie mieszkał obok, wpadał tylko do odziedziczonego po swojej babci lokalu i nadzorował jego remont. Wyglądał jednak tak, jakby było mu obojętne, czy pomalują mu ściany na różowo w zielone kropki czy na czerwono w żółte paski. Zupełnie jak w tej chwili!

– No cóż – odezwał się nagle po krótkiej chwili milczenia. – Skoro już ludzie mówią o tym programie, to widzę, że jego promocja zaczęła się na całego.

– Nie martwi cię to?

– To akurat niespecjalnie. Bardziej się boję o Małgosię.

– Boisz się, że powie coś niezwykłego? – zapytała i zaraz się poprawiła. – To znaczy... boisz się, że powie coś złego?

– Proszę zapytać wprost, czy boję się, że powie, iż jej dziecko to moje dziecko.

– A twoje? – zapytała z trudną do ukrycia nutką nadziei w głosie pani Irmina.

– Niestety, nie moje.

– Niestety?

– Tak. Gdyby było moje, pewnie już byłibyśmy małżeństwem. Może nawet szczęśliwym, kto wie.

– Chciałbyś mieć żonę?! – zdziwiła się nieprzyjemnie pani Irmina. Wprawdzie od dawna o niczym innym nie marzyła równie intensywnie, jak o wyswataniu swojego sąsiada, ale dotąd stawiał jej tak bohaterski opór, że była niemal pewna, iż postanowił zakończyć swe życie w stanie starokawalerskim.

– Czemu nie? Małgosia to wspaniała kobieta, na pewno mógłbym ją pokochać. Gdybyśmy jeszcze mieli dziecko, to byłby to piękny początek małżeństwa, czyż nie? – zapytał Przypadek, a pani Irmina, jak to się jej często zdarzało, nie wiedziała, czy kpi, czy mówi prawdę. – Ale obawiam się, że tego dziecka nigdy nie zobaczę.

– Tak bardzo jej załazłeś za skórę?

– Nie w tym rzecz, pani Irmino. Chodzi o to... – Urwał i zastanawiał się przez chwilę. – Nie wiem, jak to powiedzieć, nie mam pewności. Trudno mi ją do końca rozgrzyść.

– Chcesz powiedzieć, że w jej wypadku ludzie nie do końca są banalnie przewidywalni?

– Coś tak jakby. Zresztą staram się już w ogóle tak nie mówić i mam wrażenie, że częściej powtarzają te słowa inni niż ja. A z Małgosią tak właśnie jest, że nie jest dla mnie przewidywalna. To nawet fascynujące – przyznał.

– Czy ty się w niej aby troszkę już nie zadrzyłeś?

– A jeśli tak, to co?

– Nic. Dlaczego się boisz o Małgosię?

– Bo ona chyba nie wie, na co się decyduje. Myśli, że nie dotyczą jej pewne prawa. Ale nie mówmy już o niej.

– Jak sobie życzysz – zgodziła się, aczkolwiek niechętnie, pani Irmina, gdyż temat ją nadzwyczaj interesował. – A powiedz, czy Błażej już się oświadczył?

– Niestety, coś mu cały czas przeszkadza.

– Aha. A żadnych klientów w tej chwili nie masz?

– Nie mam nawet nastroju na rozwiązywanie kolejnych zagadek. Choć jedną udało mi się rozwikłać.

– Jaką?

– Chyba wiem, kim jest osoba, która mnie śledzi.

– Kim?

– Nie uwierzysz pani. Chociaż właściwie można się było tego spodziewać.

Pokoik podkomisarza Łosia i starszego aspiranta Smańki już od wielu dni miał w zasadzie tylko jednego lokatora. Młodszy stopniem nieustająco próbował zebrać informacje na temat aspirant Storczyk, co okazało się niełatwym zadaniem.

Pochodziła z Łodzi, nie miała zbyt wielu znajomych. A gdy próbował o coś zapytać, ci znajomi zwykle milkli, jakby się czegoś bali. Smańko oczywiście nie mówił wprost, o co mu chodzi, udawał, że prowadzi dochodzenie w jakiejś innej sprawie, ale jego też coraz bardziej zastanawiała enigmatyczność osób znajdujących Storczyk. W końcu ktoś mu wyjaśnił:

– Bo to pokrzywa jest. Lepiej nie dotykać.

Takie podejście sprawiało, że Smańko uzyskał tylko garść informacji. Również podkomisarz coraz bardziej tracił wiarę w pozytywny rezultat poszukiwań podwładnego. To jeszcze bardziej wzmagало jego przekonanie, że Storczyk ma coś do ukrycia.

„Bo skoro nie można nic na nią znaleźć, to może oznaczać, że dobrze się maskuje” – odpowiadało mu doświadczenie z minionych czasów. To samo doświadczenie odpowiadało mu również, że jeśli ktoś się tak dobrze maskuje, to znaczy, że ma niecie plany, i kto wie, jakie chore wizje mogą powstać w jego głowie. A te konstatacje pogłębiały frustrację podkomisarza.

Gdy więc tego ranka zobaczył na swoim biurku opasłą kartonową teczkę podpisaną „Aspirant sztabowa Agnieszka Storczyk”, pomyślał, że to musi być jakiś żart kolegów z pracy, którzy zorientowali się, jaką sprawę bada aktualnie podkomisarz. Jednak po jej otwarciu z coraz większym zdumieniem odkrywał, że zawiera ona mnóstwo szczegółów i dokumentów z życia pani policjant.

– No, no, spaliszcie się Smańko – mruknął pod nosem podkomisarz, łapczywie czytając i sprawdzając kolejne dokumenty. – Jak mu się udało zdobyć jej świadectwo maturalne? – zapytał sam siebie z niedowierzaniem, a usłyszawszy, że ktoś wchodzi do pokoiku, nie odrywając wzroku od dokumentów, powiedział głośno z podziwem: – Brawo, Smańko! Wybaczcie, że w was wątpiłem.

– Słusznie pan wątpił. Obawiam się, że pański kolega bezradnie próbuje teraz wytropić jakąkolwiek informację na mój temat, a i tak ma minimalne szanse, żeby dowiedzieć się dziesięciu procent tego, co ma pan w tej teczce. – Kpiący wyraz twarzy nie dawał spokoju podkomisarzowi od pierwszej chwili, gdy ujrzał aspirant Storczyk.

– Nie słyszałem, żeby pani pukała.

– Bo tak bardzo był pan zaczytany w moim życiorysie. Sama się dziwię czemu, bo tam w zasadzie same nudy. Nie planowałam żadnego zamachu terrorystycznego, nie miałam romansu ze znanym politykiem. Ot, grzeczna dziewczynka, która spokojnie chce przejść przez życie. Prawda?

– Rzeczywiście, zerknąłem na pani dokumenty. Rozumiem, że to pani je tu położyła? – stwierdził podkomisarz Łoś.

– Brawo, cóż za domyślność – zakpiła policjantka, ale podkomisarz postanowił to zignorować.

– Po co to pani zrobiła?

– Żeby oszczędzić panu kłopotu. Tyłu bandytów chodzi swobodnie po ulicach, a pan zajmuje się śledzeniem koleżanki. Nie szkoda panu czasu?

Podkomisarz Łoś mógł wprawdzie udać zdziwienie podejrzeniami aspirant Storczyk, ale uznał, że nie ma to większego sensu. Postawił na sprawdzoną po wielokroć protekcyjność i spojrzenie z góry na podwładnych, które często sprawiało, że zauważali oni własną małość.

– Pani ma niewłaściwy stosunek do przełożonych, pani aspirant.

– Pan chyba też. Pański przełożony wyraźnie zabronił panu interesować się mną. Chyba że się mylę, panie podkomisarzu?

– Rozumiem, że zaraz pobiegnie pani na skargę do inspektora Zasady.

– Nie mam takiego zamiaru ani zwyczaj.

– Czyżby? To skąd inspektor...

– Naprawdę się panu wydaje, że ktoś taki jak inspektor Zasada zaufał mi na słowo? Ja też jestem sprawdzana. I widać ten, kto sprawdza mnie, zauważył pańskiego kolegę. Teraz wprawdzie interesuje się pan mną nieco dyskretniej, ale i tak może pan mieć z tego powodu kłopoty. Dlatego dostarczyłam panu te materiały z czystej życzliwości. Przecież mogłabym teraz na przykład zabrać panu te wszystkie dokumenty. A jednak je zostawię, choć poproszę potem o zwrot, bo niektóre z nich mogą mi się przydać, jak już stracę pracę w policji, gdy zostanę zdemaskowana w wyniku pańskich intensywnych działań śledczych. A teraz pan wybaczy, panie podkomisarzu, muszę iść w teren, żeby Przypadek nie zrobił czegoś nieodpowiedniego.

Aspirant Storczyk wyszła, a podkomisarz Łoś nie patrzył już na dokumenty z zachwytem. Teraz w głowie policjanta odbywała się wewnętrzna walka. Przynajmniej tak uważała sama policjantka. Schodząc na parter komendy, patrzyła na stoper, który uruchomiła przed momentem.

„Na razie myśli, że mu podłożyłam jakieś lipne informacje. Trzydzieści sekund, zagląda do środka i zastanawia się, że może jednak nie, może da się coś znaleźć w tych dokumentach. Minuta. Gra jego męska ambicja, nie powinien polegać na takich informacjach, których nie zdobył sam, ale które ktoś podał mu na tacy. – Wyszła na dziedziniec. – Dwie minuty. Zaraz wychyli się z okna i krzyknie...”

– Pani aspirant! Zaraz to pani odniosę na biurko.

Storczyk machnęła tylko ręką przez ramię, nie patrząc nawet w stronę podkomisarza Łosia.

„A teraz biegnie do kserokopiarki – pomyślała – żeby w pięć minut wszystko sobie skserować. Boże, jacy ludzie są banalnie przewidywalni. Na szczęście i tak nic tam nie znajdzie. Bo tego, co mnie łączy z tym wrednym typem, nie ma w żadnych papierach”.

Podmiejska posiadłość Wiktora Klempucha była z ducha nieco bardziej klasyczna niż jego miejska rezydencja. Niewielkie elementy nowoczesności w postaci kilku współczesnych rzeźb zostały ze smakiem wkomponowane w parkową architekturę i nie raziły za bardzo swoją pretensjonalnością. Również wnętrze, mimo wiszącej na ścianach kolekcji obrazów z drugiej połowy wieku dwudziestego, zachowały klimat pierwszej połowy wieku dziewiętnastego, z którego pałacyk, czy może raczej większy dworek, pochodził.

Stojąc w oknie gabinetu na pierwszym piętrze, Wiktor Klempuch patrzył na osoby krzątające się po parku, strzegące bramy, i zastanawiał się, kogo wybrać do eksperymentu, który musiał przeprowadzić. A nie było to łatwe, bo wszyscy oni byli jego podwładnymi, słuchającymi go bez słowa sprzeciwu, on zaś potrzebował kogoś choć trochę krnąbrnego. W końcu zobaczył, że dyżur przy bramie pełni Aleks, z którym kiedyś zaczynał pracę w resorcie. Aleks nie był przesadnie bystry, dlatego nie zrobił kariery w nowych okolicznościach i musiał pracować jako ochroniarz. Klempuch zatrudnił go i uwielbiał wydawać mu różne dziwne polecenia, bo niemal czuł irytację tamtego, że musi być chłopcem na posyłki. Mówił do niego na przykład:

– Panie Aleksie, tu są kluczyki do mojego auta zaparkowanego na podjeździe. Proszę mi przynieść płytę, którą zostawiłem w odtwarzaczu. Ten odtwarzacz trochę się zacina, ale wierzę, że ktoś tak zdolny jak pan sobie z tym poradzi. Ta płyta jest dla mnie ważna, nie chciałbym jej stracić. – A gdy ochroniarz wręczał mu płytę, Klempuch dziękował wylewnie: – Dziękuję, panie Aleksie, bardzo się cieszę, że poradził pan sobie z tym trudnym zadaniem. – Mówiąc to, z radością czuł, jak w podwładnym się gotuje. Bo choć Aleks nie był przesadnie bystry, nie był też idiotą, i wiedział, że Klempuch robi pewne rzeczy, gdyż czerpie sporą satysfakcję z upokarzania innych.

Lichwiarz chwycił telefon na swoim biurku, nacisnął szóstkę, a gdy ktoś odebrał, rzekł:

– Proszę powiedzieć Aleksowi, żeby łaskawie przyszedł do mojego gabinetu.

Kiedy ochroniarz pojawił się przed lichwiarzem, ten miał już na dłoni odrobinę białego proszku, wysypanego z torebki dostarczonej mu przez kamieniarza. Gestem drugiej ręki poprosił, aby Aleks się zbliżył, a następnie nachylił. Gdy twarz podwładnego była już wystarczająco blisko, dmuchnął z całej siły. Biały pył poleciał w kierunku nozdrzy Aleksa. Ten zakrztusił się i zaczął łapczywie chwytać powietrze, co spowodowało, że jeszcze więcej proszku dostało się do jego płuc. Bez wątplenia był zaskoczony całą sytuacją i pewnie z tego powodu wyrwał mu się okrzyk, którego w żadnym wypadku nie powinien kierować w stronę swojego szefa:

– Co to jest, do cholery?!

– „Oddech diabła”. Pan wybaczy, panie Aleksie, ale musiałem użyć pana do pewnego eksperymentu.

– Ale... – próbował jeszcze nieśmiało zaprotestować ochroniarz, lecz jego twarz nagle zubożniała i tylko pokiywał głową. – Rozumiem, panie Wiktorze.

– Bardzo się cieszę – uśmiechnął się lichwiarz i chciał wydać kolejne polecenie w ramach eksperymentu, ale pomyślał, że można dodatkowo wykorzystać zaistniałą sytuację. – Proszę mi powiedzieć, co pan wie o okolicznościach usunięcia mnie z resortu?

– To przez tego pieska, którego pan ukraść jakimś gówniarzowi. To znaczy przez to, że dał się pan zdemaskować innemu smarkaczowi i spalił lokal kontaktowy. Szef się zdenerwował i kazał pana wywalić na placówkę w Szwajcarii, chociaż wtedy najlepsze lody kręciło się już w kraju.

– Niestety – stwierdził smutno Klempuch i choć to, co mówił Aleks, nie było dla niego niczym nowym, wracał do tego niechętnie i tylko z jednego powodu, który naprawdę go ciekawił. – A nikt mojego wyjazdu do Szwajcarii nie wiązał z akcją Hiacynt?

– Z Hiacyntem? Nikt. Przynajmniej nie słyszałem.

– To bardzo dobrze. A teraz... – Klempuch zawiesił głos i rozejrzał się po gabinecie. W końcu jego wzrok zatrzymał się na oknie. – A teraz proszę wyskoczyć przez okno. Tylko błagam, panie Aleksie, proszę oszczędzić *Nenufary pływające w niebie*. Jest to bardzo droga i delikatna rzeźba, byłbym niepokieszony, gdyby pan ją zniszczył.

– Oczywiście, panie Wiktorze, skoczę dalej. To wszystko?

– Proszę powiedzieć jeszcze szefowi zmiany, że ma pan dzisiaj wolne i niech ktoś odwiezie pana do domu, panie Aleksie.

– Bardzo dziękuję.

Aleks otworzył okno, stanął na parapecie i wyskoczył. Zgodnie z obietnicą udało mu się wylądować za rzeźbą. Klempuch sprawdził tylko, czy męczyzna niczego sobie nie połamał, bo piętro w jego posiadłości było dość wysokie i ochroniarz wykonał skok z ponad pięciu metrów. Na szczęście podniósł się niemal od razu, otrząpął z liści i pomaszerował do bramy. A lichwiarz z zadowoleniem stwierdził, że „oddech diabła” ma odpowiednią moc.

Jacek czuł, że czas żartów się skończył i zbliża się jakaś ostateczna rozgrywka. Ktoś ją zaplanował dużo wcześniej i konsekwentnie do niej dążył. Nie dawał mu przy tym żadnych szans, żeby wymigać się z tego pojedynku, na który detektyw nie miał najmniejszej ochoty.

Nie był żadnym Rycerzem Prawdy, który musi pójść z honorem w imię zasad. Lubił życie, chciał się nim cieszyć jak najdłużej. Zabawa w detektywa, którą zaczął przed dwoma laty, wydawała mu się przez pewien czas całkiem niezłym sposobem na to. Narażał się wielu ludziom, ale do tego był przyzwyczajony od dzieciństwa. Zwiększyła się tylko skala i niebezpieczeństwo z tym związane. Choć gdyby na początku przypuszczał, że może być ono tak wielkie, być może nie brnąłby w to.

A może wręcz przeciwnie, brnąłby jeszcze bardziej konsekwentnie? Bo co miał do stracenia? Przecież wciąż żył tak, jakby jutro niewiele go obchodziło. Dbał wprawdzie, żeby przyszłość była zabezpieczona od strony finansowej, ale tylko po to, by móc prowadzić beztroskie życie. Poważne plany, jakie kiedyś miał, pochłonęła himalajska lawina, pod którą najprawdopodobniej zasnęła Basia. Jego pierwsza, największa miłość. Jedyna, dla której miał ochotę robić plany.

Potem zamknął się w swoim kokonie. Były takie, które uważały, że udało im się wdrzeć do środka. Ba, niektóre nawet stawiały sobie za punkt honoru znalezienie się tam. Tym większa była ich wściekłość, gdy Przypadek pokazywał im, że cały czas są na zewnątrz, że wciąż tak naprawdę nie mają do niego dostępu. Bo w środku wciąż była tylko Basia. Reprezentowana przez zdjęcie na półce, które pilnowało zazdrośnie swojego terytorium.

Aż w końcu coś drgnęło. Niezbyt silnie, ale jednak. Małgosia Urbanek. Może gdyby bardziej się postarał? Może gdyby w ogóle staranie przyszło mu do głowy. Ale dopiero po wszystkim zrozumiał, że prawdopodobnie coś przegapił.

A teraz zrobił rachunek sumienia. I pomyślał, że musi się pójść wypowiadać. W konfesjonale bywał regularnie, ale do tej pory spowiadał się z bieżących grzechów przed mszą. Dzisiaj pomyślał, że czas wypowiadać się ze swojego życia. Bo może to już ostatnia szansa? Dlatego nie może zrobić tego tam, gdzie czynił to co miesiąc, czyli w jego parafialnym kościele na Rakowieckiej.

Pomyślał, że warto się wybrać do kanonika Harnasia, które mu kiedyś pomógł w odzyskaniu syna i w pozyskaniu wnuka.

Bardzo polubił tego wielkiego, zwałistego mężczyznę słynącego ze swoich kazań. Miał wrażenie, że właśnie on może dać mu odpowiedź wykraczającą daleko poza ramy zwykłej wizyty w konfesjonale.

Kanonik wysłuchał jego spowiedzi i powiedział:

– Ktoś mógłby pomyśleć, że twoje grzechy nie są ciężkie. Ale ja widzę w nich sporo zła i miejsca na poprawę. Przede wszystkim grzeszysz pychą. Choć także pewną rozwiązłością. Prawda nie jest twoim celem, traktujesz ją trochę jak zabawkę.

– Wiem, proszę księdza. Taki mam charakter.

– Zbyt łatwo zasłaniasz się swoim charakterem, synu. Jesteś dobrym człowiekiem, choć grzesznym. Ale bycie dobrym człowiekiem nie zwalnia nas z walki z naszą grzeszną naturą.

– Co mam zrobić, proszę księdza?

– Bóg obdarzył nas wolną wolą, synu. Możesz zrobić wszystko, na co masz ochotę. Możesz wciąż grzeszyć, a możesz też wejść na drogę dobrego chrześcijanina. Ale obawiam się, że nie jesteś jeszcze na to gotów.

– Dlaczego ksiądz tak myśli?

– Bo nie czuję w tobie chęci poprawy.

– Skąd ksiądz to wie?

– Sam mówisz czasem, że ludzie są banalnie przewidywalni. A ja nie mogę się pozbyć wrażenia, że przyszedłeś ze mną po prostu pogadać. Podzielić się wątpliwościami. Że nie ma w tobie żalu. Jest strach. Strach to zły doradca. Może nas sprowadzić na manowce i spowodować, że staniemy się złymi ludźmi zdolnymi do wszystkiego.

Na sali studia telewizyjnego, gdzie nagrywano kolejny odcinek programu *Niepotrzebna prawda*, zdecydowanie panowała żądza mordy. Animatorzy publiczności mieli w rękach wyłącznie tablice, które wyrażały trzy rodzaje emocji: negatywne, bardzo negatywne i skrajnie negatywne. Pierwsze dwie kategorie były zresztą i tak rzadko używane na początku, kiedy widzowie mogli obejrzeć na ekranach materiał o detektywie i o ludziach, których skrzywdził, usadzając ich do więzienia. Znaleźli się w nim znani i powszechnie szanowani obywatele, którzy tak naprawdę nie byli winni. Oni tylko chcieli komuś pomóc, ukarać za chciwość, skrócić męki i cierpienia doczesnego życia. Niestety, prawo karne było wciąż niedoskonałe i nie robiło wyjątków dla takich jak oni. A przecież należało oczekiwać, że ich wyjątkowość powinna znosić przestępcze znamiona jakichkolwiek ich działań. I z pewnością nie odpowiedzialiby za swoje czyny, gdyby na ich drodze nie stanął ten zbrodniarz, Przypadek.

Atmosfera powoli gęstniała. Gdy chwilę później dwaj mężczyźni pozostający w szczęśliwym związku wyznawali, jak bardzo czuli się wykluczani przez Przypadek, emocje sięgnęły zenitu i gdyby tylko detektyw znalazł się na sali, bez cienia wątpliwości zostałby rozszarpany przez wściekły tłum widzów. Reżyser pękał z dumy, choć wiedział, że nie osiągnął szczytu swoich możliwości. Pozostawał jeszcze wielki finał.



Rozpoczął go Bartosz Fifka, który zapowiedział kolejną atrakcję programu. Małgosia Urbanek wkroczyła w krąg światła, przywitała ją huragan braw. Weszła na dość wysoki podest, na którym siedzieli prowadzący, przywitała się z nimi i zajęła miejsce dla gościa.

– Pani Małgosiu – rozpoczął dyskusję Bartosz. – Skoro już pokrótce panią przedstawiiliśmy naszym widzom, proszę powiedzieć, co panią łączyło z panem Przypadkiem.

– Mieszkałam z nim przez kilka miesięcy. Akurat wtedy rozstawałam się z moim mężem, który okazało się, że nie interesuje się kobietami. Jacek pomagał mi to udowodnić, dzięki czemu mogłam unieważnić moje kościelne małżeństwo.

– *À propos* kościelne. Czy to prawda, że on był dewotem, który się modlił przed każdym stosunkiem? – Bartosz roześmiał się na samą myśl.

– Trudno mi powiedzieć, bo tylko raz zbliżyliśmy się do siebie – oświadczyła spokojnie Małgosia, na co redaktor Fifka, uśmiechając się nerwowo, zaniemówił, ale ponieważ słowa byłej modelki bardzo zainteresowały Bolka Szołtysika, to on włączył się teraz do dyskusji:

– Chce nam pani umówić, że podczas kilkumiesięcznego mieszkania razem... tylko raz?

– Tak.

– Sorry, droga pani, ale biorąc pod uwagę pani wygląd i znając jego zwyczaje, trudno mi w to uwierzyć. – Szołtysik był w autentycznym szoku.

– Mnie też. – Małgosia uśmiechnęła się pogodnie, a cała publiczność zgromadzona w studiu się roześmiała, mimo że animujący ją ludzie nie podnieśli do góry stosownego napisu. Nie mieli zresztą nawet odpowiednich transparentów, bo śmiech nie został wpisany do scenariusza tego odcinka. Publiczność umilkła jednak zaraz, gdy animatorzy, popędzani sykiem niezadowolonego reżysera, zaczęli uciszać widzów. – Ale rzeczywiście, to był tylko raz.

– I to był ten raz, kiedy zostałam ojcem pani dziecka?! – upewnił się, odzyskawszy głos, Fifka.

– Nie. Ojcem mojego dziecka jest kto inny.

– Jak to?! Przecież powiedziałaś mi, że to on! – wykrzyknął zdenerwowany Fifka.

– Wydawało ci się. Mówiłam tylko, że chciałam, aby Jacek był ojcem. Chrzestnym. Mam nadzieję, że mi nie odmówi. To świetny facet, idealny kandydat na ojca. Chrzestnego oczywiście. A jako osoba wierząca uważam, że powinnam znaleźć kogoś bardzo odpowiedniego do tego. – Małgosia zdawała się świetnie bawić zdumieniem swoich słuchaczy.

– I co, masz zamiar wystawić mu tutaj laurkę?!

– Możemy o nim w ogóle nie rozmawiać. Możemy porozmawiać o świecie mody. O obłudzie i hipokryzji różnych kreatorów, którzy stroje dla kobiet projektują w rozmiarach idealnych dla swoich kochanków.

– A co mnie to, do jasnej cholery, obchodzi?! Wyłączyć kamery! – Fifka podniósł się ze swojego miejsca, a Szołtysik spojrzał na niego zdziwiony, bo tak groźnego i męskiego do tej pory go nie widział. Wprawdzie ostatnio zdarzyło mu się parę nerwowych wybuchów, lecz przecież słynął ze swej kultury osobistej i ogłady, spokoju i opanowania. Był nawet w przeszłości twórcą wielu programów, w których rozpytywał się wręcz nad egzystencjalnymi rozkoszami duszy, a spokój i równowagę uzyskiwał w trakcie licznych buddyjskich medytacji. – Myślisz, że co, że jaja sobie ze mnie będziesz robić?! Dobrze wiesz, po co cię tu zaprosiłem. Jak nie chciałaś przychodzić, to trzeba się było, babsztylu, zamknąć ze swoim bachorem w domu i nosa nie wyściubiać na zewnątrz.

– Bartosz, uspokój się. – Usłyszał Fifka w słuchawce, ale nie miał zamiaru słuchać reżysera. Ten program był dla niego go wielkim powrotem, wielką szansą, którą ktoś mu wyraźnie psuł. A on nie mógł na to pozwolić. Zwłaszcza że ostatnio i tak musiał już

ograniczać swoje ulubione kreseczki, co dodatkowo wprawiało jego duszę w nerwowe drżenie.

– Nie uspokoję się! Nienawidzę takich raszpli! – Zbliżył twarz do twarzy Małgosi tak bardzo, że się przestraszyła. – Jesteś taką samą hipokrytką jak on! Wierząca mi się znalazła. Mieszka z facetem na kocią łapę przez kilka miesięcy, a potem jeszcze się puszcza z innym i sobira bachora robi!

– Weź coś na uspokojenie – poradziła była modelka i poczuła, że robi jej się duszno.

Małgosia próbowała wstać, ale Fifka stał bardzo blisko niej, niemal się nad nią nachylał. Musiała więc odsunąć nieco swój fotel. Fotel stał na skraju podestu i gdy jedna jego nóżka znalazła się poza jego obrębem, pociągnął za sobą eksmodelkę. Upadająca Małgosia uderzyła się w głowę i przestała się ruszać.

Powstało wielkie zamieszanie. Reżyser był przerażony i jeszcze próbował, przez animatorów, zapanować nad tłumem. Lecz nawet jego podwładni wydawali się go nie słuchać. Nikt go nie słuchał. Spełnił się czarny sen mediów o publiczności, która postanowiła zrobić to, na co ma ochotę, a nie to, co nakazują jej dyktatorzy. Przerażeni ludzie wstali z miejsc i zaczęli uciekać gdzie popadnie, traktując wszystko po drodze. Nikt już nad niczym nie panował i trudno powiedzieć, czy siniaki, które wieczorem zauważył na swoim ciele Fifka, były wynikiem panującego chaosu, czy tego, że kilku mężczyzn znajdujących się w studiu postanowiło przy okazji nauczyć go dobrych manier.

„Teraz albo nigdy. Teraz albo nigdy!” – powtarzał sobie w myślach mecenas Sakowicz junior. Mocniej ścisnął pudełeczko z pierścionkiem i czekał, aż jego bogini opuści wreszcie łazienkę, a on będzie się mógł w końcu jej oświadczyć.

„Do trzech razy sztuka” – dodał jeszcze dla otuchy, choć poprzednie dwie próby nie napawały optymizmem.

Za pierwszym razem wymyślił restaurację, romantyczną i przytulną. Z poufnych źródeł dowiedział się, że lokal ten słynie z dużej liczby przyjętych oświadczeń, co było jakoby zastugą szefa kuchni przyprawiającego hojnie przyrządzane potrawy lubczykiem. Po pysznej kolacji już był bliski wyjęcia pierścionka, ale wtedy, trzy stoliki dalej, ktoś zrobił to pierwszemu. Usłyszał piskliwe „tak”, ktoś nawet zaklaskał i wszystko wyglądało jak w amerykańskim filmie, dopóki nie odezwała się redaktor Sobania.

– Boże, chyba zaraz zwymiotuję.

– Niedobrze ci, kochanie? – zaniepokoił się Błażej.

– No jasne. Spójrz na nich. Ona udaje zaskoczoną, a on romantyka. A tylko grają. Gdyby mnie tak ktoś kiedyś zrobił, chyba bym go zabiła. Ale najpierw bym zwymiotowała.

Błażej Sakowicz uznał tę próbę za nieudaną i zastanawiał się, jak powinno wyglądać kolejne podejście. Po szczegółowym przemyśleniu problemu uznał, że restauracja nie była najlepszym pomysłem, bo miała w sobie element publiczności i pewnego przymusu przyjęcia oświadczenia, przed czym ostrzegała go Marzena. Dlatego musi postawić na większą intymność. Pomyślał więc o kolacji we dwoje, którą przyrządzi w swoim mieszkaniu. W pierwszej chwili był gotów nawet nauczyć się gotować. Doszedł jednak do wniosku, że czasu jest za mało, więc zamówił catering. Kolacja miała być przecież i tak wstępem, bo część zasadnicza miała się odbyć w trakcie pobytu w łóżku, a tu nie musiał pobierać żadnych lekcji i nie na darmo cieszył się wciąż sławą Młodego Boga Seksu.

Tym razem Błażej starał się być bardziej romantyczny i prawie już wyjął pierścionek. Wtedy jednak Ania usiadła na łóżku i powiedziała wściekła:

– Kotek, przecież wiesz, co myślę o romantyzmie? Albo będzie jak dawniej, albo koniec z nami.

Było więc prawie jak dawniej i po raz kolejny oświadczyzny nie doszły do skutku. Błażej postanowił więc nic nie planować, a zaręczynowy pierścionek nosił cały czas w kieszeni. Na wszelki wypadek, gdyby się trafiła jakaś dobra okazja do oświadczyzny. Taka jednak wciąż nie nadchodziła. Redaktor Sobani stale nie dopisywał humor i po każdym spotkaniu mecenas Sakowicz tłumaczył sobie, że to nie był najlepszy moment na oświadczyzny. A czas biegł nieubłaganie i zostawało go Błażejowi coraz mniej.

Aż dzisiaj niemal zdarzył się cud. Ania była cały czas uśmiechnięta, zadowolona, zaśmiała się z kilku jego żartów. Takiej chwili nie wolno było przegapić! Kiedy więc wyszła na chwilę do toalety, Błażej sięgnął po pierścionek i powtarzał sobie: „Teraz albo nigdy”

– Dlaczego tak dziwnie siedzisz? – zapytała Sobania, gasząc światło w łazience.

„Teraz albo nigdy. Teraz albo nigdy” – powtarzał wciąż w myślach Błażej. Chciał coś powiedzieć, lecz nie był w stanie. Powieka drżała mu nerwowo, co starał się ze wszystkich sił opanować. Chyba mu się to nawet udało, bo Ania zapytała o coś zupełnie innego:

– Czemu nic nie mówisz?

„Teraz albo nigdy. Teraz albo nigdy” – powtarzał ciągle w myślach Sakowicz junior. Serce zaczęło mu kołatać ze wszystkich sił i przez moment zastanawiał się, czy to aby nie zawał. Na początku uznał, że to niemożliwe, bo przecież jest zbyt młody, pali tylko fajkę, alkohol pije w rozsądnych ilościach. A potem przypomniał sobie, że jakiś jego znajomy ze studiów niedawno zmarł w ten sposób, bo zawały w tym wieku są zwykle śmiertelne. To przeraziło go jeszcze bardziej.

– Błażej, co ci się stało?

„Teraz albo nigdy. Teraz albo nigdy” – powtarzał nadal w myślach młody mecenas. Serce wciąż waliło, ale nie przyspieszało, co można było uznać za dobry omen. Za to złym znakiem było to, że zdrętwiała mu ręka, którą trzymał na pudełku z pierścionkiem. Za nic w świecie nie pozwalała się wyrwać z kieszeni, a gdy tylko uniosła się na kilka centymetrów, upuściła pudełko.

– Powiesz coś w końcu czy nie? – Redaktor Sobania była już chyba zdenerwowana nie na żarty, co nie dodawało odwagi Błażejowi.

„Teraz albo nigdy. Teraz albo nigdy” – powtarzał bez przerwy w myślach Sakowicz junior. Palce dłoni opuszczonej niżej chwyciły pudełko ponownie. Ręka pozwoliła się tym razem unieść w górę, choć młody mecenas wciąż wewnętrznie drżał o to, czy w najważniejszym momencie nie odmówi posłuszeństwa.

– Aha, pewnie chcesz, żebym wyszła, tylko boisz się mi to powiedzieć? Bez sensu, Błażej. Jesteśmy nowoczesnym związkiem bez zobowiązań, możesz mi śmiało mówić takie rzeczy. Nie obrażę się. – Nachyliła się nad mecenasem Sakowiczem i pocałowała go w policzek. – To pa, kotku, lecę już.

Drzwi za redaktorem Sobanią dawno się już zamknęły. Nie słychać już było nawet kroków na schodach. Panowała głucha nocna cisza.

Lecz w głowie Błażeja wciąż brzmiało: „Teraz albo nigdy. Teraz albo nigdy...”

Małgosia już wcześniej widziała to miejsce. Białe, sterylne, obce. Zobaczyła je tylko przez mgnienie oka, zapisując gdzieś w pamięci twarz przystojnego lekarza, który próbował się do niej uśmiechnąć. Teraz jednak go tu nie było. Był za to ktoś inny.

– Jacek? Co tu robisz...

– W sali obok leży mój klient, Kostrzewa. Pomyślałem, że zajrzę... – Widząc zmartwioną minę Małgosi, dodał od razu: – Przecież wiesz, że żartuję.

- Nie mam siły na żarty. To co tu robisz?
- Martwiłem się o ciebie.
- Naprawdę? – Małgosia próbowała się podnieść.
- Leż. Lekarz powiedział, że powinnaś leżeć i się nie denerwować.
- Głowa mnie boli.
- Wiem. Masz krwiaka. Uderzyłaś się, kiedy spadałaś z podestu u Fiki i Szołtysika.
- Poszłam tam w końcu?
- Nic nie pamiętasz?
- Nie. Ostatnie, co pamiętam, to kiedy wychodziłam z mieszkania i zastanawiałam się, czy powinnam tam pójść i powiedzieć, co myślę.
- Po co zrobiłaś to wszystko?
- Spłacałam dług wdzięczności. Za to, co dla mnie zrobiłeś.
- A dziecko?
- Dobrze wiesz, że go nie ma. Wymyśliłam je. Trochę niechący. Z nerwów przytyłam parę kilo i jakiś znajomy zapytał, czy jestem w ciąży. Trochę żartem odpowiedziałam, że tak, jasne, jestem. I wkrótce większość znajomych mówiła, że jestem w ciąży, zaczęły nawet o tym pisać gazety. Postanowiłam nie zaprzeczać, bo byłam ciekawa, czy zadzwonisz. Ale telefon milczał.
- Zastanawiałem się, czy to prawda. Brałem pod uwagę, że to mała prowokacja...
- Ale nie byłeś pewien?
- Nie. Zwłaszcza że pojawiły się plotki, iż kogoś masz. Miałem prawo myśleć, że postanowiłaś błyskawicznie ułożyć sobie życie. To się czasem zdarza po dramatycznych rozstaniach.
- Wydawało mi się, że nasze nie było dramatyczne.
- Dobrze wiesz, że chodzi mi o twojego męża.
- A ty równie dobrze wiesz, że gdy wyprowadzałam się tamtego ranka od ciebie, on mnie już nie obchodził.
- Ale przyznasz, że miałem prawo wierzyć w to, że ten ktoś, z kim postanowiłaś sobie ułożyć życie, istnieje naprawdę?
- Miałeś prawo – przyznała niechętnie Małgosia po chwili wahania.
- Jeśliby tak rzeczywiście było, to gdybym się odezwał, tylko bym wszystko skomplikował. Ale dlaczego ciągnęłaś to tak długo? I w dodatku rzekomo urodziłaś...
- Mówiłam, spłacałam dług. Od wiosny było głośno, że Szołtysik z Fiką szukają na ciebie haków i są gotowi za to zapłacić każde pieniądze. Dlatego wspomniałam wspólnemu znajomemu, że to dziecko jest pewnie twoje. Było kwestią czasu, kiedy do mnie przyjdą. Postanowiłam im obiecać, że powiem każdą głupotę, by już nie musieli szukać dalej. W ten sposób chciałam pokrzyżować im plany. – Małgosia próbowała się uśmiechnąć, ale tylko skrzywiła się z bólu. – A właśnie, skąd wiesz, co się stało w programie? Chyba go nie wyemitowali?
- Potęga Internetu. Ktoś nie wyłączył kamery i puścił nagranie w sieci. Co miałaś zamiar robić po tym programie? Zamknęłaś sobie nim w Polsce wszystkie drzwi.
- Kilka miesięcy temu wylosowałam zieloną kartę. Mam rodzinę w Chicago, załatwiliby mi jakąś pracę na początek. A potem mógłbyś przylecieć do mnie, bo ty też coraz bardziej nie masz czego tutaj szukać.
- Cieszę się, że wraca ci poczucie humoru. To dobry znak.
- A jeśli nie żartowałam?

- To porozmawiamy na ten temat poważnie, gdy stąd wyjdiesz - obiecał Jacek, a Małgosia poczuła, że mówi serio. Odetchnęła z ulgą i pomyślała, że warto było się narażać tym wszystkim, którzy wściekli się na nią za ostatni wyskok. - Ale najpierw trzeba pomyśleć, gdzie cię ukryć...

- Mówiłam już, lecę do Stanów...

- Naprawdę wydaje ci się, że tam będziesz bezpieczna? - Przypadek spojrzął na Małgosię z taką troską, że nagle poczuła ukłucie strachu, a całe zadowolenie sprzed chwili się ulotniło, dlatego wołała zmienić temat.

- Jak się tu znalazłam?

- Bardzo zdenerwowałaś Fifikę. Wrzeszczał na ciebie tak, że spadłaś z podestu. Ale nie martw się, dostanie to, na co za służył. - Małgosia po raz pierwszy zobaczyła w spojrzeniu Jacka coś innego poza ironiczno-dobrotliwą-pobłażliwością. Coś tak zimnego, że przeszedł ją dreszcz.

- Co chcesz zrobić?

- Przekroczyli granicę, której nie powinni byli przekraczać.

- Opuść sobie. Nie warto z nimi zadzierać.

- I kto to mówi?

- To był tylko jeden prztyczek. Ty wyglądasz, jakbyś szedł na wojnę.

- Coś w tym jest - przyznał Jacek.

- Najlepiej ich omijać szerokim łukiem.

- Nie mogę, Małgosiu. To nic nie da... Małgosiu? Małgosia, słyszysz mnie?! Co się dzieje?!

Dźwięk sygnału alarmowego przeszył szpitalne korytarze. Lekarze wybiegli ze swoich pokoi i ruszyli na salę, gdzie leżała Małgosia Urbanek. Biegli bardzo szybko, tak jak zawsze, gdy w grę wchodzi ludzkie życie. Robili wszystko, co się dało, żeby ją uratować. Naprawdę, wszystko.

Ale czasem wszystko to zdecydowanie za mało.

Restauracyjka Amore uchodziła za najlepszą francuską knajpkę w Warszawie. Nie była wprawdzie lokalem głośnym i popularnym, za to prawdziwi frankofile uważali wręcz, że nie wypada bywać gdzie indziej. Wśród mebli stylizowanych na *empire*, z przeszklonym tarasem odślanającym widok na maleńki, ale gustowny ogród, z prawdziwie francuską muzyką w tle, właściwie chciało się od razu płynnie przejść na język Moliere, gdyż polski wydawał się tu naprawdę nieodpowiedni.

Pani Felicja bardzo lubiła to miejsce i kilka razy jeszcze w trakcie małżeństwa wyciągnęła tu pana Fryderyka. Tym razem to on zaprosił ją tutaj i choć w pierwszej, drugiej oraz trzeciej chwili odmówiła, eksmąż w końcu przekonał ją dość rozsądnymi argumentami o pozostawaniu w przyjaźni, z czego bez wątpienia zadowolony byłby ich syn. Pani Felicja wiedziała, że ojciec Jacka ma rację, i dlatego siedziała właśnie nad *foie gras* z mussem z homara i konfiturą z czerwonej cebuli. Za to pan mecenas zamówił coś dużo bardziej konkretnego, czyli comber z jagnięciny nowozelandzkiej zapiekany w kruszonce ziołowej oraz udziec jagnięcy w *demi glace* podany z szafranowo-miętowym pęczakiem.

Zgodnie z wcześniejszą umową nie poruszali żadnych ważnych tematów, tylko przez cały czas zadowalali się niezobowiązującą rozmową, której nie ma sensu nawet tu cytować. Autor doda tylko, że pan Fryderyk starał się być nieustająco czarujący, a pani Felicja dużo bardziej oficjalna. Czy to jednak sprawił urok mecenasa, czy to zadziało wspomniane francuskie wino, matka Jacka w trakcie rozmowy coraz bardziej się odprężyła i odpężyła. A pod koniec nawet zachichotała jak podłotek z żartu eksmęża. A gdy kobieta śmieje się z męskich żartów, daje mu niechybny znak, że on się jej podoba i jest nim zainteresowana.

Na koniec pan Fryderyk przywołał kelnera, nie oszczędzał na napiwku i poprosił, żeby zamówić taksówkę. Tak, tak, jedną taksówkę, co wywołało lekki protest pani Felicji, ale eksmąż uspokoił ją, że po prostu najpierw odwiezie ją i od niej wróci do swego mieszkania. Gdy już podjechali pod kamienicę, w której mieściło się mieszkanie państwa Przypadków, mecenas nie pozwolił byleją żonie pójść samotnie na drugie piętro. Poprosił taksówkarza, żeby zaczekał, i odprowadził Felicję pod drzwi. I zanim kobieta zdążyła przekręcić klucz w zamku, już ją całował. Całował tak, jakby to był ich pierwszy pocałunek w życiu.

– Fryderyku, ja nie mogę. – Pani Felicja przerwała pocałunek. – Taksówka czeka.

– Zejdę, zapłacę i wrócę tu.

– Zejdziesz, wsiądziesz do taksówki i pojedziesz do domu. I nigdy więcej nie będziesz przysyłał mi kwiatów ani zapraszał na kolację – oświadczyła zdecydowanie matka Jacka i szybko przekręciła klucz w drzwiach.

– Felicjo, przepraszam, nie chciałem cię urazić. Masz rację, to trochę za szybko...

– To nie jest za szybko.

– Nie? – zapytał z nadzieją pan Fryderyk, lecz eksżona zgasiła ją błyskawicznie.

– Nie. To się już nigdy nie powinno zdarzyć. – Pani Felicja otworzyła drzwi, ale mecenas przytrzymał ją za ramię.

– Felicjo, proszę, powiedz mi... W trakcie rozwodu rozumiem, że musiałeś w czarnych barwach przedstawić nasze małżeństwo. Ale tak w ogóle...

– Tak w ogóle to ono było jeszcze ciemniejsze, Fryderyku. Nie mam pojęcia, po co w nim trwałam przez tyle lat. Głównie pewnie ze względu na Jacka. No i może trochę się łudziłam, głupio i naiwnie się łudziłam, że jestem lepsza od wszystkich twoich kochanek. Bo od nich odchodzisz, a ze mną wciąż jesteś. Ale teraz już wiem, że byłeś tylko dla wygody, z przyzwyczajenia, dla uniknięcia rozwodu, pierwszego w naszej rodzinie.

– To nie tak, Felicjo. Uwierz, ja cię naprawdę kochałem. Zresztą cały czas...

– Nic więcej nie mów, Fryderyku. Nie mam ochoty tego słuchać. Dopiero teraz czuję, że żyję. Piszę mi się tak dobrze, jak nigdy w trakcie naszego małżeństwa. Ostatni raz miałam taką wenę jeszcze przed naszym ślubem. A potem już nigdy. Teraz wiem... To znaczy czuję, że wszystkie moje literackie porażki brały się z tego nieszczęśliwego małżeństwa. Dlatego nie życzę sobie, żeby przetrwało z niego cokolwiek poza naszym synem.

– Więc naprawdę było tak źle?

– Było dużo gorzej. Dużo gorzej, Fryderyku.

Szołtysik uważał, że nie powinni tu przychodzić. Przecież Klempuch nie był z żadnej strony ich przełożonym. Formalnie nie był nawet udziałowcem TV Ekstra. Choć niektórzy szepotali, że jakieś akcje jednak posiada przez różne dziwne fundusze zarejestrowane w rajach podatkowych. Ale to jeszcze nie powód, żeby ich tak wzywał do siebie jak na dywanik. Do takiego traktowania Bolko nie przywykł i niezmiernie go ono irytowało.

Z politowaniem patrzył na Fikę, który trząsał się ze strachu przed lichwiarzem. Szołtysik czuł też, że ich wysokie zarobki mogą się zaraz skończyć, ale uważał, że skoro już odbił się od dna, to sobie poradzi. Bo takich doświadczonych szołmenów jak on w tym kraju było niewielu i w końcu z pewnością jakąś fuchę by podłapał. Nie podobało mu się więc, że musi stanąć jak uczeń przed jakimś gościem, którego od początku nie lubił, i tylko konieczność nadrobienia dziwnych lat posuchy sprawiła, że godził się na swoją dotychczasową rolę. Teraz jednak pieniądze zdążyły napłynąć szerokim strumieniem i pozwoliły Bolkowi stanąć na nogi, przywracając mu godność osobistą i niechęć do płaszczenia się przed każdym.

Oczywiście bardzo chętnie prowadziłyby dalej *Niepotrzebną prawdę*. Program był już przecież kultowy wśród grupy najfajniejszych jego znajomych i w ogóle fajnych osób. Miał ogromną rzeszę fanów na portalach społecznościowych. A w modnych knajpach ludzie chodzili ze znacznikiem programu wpiętym w klapę. To ostatnie cieszyło Bolka w szczególności, bo na znaczku umieszczono podobizny jego i Fifki, więc dostawali prowizję od świetnie sprzedających się gadżetów promujących *Niepotrzebną prawdę*.

Wszystko to razem byłoby jeszcze bardziej miłe i przyjemne, gdyby nie konieczność dorwania Przypadka. Sam Szoftysik nie cierpiał go za to, że detektyw bezzwłocznie okradł go z pieniędzy. Ale ściganie go uważał za stratę czasu i nie podzielał wyrażonej obsesji, jaką miał na jego punkcie Klempuch. Dlatego stał nieco znudzony obok wyprostowanego niemal na baczność Fifki.

– Przyznaję, zawiodłem się na panach – stwierdził Klempuch, lecz w jego głosie nie było słychać smutku.

– Panie Wiktorze, ale ja z nią wcześniej rozmawiałem...

– Nie interesują mnie panów tłumaczenia. Chciałem tego uniknąć, ale muszę sięgnąć po ostateczne rozwiązania. Nagranie programu poszło do sieci. Oczywiście, gdybyśmy mieli lepiej wyedukowane społeczeństwo, moglibyśmy zaprzeczyć temu, że widzowie widzą to, co widzą. Ale żyjemy w kraju skrajnej ciemnoty, która wciąż uważa, że prawda to prawda. Dlatego trzeba im pokazać tę ich prawdę. – Klempuch nie potrafił się powstrzymać, by przy wypowiedzianiu tego słowa nie prychnąć pogardliwie. – Żeby zlikwidować to niemiłe wrażenie wywołane nagraniem, trzeba zrobić naprawdę mocny program. Skontaktuję panów z kimś, kto zna całą prawdę o Przypadku. Niestety, jest to osoba, której nie można zaprosić do telewizyjnego studia. Zgodziła się na rozmowę wyłącznie z wami dwoma, dlatego dostaniecie kamerę i pojedziecie tę osobę nagrać.

– Ale ja nie potrafię nagrywać. – Bolko wzruszył ramionami. – Bartek też nie.

Wprawdzie Fifka był gotów zaprzeczyć każdemu słowu Szoftysika i przystać na każde żądanie Klempucha, ale zdawał sobie sprawę, że nawet umiejętność robienia zdjęć ma mizerną.

– Spokojnie, zawiezie panów mój człowiek, który obsługuje kamerę. Zresztą bez mojej pomocy nie dostalibyście się na teren posiadłości tej osoby.

– A cóż to za osoba?

– Na razie to tajemnica. Zobaczycie na miejscu.

Ktoś obdarzony zmysłem spostrzegawczości mógłby się zastanowić w tym miejscu, dlaczego lichwiarz tak długo trzymał taką osobę w zanadru, zamiast przy jej pomocy dobić swego zniechęconego wroga. Ktoś taki musiałby jednak unikać narkotyków, niszczących korę przedczołową odpowiadającą za logiczne myślenie. Niestety, organ ten u obu panów mediatorów był już mocno wyczerpany walką z używkami i nie dawał możliwości użycia.

Dlatego zawsze łatwo jest manipulować ludźmi lubiącymi poszerzać swoją świadomość za pomocą narkotyków. Są oni bowiem trochę jak bojowcy z *Gwiezdných wojen*, którym Obi-Wan Kenobi mówi: „Nie jesteśmy tymi, których poszukujecie”. W naszej galaktyce słyszą oni na przykład: „Nienawidzicie rodzin z czwórką dzieci, bo to patologia”. A nasi bojowcy ze zniszczoną korą powtarzają grzecznie: „Nienawidzimy rodzin z czwórką dzieci, bo to patologia” i nawet nie próbują tego logicznie uzasadnić, gdyż i tak nie mieliby na to szans.

Dlatego Fifka i Szoftysik nie zapytali o to Klempucha, tylko dalej słuchali tego, co ma im do powiedzenia.

– Pamiętajcie, panowie, że to wasza ostatnia szansa. Jeśli jej nie wykorzystacie, program spada z anteny. I uważajcie na Przypadka. Jest na was wściekły i może nie cofnąć się przed

nicy. Jeszcze dziś podjedzie po was mój samochód. Pozwolą panowie, że nie będę ich odprowadzał do drzwi, mam jeszcze sporo pracy.

Klempuch nie chciał tym gestem wyrazić niezadowolenia z niepowodzeń zawodowych mediatorów. Przed nim było na prawdę dużo pracy. Pracy, którą był zmuszony wykonać absolutnie osobiście, gdyż nie mógł jej powierzyć nikomu innemu. Wszystko musiało zostać zapięte na ostatni guzik. Zbliżało się przedstawienie, na które czekał wiele długich lat. A teraz uruchamiał właśnie pierwszy dzwonek, który zwoływał widzów na spektakl.

Podniósł słuchawkę bezprzewodowego telefonu i wystukał numer.

– Dzień dobry, mówi Wiktor Klempuch. Bardzo mi miło, że pan mnie kojarzy. Nie przeszkadzam? Panie Jacku, wyrazy współczucia z powodu przyjaciółki. Proszę mi wierzyć, że dobrze wiem, co znaczy taka strata. Chciałem pana do siebie zaprosić na jutro. Zechce pan łaskawie wpaść? Przyślę kierowcę, bo to kawałek od Warszawy, trudno byłoby panu dobiec.

Pewne rzeczy mają w naturze swoje określone, banalne miejsce. Kogut pieje rano, kura znosi jajka, krowa daje mleko. Wszyscy to wiedzą. Tak jak wszyscy w redakcji wiedzą, że Dana i Blana, zwane seksbłizniaczkami, nigdy nie przychodzą do szefowej Działu Krajowego dziennika „Nowe Życie” nieprzywołane przez nią. Po prostu znają swoje miejsce w szeregu i wiedzą, że redaktor Sobani nie należy się pokazywać na oczy, bo od czasu ich rzekomego romansu z Błażem Sakowiczem jest na nich tak cięża, że wystarczy byle pretekst, aby wyleciały z roboty. Zresztą i tak już pisały tylko ogony, terminy miały krótkie, a na dodatek musiały się intensywnie doksztalcać, ponieważ szefowa bezlitośnie wytykała im wszystkie błędy.

Gdy więc drzwi gabinetu redaktor Sobani otworzyły się nagle i stanęły w nich dwie seksbłizniaczki, Ania pomyślała, że w redakcji musiał wybuchnąć pożar, a one przybiegły ją wynieść na rękach, aby ochronić przed zabójczym ogniem. One jednak tylko spojrzały na nią i wyszczerzając zęby w radosnym uśmiechu, oświadczyły:

– Naczelnny cię wzywa.

Po ułamku sekundy zniknęły za drzwiami, nie dodając nic więcej. W pierwszej chwili redaktor Sobania chciała za nimi wybiec i ochrzanić je, że nawet nie raczyły zapukać. Ale zaledwie wstała z fotela, zrozumiała, że zachowanie Dany i Blany nie może być przypadkowe. Skoro do tej pory chroniły się przed jej wzrokiem jak tylko mogły, a teraz pozwoliły sobie na coś takiego, to znaczy... To znaczy, że wiedzą, iż mogą sobie na coś takiego pozwolić!

Redaktor Sobania poczuła, że za chwilę zemdleje. Nie miała wątpliwości, że Korólczyk wzywa ją po to tylko, aby ją zwolnić. A przecież jeszcze nigdy w życiu jej się to nie zdarzyło. Zawsze sama odchodziła, przenosiła się, awansowała. Widmo wylania z roboty do tej pory nawet na moment nad nią nie zawisło. Teraz natomiast stało się niebezpiecznie realne.

Co robić? Co robić?! Może uciec na zwolnienie lekarskie? Da radę tak trochę pociągnąć. Tylko co z tego? Zresztą, przyszła dziś do pracy, wszyscy widzieli. A na dodatek pewnie jeszcze największe mendy czekają wszędzie i nie pozwolą jej wyjść. Co robić? Przydałby się jakiś prawnik...

Że też o tym nie pomyślała! Błażej! Chwyciła za słuchawkę telefonu i wybrała numer do nowego biura swojego chłopaka.

- Musisz mi pomóc! – krzyknęła do słuchawki, gdy tylko Błażej odebrał.
- Kochanie, nie denerwuj się, to ci szkodzi...
- Przestań mnie uspokajać! Chcą mnie zwolnić!



– Kiedy?

– Natychmiast. Te dwie seksflądry wlażyły do mnie przed chwilą jak do siebie i powiedziały, że naczelny mnie wzywa.

– Rozumiem, ale się tak nie denerwuj. Może się mylisz...

– Błazej, jeszcze jedno uspokojenie i z nami koniec. Masz mi poradzić, co mam zrobić! – zażądała stanowczo.

– Nie denerwuj się – powiedział mecenas Sakowicz i po chwili usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Wstał, spacerował się tam i z powrotem po gabinecie. Otworzył okno, wciągnął w płuca chłodne listopadowe powietrze. Potem zamknął okno i ponownie spacerował się po gabinecie. W końcu pokiwał głową i rzekł sam do siebie:

– Nie mam wyjścia. Teraz albo nigdy.

Sięgnął do szuflady biurka, wyjął stamtąd eleganckie pudełeczko. Otworzył je. W środku leżał piękny pierścionek z żółtego złota z sercem z białego złota wysadzonym brylantami. Wziął komórkę, zrobił zdjęcie i błyskawicznie przesłał do osoby, dla której klejnot był przeznaczony. Nie czekał zbyt długo.

– Błazej, ja cię zamorduję! – wrzasnęła do słuchawki redaktor Sobania. – Mają mnie zwolnić, a ty mi jakieś fotki podsyłasz.

– Nie zwolnią cię. Nie mogą tego zrobić.

– Bo co, przestraszą się ciebie?!

– Nie mogą cię zwolnić, bo jesteś... w ciąży.

– Błazej, ty oszalałeś! Jak mogę być w ciąży? Przecież coś bym o tym wiedziała! – krzyknęła Ania i chciała coś jeszcze dorzucić, lecz zamilkła.

Nagle pewne rzeczy zaczynały do niej docierać. Fakt, ostatnia miesiączka była tak słaba, jakby jej nie było. A ta się jej spóźnia. Ale bez przesady, tydzień. Zresztą jakim cudem by zasza? Pigułek wprawdzie nie bierze, ale Błazej zadeklarował jakiś czas temu, że polubił prezerwatywy. Zdziwiła się, ale sama mu je kupowała, by mieć pewność, że nie wybiera byle jakich...

O rany boskie, czyli on to wiedział od dawna i dlatego nie chciał, by brała pigułki! Ale skąd wiedział?! I czemu nic nie mówił? Mnóstwo pytań kłębiło się w jej głowie, lecz im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że Sakowicz junior się nie myli. Przecież ostatnio się zmieniła, zaczęła się zachowywać jak idiotka, naruszać różne środowiskowe tabu. Do tego stopnia, że naczelny postanowił ją zwolnić. Tak, te głupie hormony wszystko by tłumaczyły. To przez nie przestała być kobietą sukcesu, a stała się zwykłym człowiekiem!

– Już się uspokoiłaś? – przerwał w końcu ciszę Błazej.

– Jak mam się uspokoić? – powiedziała niemal przez łzy Ania. – Co ja teraz zrobię, jak sobie poradzę bez pracy?

– Na razie nic ci nie mogą zrobić. Potem jest macierzyński.

– A potem mam wilczy bilet w branży. I co ja zrobię sama z dzieckiem?!

– Ależ, kochanie, nie zostawię cię samej.

– Pewnie, będziesz płacił alimenty, dopóki nie znajdziesz inneeejjj... – Po tym rozryczeniu się Ania straciła resztkę wątpliwości co do tego, że jest w ciąży.

– Żabko, wyjdiesz za mnie? – oświadczył się w końcu Sakowicz. A ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, tylko jeszcze głośniejszy płacz, zapytał na wszelki wypadek: – Nie podoba ci się pierścionek?

– Jeeest pięęęknnyyyyy – przyznała przez łzy redaktor Sobania. – Ale ja nie planowałam ślubuuuuu...

– Rozumiem cię, ja też. Jednak w obecnej sytuacji takie rozwiązanie wydaje się optymalne. Zapewniam cię, jako pani Sakowicz nie zabraknie ci niczego i będziesz tak szczęśliwa jak moja mama.

– Ale ja chciałam... ja chciałam mieć program w telewizji... i być redaktor naczelną... i podróżować po świecie... i nie mieć żadnych zobowiązań... i robić sobie operacje plastyczne...

– Wszystko w swoim czasie, kochanie. Zobaczysz, będziesz szczęśliwa.

Drzwi gabinetu Ani otworzyły się i stanął w nich naczelny „Nowego Życia”. Kiedy zobaczył redaktor Sobanię płaczącą do słuchawki, był pewien, że już się domyśliła, po co została wezwana. Podszedł więc bez słowa do jej biurka i położył na nim wypowiedzenie. Ania pospiesznie wytarła łzy i starała się przybrać godną minę, co przy jej rozmazanym makijażu nie było łatwym zadaniem.

– Chyba nie jesteś zdziwiona? – zapytał tylko.

– Możesz się tym podetrzeć. Jestem w ciąży i wychodzę za mąż za najlepszego mecenasa w tym mieście! – oświadczyła dumnie redaktor Sobania.

A następnie ponownie się rozplakała. Ze szczęścia, oczywiście, bo innego wyboru nie miała.

Przekonywanie Przypadka do zmiany raz podjętej decyzji było równie łatwe jak zatrzymanie w miejscu rozpędzonej trzydziestotonowej ciężarówki. Pani Irmina zdawała sobie z tego doskonale sprawę, nie mogła jednak przecież przynajmniej nie spróbować. Szczególnie że jej zdaniem to, co miał zamiar zrobić Jacek, nie tyle graniczyło z samobójstwem, ile wprost nim było.

– Nie idź tam, proszę cię. Jesteś zdenerwowany po stracie Małgosi. Ale przecież lekarze powiedzieli, że to nie twoja wina... Zrobił się krwiak i nie było szans...

– Gdyby nie ja, nigdy nie trafiłaby do tego studia.

– Nie miałeś na to wpływu. Nie idź tam. Zastanów się choć chwilę.

– Nie mam czasu. Zresztą niepójście tam nic nie da, pani Irmino. On się na mnie zawziął i nie odpuści. Muszę tam pójść.

– Ale co ci to da?! On jest zdolny do wszystkiego.

– I choćby dlatego nie mogę unikać z nim spotkania. Do tej pory to on unikał bezpośredniej konfrontacji. Ale dążył do niej od dawna. Wie pani, że zapewne pan Gelberg miał pani skraść obrazy tylko po to, żeby sprawdzić, czy się w tym orientuję?

– Naprawdę? Boże, po co ja cię wynajmowałam! – Pani Irmina załamała ręce. – Po co cię robiłam tym detektywem?

– Może to było moje przeznaczenie? Może on to dobrze rozumiał.

– Przeznaczenie? Co ty bredzisz! Przecież możesz równie dobrze nie być detektywem. Masz z czego żyć. Pięć mieszkań na wynajem, wiem, ceny spadają, możesz któreś sprzedać.

– Już jest za późno, pani Irmino. On nie odpuści.

– Ja też. Nie pozwolę ci nigdzie wyjść! – Pani Bamber stanęła w drzwiach z rozłożonymi rękoma.

– To wyskoczę oknem. To dużo bardziej niebezpieczne.

– No tak, twoje życie jest w niebezpieczeństwie, a ty sobie tylko żartujesz. – Pani Irminie opadły ręce. – A może jednak tam nie pójdziesz?

– Już pani mówiłem, że muszę. Ale obiecuję, że kiedyś wrócę.

– Gdy wrócisz, masz natychmiast do mnie przyjść! Bez względu na porę. I tak nie zmruję oka, dopóki cię nie zobaczę!

– Może się to pani nie udać. Wprawdzie obiecuję, że wrócę, ale naprawdę nie wiem, kiedy to będzie. Może mnie długo nie być. Nawet kilka lat. Może kilkanaście? A teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałem z kimś porozmawiać. W cztery oczy. Aha, tylko proszę nie dzwonić do mojej mamy. Nawet ona nie da rady mnie zatrzymać.

Pani Bamber, choć w mieszkaniu Jacka poza nimi dwojgiem nie było nikogo, doskonale wiedziała, z kim Jacek chce zostać sam na sam. Zdjęcie Basi, stojące w kuchni, było od wielu lat ulubionym rozmówcą Przypadka. Zwierzał mu się z każdej rozterki i wątpliwości, pytał o radę. Tak jak teraz.

– Ty byś pewnie poszła, prawda? Lubiłaś ryzyko, przygodę. – Jacek uśmiechnął się do fotografii byłej dziewczyny, ale ona znów nie odwzajemniła jego uśmiechu. – Nie poszłabyś? Dlaczego? – zapytał zdziwiony. – Na pewno byś poszła, tylko się z mną droczysz. Przyznaj się. – Twarz Basi stała się dziwnie zacięta i nieprzenikniona. – Gniewasz się na mnie? No co ty, Baśka? Daj spokój. Uśmiechnij się choć raz. Przecież wiesz, że możemy się długo nie zobaczyć. No proszę, uśmiechnij się. – Basia była niewzruszona, a jej twarz bardziej posmutniała. – Dobrze, skoro nie chcesz, to nie... Nie możesz cały czas sterować moim życiem. Nie myślałaś o mnie, kiedy wyjeżdżałaś w te góry. Powiedziałem ci przecież, że się o ciebie boję, że mam przeczucie, iż nie wrócisz. Roześmiałaś się wtedy, pamiętasz?! Powiedziałaś, żebym zajął się wróżeniem z ręki naiwnym, bo tobie na pewno się nic nie stanie. Nie zważałaś na to, gdy zagroziłem, że jak pojedziesz, to z nami koniec...

Jacek urwał. To wspomnienie sprzed lat bardzo go bolało. Przecież tak naprawdę wtedy się rozstali. Wprawdzie Basia powiedziała, że powinien to sobie jeszcze przemyśleć i że porozmawiają, kiedy wróci, ale dodała też, iż Jacek musi zrozumieć, że ona nie pozwoli mu ograniczać swojej wolności. A jeśli on chce to robić, to rzeczywiście lepiej, żeby się rozstali.

Nie odprowadził jej na lotnisko. Kiedy dowiedział się, że jeden z członków wyprawy zaginął bez wieści podczas odwrotu ze szczytu, wiedział, że to na pewno ona. I od razu poczuł się winny. Być może to dlatego, że była na niego zła, postanowiła sobie i całemu światu udowodnić, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych.

Zdjęcie, z którym wciąż rozmawiał, pochodziło z tej ostatniej wyprawy. Przywiozła mu je Malwina Żarska, która była tam razem z jego dziewczyną. Twierdziła, że Basia też czuła, że coś się może stać. Kazała sobie zrobić uśmiechnięte zdjęcie i w razie czego zawieźć je do Jacka. Podobno poprosiła miejscowego szamana, żeby zaklął jej duszę i włożył do zdjęcia.

Jacek kupił ramkę, oprawił fotografię i postawił ją na półce w kuchni. Ze słów dziennikarki zorientował się, że ani Malwina, ani pewnie nikt inny z wyprawy, nie ma pojęcia, iż rozstali się z Basią. Uznał, że nie ma sensu o tym nikomu mówić.

– No, Baśka, nie kłóćmy się. Dobrze? – Z twarzy dziewczyny trudno było coś wyczytać. – No uśmiechnij się, proszę. Nie chcesz? Trudno. Na razie, Basieńka.

Może dlatego, że już dawno nie używał tego zdrobnienia, w chwili gdy odstawił zdjęcie na półkę, Basia przesłała mu wątyły uśmieszek. Niestety, Przypadek już tego nie widział, zajęty przygotowaniami do drogi.

Nienawidziła go od chwili, w której dowiedziała się o jego istnieniu. Nienawidziła za wszystko, co miał, a czego jej brakowało. Agnieszka Storczyk nienawidziła go również za to, co mieli wspólnego, i bardzo się starała, aby to jej było odrobinę lepsze. Gdy

dowiedziała się, że rozpoczął pracę detektywa, od razu pomyślała o wstąpieniu do policji. Była na trzecim roku studiów prawniczych i wiele osób uważało, że ma szansę zrobić wielką karierę mimo braku koneksji rodzinnych. Że zatrudni ją wielka międzynarodowa kancelaria, bo jak tu nie skorzystać z wygadanej, niebrzydkiej, zabójczo inteligentnej i znającej perfekcyjnie cztery języki osoby?

Na drodze do wspaniałej kariery stały jedynie dwie przeszkody: jej złośliwość i przekora. Konieczność skomentowania każdej sytuacji, bez względu na to, jak bardzo jej mogła zaszkodzić. Tak, ta Storczyk powinna nauczyć się trzymać język za zębami, powtarzało wiele osób. I nawet starała się to robić, gdyż nie była pozbawiona instynktu samozachowawczego. Na pewno, gdyby potrenowała, dałaby radę wytrzymać. Z wiekiem, jak u większości osób, zwiększyłaby się jej tolerancja na hipokryzję. „Jakoś przecież trzeba żyć” – powiadają doświadczeni ludzie, którym mija gdzieś młodzieńczy zapał do naprawiania świata. Więc Agnieszka też by dała radę i zrobiła z pewnością karierę w prawniczym świecie.

Dlatego nikt nie rozumiał tej jej nagłej, dziwnej decyzji o wstąpieniu do policji. Przecież nie przejawiała jakichś szczególnych ciągot do obrony prawa. Sądono, że jak większość studiowała je, aby zrozumieć jego meandry, a nie stać się szlachetnym obrońcą jego litery. I nie wiadano, że ma zupełnie inny cel. Cel, którego częścią był Jacek. A środek do tego mógł prowadzić przez zostanie policjantką. Najlepiej taką, która może mu popsuć zabawę w detektywa jasnowidza.

I to, jak sądziła, powoli jej się udawało. Ale teraz...

– Co ten gnój kombinuje?!

Co do tego, że jest ktoś, kto nienawidzi Przypadka równie mocno jak ona, zorientowała się już bardzo dawno temu. Nie wiedziała początkowo, dlaczego tak dokładnie jest, ale znając złośliwy charakter detektywa, nietrudno jej było sobie wyobrazić, że przez całe życie potrafił narobić sobie mnóstwo wrogów. Ten jednak był szczególnie niebezpieczny. I mógł pokrzyżować jej plany.

Zaczęła zbierać fakty na temat Klempucha. Dyskretnie, z wycuciem, dlatego nikt się nie domyślił, że to robi. Wiedziała już bardzo dużo. Były oficer Służby Bezpieczeństwa, syn oficera Urzędu Bezpieczeństwa. Tak naprawdę nosił zupełnie inne nazwisko, ale to przecież nie miało znaczenia. Ludzie związani ze służbami często mają kilka różnych tożsamości.

Stary Klempuch, który wtedy nazywał się Różycki, a wcześniej jeszcze inaczej, któregoś dnia po prostu się rozpułnął. Nie było śladu jego śmierci ani wyjazdu. Ten młody, wówczas też jeszcze Różycki, zaliczył spalenie lokalu kontaktowego. Kiedy zobaczyła adres tego lokalu – Konecka 40, mieszkania 8 – wiedziała już, że to musiało mieć związek z Jackiem.

Następnie wyjechał na placówkę do Szwajcarii. A później nagle Różycki zniknął i pojawiał się Klempuch. Początkowo to nazwisko było jego przykrywką, potem stało się oficjalne. W Szwajcarii objawiły się jego talenty finansowe. W osiem dziesiątym dziewiątym przeszedł na niejawną etat i powoli zaczął się dorabiać. W kraju bywał rzadko i dopiero kilka lat temu wrócił tu jako bogaty człowiek. Policje zachodnie podejrzewały go o współudział w kradzieży kilku dzieł sztuki nowoczesnej i podzieliły się tą wiedzą z polskimi policjantami. Ale w Polsce dość szybko stał się szanowanym obywatelem.

Miał udziały w wielu firmach z różnych branż, ale panowała powszechna i niezbyt pochlebna opinia, że głównym źródłem jego dochodu jest lichwa. Taka na dużą skalę, gdzie pożyczało się milion, by kilka miesięcy później odzyskać dwa.

To jej jednak nie interesowało. Dla niej ważne było to, że każda firma, która kiedykolwiek wspierała program *Niepotrzebna prawda*, była z nim powiązana. A jedynym

celem tego programu, co od dawna zauważało wiele osób, było zniszczenie Jacka Przypadka. Detektyw z kolei, zamiast zwiewać gdzie pieprz rośnie, szedł prosto w paszczę lwa.

– Co ten gnój kombinuje? – powtórzyła pytanie. – Przecież musi mieć jakiś awaryjny plan. No chyba że tak się zabujał w tej Urbanek, że postanowił umrzeć zaraz po niej!

Sprawdziła swoją służbową broń. W zajęciach ze strzelania uczestniczyła tak często, jak się dało. Nawet za prywatnie pieniądze. Czasem prosiła instruktora, żeby pozwolił jej powiesić zamiast tarczy zdjęcie detektywa. Wtedy wystrzeliwała na jego twarzy uroczę serduszko, a instruktor radził jej, żeby poszła do psychologa albo zgłosiła się do kadry przed kolejną olimpiadą. Ale ona nie chciała strzelać dla sportu czy dla przyjemności. Snajperskiego fachu uczyła się tylko w jednym celu.

Żeby nie spudłować w tym najważniejszym momencie.

Eleganckie, drogie samochody były chyba pierwszą z życiowych pasji Bolka Szołtysika i jedną z nielicznych, które przetrwały wszelkie jego zmiany charakteru i zainteresowań. Pozostałymi były partnerki przed maturą i trawka, którą palił z niewielkimi przerwami już prawie czterdzieści lat, mogąc się uznać za weterana w tej kwestii. Próbował wprowadzić też nieco silniejszych narkotyków, ale instynkt samozachowawczy dość szybko podpowiedział mu, że z nimi na stałe by nie pociągnął. A trawka, choć uczyniła gigantyczne spustoszenia w jego mózgu, który dawno temu posiadał spore możliwości, jakoś wciąż dawała żyć.

Zdecydowanie zdrowszym nałogiem były kolejne partnerki, które nie mogły się jeszcze pochwalić nie tylko maturą, ale nawet dowodem osobistym. Te wspaniałe go odmładzały i dodawały mu wigoru, choć z wiekiem kosztowały go coraz więcej sił i pieniędzy. Ale czegoś się nie robi, aby być w dobrej formie?

Na pewno jednak najdroższa była pasja związana z eleganckimi samochodami. Dlatego żeby móc choć dotknąć tych cudownych cacuszek na czterech kółkach, Bolko Szołtysik był gotów zrobić wiele. Jednak w tym momencie – choć jechał w towarzystwie Fifki prawdopodobnie najbardziej kosztownym pojazdem, jaki znał – nie był zachwycony. Oddzieleni byli od kierowcy szybą z czarnego matowego szkła i mieli do dyspozycji pomieszczenie wielkości niejednej kawalerki. W lodówce mroziły się alkohol i soki, z głośników sączyła się przyjemna nastrojowa muzyka, w rytm której bujał się Fifka.

– No, napij się drinka – zachęcał Szołtysika.

– Daj spokój, nie mam humoru.

– Brak ci trawy. Ale nie martw się, załatwimy Przypadka tym wywiadem i będziesz znów mógł zajarac.

– Załatwimy albo nie załatwimy. Co to w ogóle za gość, do którego jedziemy?!

– Nie irytuj się, Boleczku. On nam wszystko poda na tacy. Musi naprawdę mieć niezłe materiały na Przypadka, skoro pan Wiktor jest pewny, że to będzie gwóźdź do trumny tego detektywiny.

– Ja tam nie mam ochoty go zabijać.

– Oj, Boleczku, niedobrze, napij się. – Fifka zrobił drinka Szołtysikowi i wepchnął mu go w dłoń. – Zzera cię depresja.

– Może i tak. – Bolek łyknął sobie i naszła go nagła refleksja. – Czy my powinniśmy pić?

– Przecież zofer powiedział, że pan Wiktor wyraził zgodę, abyśmy się rozluźnili przed wywiadem. Dlatego odpuść klamry i pomyśl, że masz przed sobą najważniejsze zadanie dziennikarskie w życiu.

– Nie podoba mi się to.

– Przestań! – strofował go Fifka, który uważnie omiół spojrzeniem kabinę samochodu. Zrezygnował z dalszego wypatrywania podłuchu, bo był on na pewno bardzo dobrze ukryty. Bo że był, w to Bartosz nie śmiał nawet wątpić. – Zżera cię depresja. Jak w ogóle możesz wątpić w sens tego, co robimy?! Przecież ten gość wiele razy ośmieszał ludzi powszechnie szanowanych i poważanych, niszcząc dorobek ich życia. Niszczył ekologiczne fundacje, zabierał ludziom kamienice, wsadzał do więzienia znanych i zasłużonych artystów. Nie pamiętasz materiałów o nim? Zresztą tobie też przecież ukradł dwieście kawałków. Jeśli w ogóle wątpisz w słuszność konieczności zniszczenia tego faceta, to po co ty w ogóle zostałeś dziennikarzem?

– Nic innego nie umiałem. – Bolek przyznał w duchu, że ten alkohol rzeczywiście nieźle i błyskawicznie go rozluźnił.

– To znaczy tego też nie umiałem, ale pisać jakoś potrafię, prowadziłem kilka imprez, a ojciec powiedział, że jak dalej chcę się wygłupiać, to może mi załatwić u prezesa Szczepańskiego miejsce w telewizorni.

– A czemu dalej jesteś dziennikarzem?

– Z przyzwyczajenia. Łaski to lubią, kasę też się nieźłą kosiło, zwłaszcza dawniej. Teraz to poprosiłbym ojca o pracę przy telenoweli, też by pewnie załatwił.

– No... z takim podejściem to nic dziwnego, że nie czujesz misji naszego zawodu. – Fifka dumnie zadął nos.

– Tak? A ty po co zostałeś dziennikarzem?

– Z poczucia odpowiedzialności. Przecież gdyby nie my, to kto by niósł ten kaganiec oświaty? Wszyscy by sobie myśleli, co im się podoba, nie rozumieliby, że tego nie wypada, nie wolno. Chaos i anarchia. Większość społeczeństwa to idioci i to kompletni idioci. Nie wiedzą, co należy czytać, jakie filmy oglądać, na co zwrócić uwagę, kiedy klaskać na sztuce, a kiedy nie. Przecież i tak oglądają tyle niepotrzebnych filmów, czytają tyle durnych książek. Gdyby nie my, w ogóle by pewnie nie sięgali po te właściwe, wartościowe, a ich twórcy nie daliby rady wyżyć z grantów, stypendiów i nagród literackich. – Choć samochód był dość wysoki, Fifka uderzył głową w sufit, gdy podniósł się uniesiony własnymi słowami. – Dlatego naszą misją – ciągnął, rozcierając czubek głowy – naszą misją jest uświadamianie ludziom, co należy, a czego nie wolno pod żadnym pozorem, jeśli chce się być zaliczonym do grona świątłych ludzi... Śpisz?!

Fifka dopiero teraz zauważył, że Bolko przytulił się do kanapy i zamknął oczy. Chciał go, wściekły, szarpnąć i obudzić, ale wtedy nagle poczuł, że jego powieki również stają się ciężkie i nie ma siły ruszyć ręką. Dlatego opadł bezwładnie między nogi Sołtysika. Obecnie to miejsce napawało go obrzydzeniem, choć przypominał sobie resztką świadomości, że chciał się tam znaleźć dawno temu, zanim się upewnił, że Bolko jest zatwardziałym heterykiem.

Wiktor Klempuch, ubrany bardzo elegancko, by nie powiedzieć uroczyście, wyjrzał przez okno i zobaczył, że przez bramę wjeżdża jego piękny, duży samochód. Odetchnął z ulgą. Nie chciał już żadnych komplikacji. Pragnął, żeby jego plan się ziścił i żeby ten, który przerwał jego świetnie zapowiadającą się karierę, dostał w końcu to, na co zasłużył. Gdyby nie on, mógłby być może cieszyć się jednym z największych majątków świata, plasując się w drugiej czy trzeciej setce największych bogaczy naszego globu. Teraz zostałby sklasyfikowany ledwie pod koniec pierwszej setki krajowego rankingu multimilionerów. Oczywiście pod warunkiem, że ktoś odważyłby się i umiał policzyć jego majątek.

Ktoś mógłby nawet pomyśleć, że tych dwieście kilkadziesiąt milionów złotych to przecież całkiem niezła sumka. To jednak było dla Klempucha zdecydowanie za mało i doszedł do tego zbyt późno. Czuł, że nie ma już siły walczyć, aby wspiąć się wyżej. Mógł tylko zemścić się na tym, przez którego tak bardzo musiał się starać zamiast korzystać z dobrodziejstw transformacji ustrojowej, zanim się ona zaczęła.

Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer telefonu do przyjaciela.

– Możesz spuścić psy. Za dwie, trzy godziny dostaniesz danie główne. Tylko niech odpowiednio podgrzeją atmosferę. Odłożył słuchawkę i czekał. Kierowca, który przywiózł Jacka i wprowadził go do domu, otworzył przed nim drzwi pomieszczenia i odszedł. Zostali w sali jedynie we dwóch, stojąc naprzeciw siebie, oddaleni o kilkanaście metrów. Gospodarz uśmiechnął się na widok Jacka i nawet wydawało się, że zaraz rozłoży szeroko ręce w powitalnym geście. Jednak rozwarł tylko dłonie i gdyby w pomieszczeniu było jakieś krzesło, z pewnością wskazałby je Jackowi. Ale sala była absolutnie pusta, dlatego każdy dźwięk brzmiał w niej wyjątkowo.

– Byłem ciekaw, czy zechce pan łaskawie przyjść – rozpoczął konwersację Klempuch.

– Jestem pewien, że miał pan plan awaryjny, gdybym nie zechciał łaskawie się pojawić.

– To prawda. Ale to miłe, że nie musiałem z niego korzystać. Zawsze to zwiększa ryzyko.

– A ja nic nie ryzykowałem, przychodząc tu.

– Doprawdy? Nie bał się pan, że mogą pana zabić?

– Nie. Gdyby chciał pan to zrobić, stałoby się to już dawno temu. Zakładam, że byłoby to dla pana dziecinnie łatwe. Pan ma wobec mnie jednak inne plany.

– To prawda. Chciałbym, żeby to pan dla mnie kogoś zabił.

– Szołtysika i Fikę?

– No proszę, widzę, że moja prośba nic a nic pana nie zdziwiła. – Klempuch, mimo że uważał się za znawcę możliwości detektywa, nie potrafił ukryć podziwu. – A nawet wie pan o niej więcej, niż powiedziałem.

– Zdziwienie nic by nie dało. A tylko aby zabić tych dwóch, mam odpowiedni motyw.

– Tym większy podziw mam dla pana, że przyszedł pan i nie próbował uniknąć tego przykrego obowiązku, jaki na panu ciąży.

– Jest pan pewien, że go wypełnię?

– Kiedy przedstawię panu odpowiednio mocne argumenty, myślę, że nie będzie się pan ociagał. W każdym razie damę panu słowo, że nie będę pana do niczego zmuszał. To nie miałyby najmniejszego sensu, bo wtedy to ja zabiłbym panów Fikę i Szołtysika. Na co, przyznam, mam sporą ochotę, bo swoim bezgranicznym debilizmem przysporzyli mi sporo kłopotów. Na szczęście nie pokrzyżowali całkiem moich planów. Lecz gdybym ich zabił osobiście, czy raczej przez mojego człowieka, do niczego by mi się to nie przydało. Dlatego musi to zrobić właśnie pan.

– Myśli pan, że ludzie w to uwierzą?

– Ja to wiem. Oni to przecież zobaczą.

– Aha, czyli będzie pan nagrywał?

– Naturalnie, w tej chwili czekają na materiały ode mnie największe stacje w tym kraju.

– Widzę, że nie bierze pan pod uwagę ewentualności mojej odmowy?

– Przyznam szczerze, że nie. Jak wspomniałem, mam mocne argumenty. Ciekawi mnie tylko, czy pan mnie na pewno pamięta?

– Wydawało mi się, że przez panią Mirską dałem to jasno do zrozumienia.

– Tak. – Klempuch uśmiechnął się na wspomnienie pięknego grobu z białego marmuru. – Zanim zapłaciła za swój błąd z obrączką, powtórzyła mi, że wie pan, iż lubię ładne,

sympatyczne pieski.

– Miałem nadzieję, że zrozumiał pan więcej. I że nie pieski interesują pana najbardziej, ale coś, do czego panu służą. Dlatego wtedy ukradł pan golden retrievera Wojtka Bambara.

– Wiem, ludzie wciąż nie rozumieją mojej pasji. Ale przyjdzie czas, że ją pojmą. Intensywnie nad tym pracuję. Gdyby nie konieczność jej chwilowego potępienia, ze względu na czarnych, już by ją rozumieli. – Lichwiarz westchnął autentycznie zmartwiony. – Zanim przejdziemy do sedna mojej prośby i omówimy jej szczegóły, chciałbym jeszcze wiedzieć, czy nie ma pan jakichś pytań.

– Owszem. Zastanawiam się, czy nie bał się pan tak zostać ze mną sam na sam?

– Żartuje pan? – Klempuch z trudem powstrzymał wybuch śmiechu, ale na wszelki wypadek chwycił prawą ręką w okolicę kieszeni. – Ta posiadłość jest jak twierdza, pilnuje jej na stałe dwudziestu ludzi.

– Ale w tym pokoju jesteśmy tylko pan i ja. – Jacek zrobił krok w kierunku gospodarza i gotów był przysiąc, że tamten drgnął z niepokoju. Odpowiedział jednak detektywowi ze spokojem:

– Nie chciałem, żeby ktoś nam przeszkadzał w wymianie argumentów. A pana przeszukał mój człowiek, więc w pańskich kieszeniach z pewnością nie kryją się przykre niespodzianki. – Klempuch wyjął z prawej kieszeni foliową torebkę z białym proszkiem. – Na początek chciałbym coś panu pokazać. – Wysypał proszek na dłoń. – Niech pan łaskawie zerknie na to cudo.

Podkomisarz Łoś już od wielu dni cierpiał na bezsenność. I nietrudno się było domyślić co, a raczej kto spędza mu sen z powiek. Nawet z materiałami dostarczonymi mu bezpośrednio przez aspirant Storczyk niewiele udało mu się wyświecić z jej przeszłości. Pochodziła z Łodzi, ale prawo studiowała na Uniwersytecie Warszawskim. W rodzinnym mieście została jej matka, nikt znaczący, pracownica biurowa od wielu lat. Ojca nie było, prawdopodobnie dawno temu opuścił rodzinę. Matura zdana celująco, dzięki czemu panna Agnieszka nie miała problemu z przyjęciem na studia. Żadnego związku z Przypadkiem, żadnego punktu zaczepienia. Ani jednego dowodu, że go znała. Po co więc, do jasnej cholery, pchała się do sprawy, na sam dźwięk której inni funkcjonariusze bledli i dostawali wysokiej gorączki?!

– Łoś, ty wiesz, która jest godzina?! – Reprimenda małżonki wyrwała podkomisarza z rozmyślań.

– No co? Dopiero po północy.

– Rano wstajesz do roboty, ja tak samo. Kładź się spać.

– Połóż się sama. Ja jeszcze chciałem obejrzeć telewizję.

– Tylko cicho, bo inaczej nie zasnę – ostrzegła pani Łoś i udała się do sypialni.

Podkomisarz włączył telewizor i od razu dobiegło go głośne fuknięcie małżonki. Przyciszył odbiornik i podsunął swój fotel na metr od niego, bo inaczej nic by nie usłyszał. Przeskakiwał po kanałach, zatrzymał się na westernie. Dawniej lubił ten gatunek i oglądał namiętnie, ostatnio wracał do niego rzadko i tylko w klasycznej formie, bo nowoczesne przeróbki, niuansujące dobro i zło, mierzyły go nadzwyczaj. Teraz nie mógł się skupić na dość miłej treści, a w pewnym momencie zauważył, że nie słyszy, co mówią bohaterowie. Chciał nawet przysunąć fotel bliżej telewizora, ale zrozumiał, że to chrapanie żony przeszkadza mu w delektowaniu się treścią filmu. Przełączył na kanał informacyjny.

Tam nie musiał nic słyszeć, bo najważniejsze treści miały na pasku u dołu ekranu.



Ledwie jednak zmienił program, aż uniósł się na fotelu. Oglądał kanały informacyjne od wielu lat. Ich stałym największym problemem było odpowiednie wybicie najważniejszych treści na pasku. Na początku litery bywały czerwone. Potem to nie wystarczyło, więc czerwone zrobiło się tło. Później zbyt często używano tego ostrzegawczego koloru, więc trzeba było sięgać po nowe w najróżniejszych konfiguracjach, stopniować napięcie wielkością liter i tym podobnymi zabiegami. Ale nigdy wcześniej podkomisarz nie widział, żeby pasek zajmował pół ekranu, gdzie na wściekle różowym tle świeciły żarówiastozielone napisy. Policjant chłonał ich treść z coraz bardziej otwartymi ustami, ale pasek biegł zbyt wolno i nie dostarczał wyjaśnienia sprawy. Dlatego w końcu podkomisarz musiał podkręcić głoś, czego efekt był łatwy do przewidzenia.

– Łoś, co ja ci mówiłam?! Ledwo zasnąłam, a ty mnie budzisz. Wiesz, że wtedy mam problemy z zaśnięciem do rana?! – wrzeszczała wściekła żona policjanta, która po chwili pojawiła się w drzwiach. On jednak machał na nią ręką, co nie tylko zdziwiło, lecz także rozwścieczyło panią Łoś. – Co ty mi tu tymi rękoma...

– Zobacz! A nie mówiłem?! – Podkomisarz pokazywał na telewizor.

– Łoś, ja jestem półprzymiotna...

– Przypadek zabił Fikę i Szółtysika!

– Oszalałeś czy piłeś? – Pani Łoś spojrzała podejrzliwie na męża, a następnie zerknęła na ekran, gdzie rzeczywiście wzmiankowana informacja została wybita żarówiastozielonymi literami na wściekle różowym tle. – Nie, to on oszalał.

– Nie oszalał. Mówiłem ci, to wszystko było ściśle zaplanowane razem z tą Storczyk! – emocjonował się podkomisarz.

– Oni po prostu chcieli obalić rząd i doprowadzić do zamieszek na ulicach. To po to ona cały czas ćwiczyła to strzelanie.

– Kochanie, spokojnie. – Użycie formy, o której żona policjanta niemal zapomniała, w pełni świadczyło, że rozumie powagę sytuacji i wie, że jeśli w porę jej nie opanuje, jej mają dostanie zawału.

– Ale jak spokojnie, nie rozumiesz? Jutro już nie będzie takie samo jak dzisiaj. Fika i Szółtysik nie żyją!

– Jeśli nawet, to przecież nie jest nic wielkiego. To tylko dwóch dziennikarzy.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz. – Podkomisarz Łoś patrzył przerażony na żonę. – Posłuchaj, co mówią specjaliści. O, zaraz będą nadawać wypowiedź Skrupskiego. A potem tej Wasowicz. Posłuchaj, co mówią. Koniec świata! Armagedon! Ja od razu mówiłem, że on coś takiego kombinuje razem z tą Storczyk! Nikt mnie nie chciał słuchać! A teraz nic się nie da uratować. Już po nas. Z tego będzie na pewno jakaś wojna! Co robisz, kobieto?!

Ekran telewizora zrobił się czarny. Podkomisarz Łoś usiłował nabrać wielki haust powietrza, jakby nagle zabrakło mu tlenu, po czym próbował wyrwać pilota z rąk żony. Ona była jednak dużo szybsza i zrobiła unik. Potem jeszcze błyskawicznie otworzyła pilota, wyjęła z niego baterie i wyrzuciła je przez uchylone okno. To ostatecznie odcięło prąd podkomisarzowi. Opadł bez sił na fotel i powtarzał tylko cichutko pod nosem:

– Co teraz będzie? Co to będzie? Co będzie?

Pani Łoś obserwowała z kamienną miną, jak na twarz męża wraca spokój. Po minucie już tylko mruzczał coś niezrozumiale. Fobie, którymi zarażał go szklany ekran, cichły i odchodziły w niepamięć. Wracał do normalnego, racjonalnego świata.

– Już w porządku, kochanie?

– Naprawdę myślisz, że nie będzie wojny? – zapytał z nadzieją.

– Oczywiście, że nie. Pogadają, pogadają, złożą rodzinom kondolencje i wszystko wróci do normy. A Fikę i Szołtysika zastąpią inni, którzy się będą wygłupiać za dobre pieniądze.

Nóż w rękę Jacka zawiśł w równej odległości od gardeł Fiki i Szołtysika, ale wciąż nie wykonywał decydującego cięcia. To było jednak nieuchronne i wszyscy wiedzieli, że dzielił ich od niego najwyżej sekundy.

– Który pierwszy? – powtórzył swoje pytanie Przypadek.

– Jacek, ja cię proszę, nie zabijaj nas! – błagał Szołtysik. – Ja ci daruję te dwieście tysięcy. Ja ci zapłacę drugie dwieście tysięcy, mam, odłożyłem z reklamy szamponu na łupież. Błagam cię!!!

– Nic z tego, Bolko. Muszę to zrobić!

– Ale dlaczego?! – zapytali chórem mediatorzy, nie mogąc oderwać wzroku od noża.

– Pan Wiktor przekonał mnie, że musicie zginąć.

– Nie, ja się nie zgadzam! – wrzeszczał Fifka. – To nie może być prawda! Pan Wiktor by nam tego nie zrobił!

– Pan Wiktor ma was w dupie. Jemu chodzi o mnie. Mam was zabić, a ta kamera ma to nagrać. – Jacek pokazał w kierunku statywu. – To będzie pokazane w finałowym odcinku waszego programu. Przypadek zabija z nienawiści dwóch facetów, którzy zaprzysięgli, że ujawnią jego hipokryzję. A teraz spowodowali śmierć kogoś mu naprawdę bliskiego.

– Ja nie chciałem! – Fifka z zawodowego przyzwyczajenia skierował wzrok w stronę kamery. – To był wypadek! – Zerknął na okładki płyt przyniesionych przez Jacka. Zobaczył na nich starszego, nagiego pana otoczonego kilkuletnimi aniołkami uśmiechającymi się figlarnie.

– Wybaczcie, ale pan Wiktor wydał już na was wyrok.

– Nie słuchaj go!

– Nie mogę – przyznał ze smutkiem Przypadek. – Zafundował mi „oddech diabła”? Zresztą jeśli ja tego nie zrobię, on i tak was zabije. A potem będzie musiał zabić mnie jako niewygodnego świadka.

– Dlaczego?!

– Bo gazety już drukują informację o waszej śmierci. Stacje radiowe powtarzają co pięć minut tego niusa. W telewizjach Skrupski z Wasowicz już analizują, dlaczego to zrobiłem. Zastrzegają wprawdzie, że to może nie jest pewne, ale wiedzą z nieoficjalnych źródeł, że istnieje nagranie, jak was zabijam.

– To jak nie będzie nagrania...

– Nic to nie da. Pan Wiktor to wszystko świetnie obmyślił. Ideałem będzie, jak zginię w więzieniu. Ale w razie czego wystarczy mi moja śmierć. A nagrania nie będzie, lecz ja też zniknę, a was znajdą z poderżniętymi gardłami. To będzie dla mediów wystarczający dowód mojej winy. Winy, o której już trąbią. – W kąciку ust Jacka pojawiło się coś w rodzaju gorzkiego uśmiechu. To dało cię nadziei Fifice i Szołtysikowi. – Wszyscy mnie potępiają, domagają się dla mnie surowej kary więzienia. Przypominają, jak to rzekomo walczyłem o prawdę, a okazałem się zwykłym mordercą.

Jacek chwycił więzy Bolka i przeciął je zdecydowanym ruchem ręki. Podobnie zrobił ze sznurami Bartosza, który rozcierając zdrętwiałe nadgarstki, spoglądał znów na okładki płyt odłożone obok Jacka.

– I powinienem was zabić. Szczególnie ciebie. – Nóż Przypadka zbliżył się do twarzy Fiki, lecz ten nie poczuł już strachu. Twarz Jacka się zmieniła. Nie było to jeszcze oblicze tego

starego, dobrego, bezczelnego kpiarza, ale z pewnością również nie bezwzględnego mordercy.

– To dlaczego nas nie zabiłeś?

– Bo szybciej dmucham od Klempucha. I to on poczuł „oddech diabła”. Wiedziałem, że będzie chciał mnie do czegoś wykorzystać. Będzie potrzebował, żebym zrobił coś, co on będzie mógł nagrać, żeby ludzie mnie znieawidzili. Coś, co będzie wyglądało, jakbym robił to z własnej woli. Mógł się spodziewać, że nie dotknę niczego, co da mi do spróbowania. Jakakolwiek przemoc i zmuszenie mnie do czegokolwiek mogły pozostawić trwałe ślady w postaci siniaków na moim ciele, a to utrudniłoby wszystko. Dlatego potrzebował „oddechu diabła”.

– Co to jest, do cholery?! – zapytał zdziwiony Fifka.

– Coś na bazie skopolaminy. Kiedyś CIA i KGB używały jej, gdy chciały zmusić kogoś do posłuszeństwa. Skopolamina odbiera wolę i człowiek staje się posłusznym robotem. Dlatego Klempuch biega teraz nagi po podwórku i szczeka, usiłując się wyrwać swoim ochroniarzom. A wcześniej podarował mi trochę nagrań ze swojej filmoteki, na których hasa z pięćdziesiątkami. – Jacek wskazał na okładki płyt leżące obok niego. – Mam zamiar puścić je dzisiaj na swoim kanale, który pewnie po tej emisji zostanie zamknięty za propagowanie dziecięcej pornografii. Ale dzięki temu pan Klempuch będzie miał na głowie inne kłopoty niż odgrywanie się na mnie.

– Jezu, co za zbok. – Szołtysik skrzywił się na sam widok okładek płyt.

– Jaki zbok? – obruszył się Fifka. – Po prostu nie dostrzegacie pewnych światowych trendów w miłości. A ty przecież sam z niejedną małolatą to robiłeś! – Wyciągnął oskarżycielsko palec w kierunku Szołtysika.

– Fakt. Ale jak nawet nie miały piętnastu lat, to każda z nich miała cycki jak balony.

– Pewnie, bo duże cycki najważniejsze! Hipokryta jeden! Co za różnica, czternaście, dziesięć czy pięć? Poczytaj sobie Daniela Cohna-Bendita, to będziesz wiedział, że takie pięćdziesiątki to czasem podobno niezłe wiedzą, gdzie pogmerać.

– A idź sam sobie tego świra czytaj! – Bolkowi najwyraźniej zbierało się na wymioty. Był bowiem postępowcem starej daty i rzeczywiście nie nadążał za najnowszymi trendami w postępie.

– Od kiedy uchodzi bzykać, ustalacie kiedy indziej, bo inaczej zaraz puszcę na was pawia – stwierdził zniesmaczony Jacek i pomógł się podnieść Bolkowi.

– A może byśmy go zostawili z panem Wiktorem? – zaproponował Szołtysik. – Skoro tak mu odpowiada jego towarzystwo.

– No wiesz co, ty jednak jesteś świnią na całego – obruszył się Fifka. Kiedy zobaczył minę Jacka, przestraszył się nie na żarty. – Nie no, chyba mi tego nie zrobicie?! Ja go tylko nie potępiam erotycznie, ale tak w ogóle...

– Gdybym wiedział, że masz choć cień szansy na przeżycie, zostawiłbym cię tu – nie pozostawił mu złudzeń Jacek i dorzucił szybko: – A teraz czas zmywać się stąd jak najprędzej. Zwłaszcza że jeszcze jedna przeszkoda przed nami. Kto wie, czy nie największa.

Fabrizio Cavanelli zwykł przyjmować kobiece fochy jako zwykły element międzyplciowej gry, którym nie należy się zbytnio przejmować. Wiedział przy tym, że drugiej stronie za pewne o coś chodzi, ale odpuszczał sobie próbę dociekania, o co dokładnie. Nie dlatego, żeby nie był ciekaw, o nie. Ufał po prostu słowom swojego papy, który kiedyś mu powiedział:

– Żadna kobieta, nawet twoja matka, kiedy się złości, nie wie, o co jej chodzi. Nie zadawaj więc kobiecie pytania o powód, bo tylko ją tym bardziej zdenerwujesz. Po prostu poczekaj, aż jej przejdzie.

Fabrizio przyjmował więc do tej pory ze spokojem podenerwowanie Marzeny, jej odmowę spędzenia wspólnego wieczoru albo przedwczesne opuszczanie jego eleganckiego apartamentu. Ale teraz pani mecenas nie wychodziła ani chyba nawet nie miała takiego zamiaru. To uprawiało w lekką konsternację Fabrizia, który był przyzwyczajony do tego, że mógł się spokojnie wyspać przed pracą w Super Tobacco. Wprawdzie jako prezes, w dodatku pochodzący z rodzinnego nadania, nie musiał się stawiać punktualnie o ósmej rano przy swoim biurku, ale gdy docierał tam między dziesiątą a jedenastą, lubił być dobrze wypoczęty, żeby dać jakoś radę popracować do piętnastej. Tymczasem już dawno minęła północ, a Marzena Kolska kręciła się tam i z powrotem po apartamencie, chociaż zwykle zbierała się błyskawicznie. Cavanelli obserwował to z rosnącym niepokojem, ale zgodnie z radą papieża starał się nie reagować. W końcu jednak uznał, że chociaż nie wypada mu wprost wypraszać panny Kolskiej, to musi przynajmniej spróbować oderwać się od przeciwnika.

– Marzenko, idę wziąć prysznic...

– A może byś się wreszcie zapytała, dlaczego jestem zła?!

– A jesteś zła? – uśmiechnął się, ale już po chwili zrozumiał, że nie był to najlepszy pomysł.

– No tak, ty nawet nie zauważasz, że jestem zła. Czy ty w ogóle dostrzegasz, że ja istnieję? – zapytała dogłębnie egzystencjalnie.

– Chodzi ci o to, że nie macie za dużo klientów w tej kancelarii, tak? – próbował się domyślić. – Mówiłem, mogę do was przenieść część zleceń, które dają twojemu byłemu szefowi. Całości nie, bo mamy umowę z międzynarodową kancelarią...

– Powiedziały ci dawno temu, że takie pozyskiwanie klientów mnie nie interesuje. A poza tym myślisz, że mogę się złościć na ciebie, bo kancelaria słabo przędzie?!

– Możesz się złościć z każdego powodu. Ja nawet lubię, jak się złościsz. Bardzo ci ze złością do twarzy.

– A ja nie lubię się złościć!

– To się nie złość – poradził z rozbijającą szczerością Fabrizio.

– Co z ciebie za Włoch, że nawet nie można się z tobą pokłócić?!

– Bo ja jestem Włochem z północy.

Fabrizio potrafił rozbijać Marzenę takimi stwierdzeniami. Choć rzeczywiście był jakby trochę Włochem, a trochę nie-Włochem. To znaczy wszyscy jego przodkowie, bez cienia wątpliwości, wywodzili się ze słonecznej Italii od setek lat. Ale on sam odbiegał od różnych stereotypów. Nie tylko na temat Włochów, lecz także szefów dużych korporacji. W zasadzie z każdym dniem ją coraz bardziej ujmował i choć początkowo sądziła, że ich związek będzie jedynie przelotnym, przyjemnym romansem, on wciąż trwał, trwał i trwał. A ona sama się zastanawiała, w jakim znajduje się miejscu i dokąd tak naprawdę zmierza.

– To jak, powiesz, o co ci chodzi?

– Jesteśmy zaproszeni na ślub mojego współnika – burknęła niechętnie.

– Oświadczył się wreszcie?! To pogratuluj mu ode mnie!

– Będzie miał dziecko.

– To pogratuluj mu podwójnie!

– I to wszystkim, co masz mi do powiedzenia na ten temat?

– Wiesz, nie znam jej dobrze. Jego też nie. Co mógłbyś ci o nich powiedzieć?

– A o nas coś mógłbyś powiedzieć czy też nie?

– Aha... O nas. – Fabrizio Cavanelli po raz pierwszy zorientował się, do czego zmierza ta rozmowa.

I nie da się ukryć, że nie był to kierunek, który by go interesował. Najchętniej uniknąłby rozmowy na ten temat, a co więcej – miał wrażenie, że z Marzeną ta rozmowa mu nie grozi. Przecież wiedziała, że najdalej za rok wypełni swój kontrakt i albo dadzą mu szansę sprawdzenia urody mieszkańek innego kraju, w którym papierosy Super Tobacco cieszą się popularnością, albo uznają, że nadszedł czas, aby zajął należne stanowisko w siedzibie koncernu w Turynie. A przecież ona sama nie po to zakładała własną kancelarię, żeby wyjeżdżać po roku gdzieś daleko stąd. No, chyba że wierzyła w niezobowiązujące związki na odległość, lecz o taką naiwność Fabrizio jej raczej nie posądzał.

– Tak, o nas – powtórzyła twardo Marzena.

– Wiesz, Marzena, dla mnie najważniejsza jest rodzina.

– Doprawdy? – zdziwiła się ironicznie pani mecenas. – Niedawno skończyłeś czterdzieści lat, ale nie wspominałeś mi nigdy, że byłeś bliski jej założenia.

– Założenia? Przecież ja już mam rodzinę, mamę, tatę, dwóch braci i siostrę. To jest moja rodzina.

– A kto u was jest capo di tutti capi? – pytając o to, Marzena nie miała zamiaru unikać w strukturę rodu Cavanellich. Pamiętała tylko, że rok temu Jacek wspominał jej o niebezpiecznych powiązaniach rodzinnych Fabrizia, co wtedy zdecydowanie uznała za żart z jego strony. Gdy jednak patrzyła w tej chwili na twarz swojego partnera, wiedziała, że jego to pytanie nie bawi.

– Nigdy więcej o tym nie rozmawiajmy. – Pani mecenas trudno było ocenić, czy w słowach Fabrizia słyszy więcej próby czy groźby. – A teraz wybacz, muszę już wziąć prysznic, bo jestem bardzo zmęczony, a jutro przede mną wyjątkowo ciężki dzień pracy.

Szczekanie Wiktora Klempucha było słychać bardzo daleko. Niosło się wśród drzew starego parku, odbijało od tafli stawu i wykraczało poza żelazne pręty wysokiego ogrodzenia. Mieszkańcom okolicznych wsi, którzy jeszcze nie spali o północy, musiało się zapewne kojarzyć z duchami. Zresztą ochroniarzom lichwiarza on sam też tak się kojarzył, bo wciąż wymykał się ich rękóm, jakby pochodził nie z tego świata.

Pomagał mu w tym zapewne brak stroju i regularne depilacje, z których korzystał, przez co chcący go złapać nie mieli punktu zaczepienia.

– Panie Wiktorze, proszę stać! – krzyczał zrozpaczony jeden z ochroniarzy. – Panie Wiktorze! – Rzucił się na niego, chcąc chwycić go w pól, ale lichwiarz odpowiedział mu tylko głośnym skowytém i unikiem. Teraz był tylko małym szczeniakiem, który bawi się i ucieka przed wszystkimi.

Przedstawienie naprawdę warte było obejrzenia, ale Jacek wespół z Szołtysikiem i Fiką nie mieli na to czasu. Musieli jak najszybciej przebiec w kierunku bramy, której jeszcze niedawno strzegło dwóch osiłków. Teraz jednak wszyscy oni ganiłi za nagim lichwiarzem. I powoli zaczęli być blisko sukcesu, bo otoczyli go szerokim, powoli zwężającym się kołem. Klempuch patrzył na nich z niepokojem, a w końcu rzucił się na tego, który wydał mu się najmniejszy. Złapaný przez dwóch innych, ugryzł jednego z nich w rękę i zaszczekał radośnie. Lecz pozostali przygnietli go do ziemi.

Jacek i mediatorzy tego już jednak nie widzieli. Byli za bramą i mieli zamiar zacząć biec w stronę odległej o dwa kilometry autostrady. Ale zrobili tylko kilka kroków, kiedy usłyszeli:

– Stać! Nie ruszać się. Ręce do góry!

Fifka i Szołtysik posłusznie unieśli swe dłonie. Jacek tego nie zrobił, bo w słabej poświacie księżycowej pełni dostrzegł, kto w nich celuje ze służbowego pistoletu. I choć rysy twarzy nie były zbyt dobrze widoczne, Jacek mógł po raz pierwszy przyjrzeć im się dokładnie. A im dłużej się im przypatrywał, tym mniej mógł mieć wątpliwości. To ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwe spojrzenie... Nie może się mylić.

– Nie bójcie się, ta kobieta jest policjantką – powiedział do mediatorów, którzy jednak się nie uspokoili, gdyż dobrze wiedzieli, że ich niedawny gospodarz, Klempuch, korzysta z policyjnej ochrony.

– Oddaj mi to, co masz w rękach – poleciła aspirant Storczyk.

– Co? – zapytał z głupia frant Jacek.

– Nie wiem, co to dokładnie jest, ale nie należy do ciebie. Dlatego ja się tym zaopiekuję.

– Nie mogę. Jeśli ci to oddam, to właściciel tych płytek jutro rano każe mnie zastrzelić i wątpię, żebym doczekał wieczora. Podobnie jak tych dwóch panów, którzy poznali za dużo jego tajemnic.

– Gównu mnie to obchodzi, panie Przypadek. Jeśli mi tego nie oddasz, nie przeżyjesz nawet minuty.

– Nie oddam.

– Myślisz, że żartuję?

– Nie. Chcesz wierzyć, że to zrobisz. Ale pewnie sama dobrze wiesz, że ludzie są banalnie przewidywalni. Prawda, siostrzyczko?

Aspirant Storczyk, w przeciwieństwie do Szołtysika i Fifki, nie wydawała się w żaden sposób zaskoczona słowami Jacka. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Za to lufa jej pistoletu powoli, milimetr po milimetrze opuszczała się w kierunku ziemi. Gdy już celowała gdzieś pomiędzy stopy, Przypadek ruszył w jej stronę.

– Zakładam, że masz gdzieś tu ukryte autko, ale raczej nas nie podrzucisz, dlatego musimy zasować na piechotę. Tak, siostrzyczko?

Aspirant Storczyk chwyciła detektywa za nadgarstek. Tak silnie, że Jacek zaczął naprawdę żałować, że pozwolił sobie na o jedno „siostrzyczko” za dużo.

– Nawet nie próbuj tak do mnie mówić. Nie masz prawa! Nie jestem żadną twoją siostrą! Zapamiętaj to sobie! – Agnieszka uniosła koszulę Jacka, zza której wysypała się sarta dokumentów. – Ludzie rzeczywiście są banalnie przewidywalni. A tego na pewno nie potrzebujesz do przeżycia.

– To archiwum mojego klienta.

– Kostrzewy? Zaopiekuję się tymi papierami. A teraz biegnij z nimi do autostrady. Tylko spiesz się, bo Klempucha już złapali. A ja nie kiwnę palcem, żeby ci pomóc. – Spojrzała Jackowi w oczy. – Możesz mi wierzyć. Bo nienawidzę cię tak samo jak naszego ojca.



Jacek staje się wrogiem numer jeden warszawskich salonów. Odkrywa, kto stoi za pomysłem prywatyzacji polskich rzek oraz nagonką na dziennikarza, który wykrył inną aferę. Jednak pętla wokół Przypadka się zaciska, gdyż jego główny przeciwnik, lichwiarz Klempuch, postanawia wykorzystać medialną koniunkturę i zrobić z niego mordercę. Ich pojedynek rozegra się w samą północ...



Czy Jackowi uda się wyjść z tych tarapatów obronną ręką? Nie może być inaczej, wszak łączy on w sobie przenikliwość Sherlocka Holmesa z łobuzerskim wdziękiem porucznika Borewicza i irytującym charakterem doktora House'a. Ta wybuchowa mieszanka powoduje, że może liczyć na sympatię wielu kobiet i szczerą nienawiść rosnącej rzeszy swoich wrogów, którzy za jego sprawą trafili za kratki.



„W samą północ” to kolejna powieść z cyklu doskonałych komedii kryminalnych, w których nic nie dzieje się przypadkiem, a wszystko dzieje się z Jackiem Przypadkiem!



## Jacek Getner

– wicehrabia polskiej komedii kryminalnej. Autor m.in. książek o genialnym detektywie Jacku Przypadku, pomysłodawca i fundator corocznej nagrody „Zbrodnia z przymrużeniem”, laureat nagród dramaturgicznych, w tym Nagrody im. Rolanda Topora. Wyznaje zasadę, że o wszystkim, nawet o morderstwie, najlepiej opowiadać od tej śmieszniejszej strony. Swoją przygodę z pisaniem zaczynał od tworzenia zabawnych reklam, by potem stać się współscenarzystą serialu „Daleko od noszy”.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**LIRA**  
WYDAWNICTWO

Patronat  
medialny:

PORTAL  
KRYMINALNY



ISBN: 978-83-67084-39-0



ceną:  
39,99 zł  
(w tym  
5% VAT)